Biznes na OnlyFans • Konfederacja już rządzi? • Generałowie z telewizji
Afera orlików • Reportaż z Izraela • Satyrycy vs Trump • Pijana estrada

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 41 (3535), 8.10–14.10.2025

Cena 13,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA ARKADIUSZ CUDNY

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Koniec Szymon show?

Wzloty i upadki Szymona Hołowni

Wydanie w sprzedaży do 14.10.2025
ISSN 0032-3500
9 770032 350503 41

eprasa.pl acte9a

PERSKI DYWAN DZIEJÓW

KUP TERAZ

W sprzedaży

132 strony

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl acfe9a7195

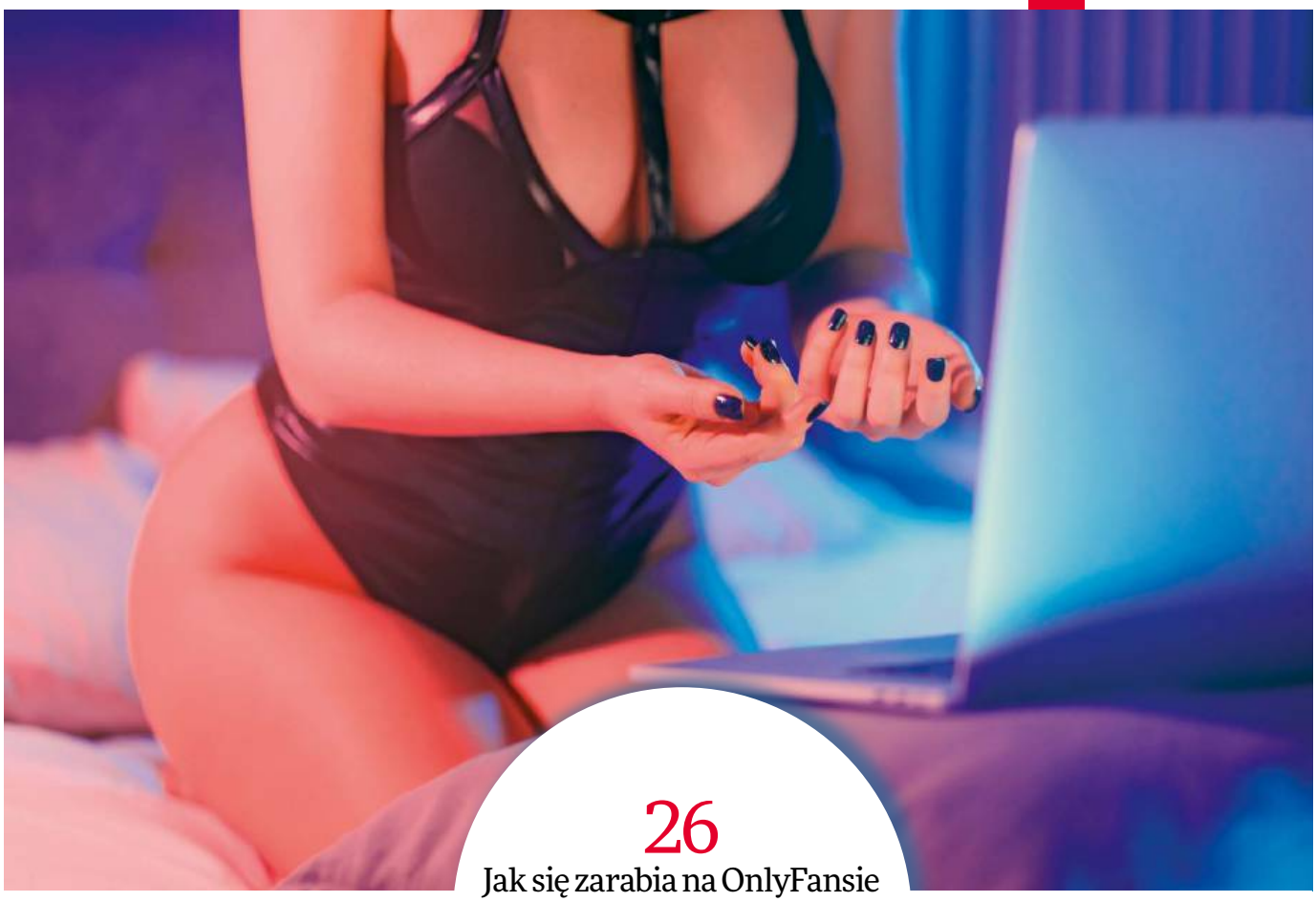

26
Jak się zarabia na OnlyFansie

© SHUTTERSTOCK

Temat tygodnia

14 Rafał Kalukin **Szymon Hołownia: koniec politycznego show**

Polityka

18 Mariusz Janicki **Sposób na Konfederację**
22 Marek Świerczyński **Medialni generałowie**

Społeczeństwo

26 Agnieszka Sowa **OnlyFans: oswajanie pornografii**
30 Zbigniew Borek **Czym jest Kościół Słońca**
34 Filip Zagończyk **Pies przewodnikiem**
37 Violetta Krasnowska **Co się dzieje z trawą z orlików**

Rynek

40 Marcin Piątek **Przemyt powietrzny**

Świat

56 Agnieszka Zagner IZRAEL **Jak ma wyglądać zwycięstwo**
59 Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski ROSJA **Nowa ultraprawica**
62 Jędrzej Winiecki USA **Golf z Trumpem**
64 Ziemowit Szczerek CHORWACJA **Marko „Thompson" Perković: między dumą a faszyzmem**

Nauka/projektpulsar.pl

66 Marcin Ryszkiewicz **Archeogenetyka: ile znaczy biologia, a ile kultura**
70 Rozmowa z prof. **Martą Szulkin** o tym, jak religia, polityka i wojny odbijają się na przyrodzie
72 Kasper Kalinowski **Wirus plotki**

Historia

74 **Petr Čornej** o tym, jaki był Jan Žižka i co Czesi mu zawdzięczają
77 Jan Dziadul **Fritz Bracht: ulubieniec Hitlera**

Kultura

84 Piotr Sarzyński **Okultyzm w sztuce: od fascynacji do inspiracji**
88 Reż. **Wojciech Smarzowski** o swoim najnowszym filmie „Dom dobry" i mówieniu prawdy na ekranie
91 Mirosław Pęczak **Używki na estradzie**
94 Mariusz Zawadzki **To nie jest czas dla satyryków**

Ludzie i style

102–105
- **Spacer terapeutyczny**
- **Okulary przyszłości**
- **Rozmo i rozmowy**
- **Uroki Samarkandy**
- **Baba po neapolitańsku**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia • **17**, **99**, **106** Galeria POLITYKI • **80** Afisz • **97** Koziołek • **98** Lis • **99** Mizerski • **100** Do i od redakcji • **106** To jeszcze nie koniec

! Korzystaj tylko z wiarygodnych źródeł informacji

© ZDJĘCIA NA OKŁADCE: STACH ANTKOWIAK/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl acfe9a7195

PL2025

Jerzy Baczyński

Dobiega końca „projekt Hołownia". Tak właśnie, jako projekt z dziedziny marketingu politycznego, postrzegano start Szymona Hołowni, prezentera programu „Mam talent", w wyborach prezydenckich 2020 r. To nie było pozbawione sensu. Andrzej Duda okazał się prezydentem niesamodzielnym i niepoważnym, a po stronie opozycji nie było mocnego kandydata. Hołowni szybko udało się zgromadzić fundusze na kampanię, a także grupkę poważnych współpracowników; pojawiły się sondaże wróżące mu pokonanie Dudy w drugiej turze. Ale plan „Hołownia na prezydenta" załamał się już w pechowym pandemicznym 2020 r. Można powiedzieć, że rozbiła go, zapewne bezwiednie, Małgorzata Kidawa-Błońska, rezygnując z kampanii i robiąc miejsce, dynamicznemu wtedy, Rafałowi Trzaskowskiemu. 14-procentowy wynik Hołowni posłużył już tylko do zbudowania partii o dumnej nazwie Polska 2050, która miała go dowieźć do kolejnych wyborów prezydenckich. Ostatecznie dowiozła do prestiżowej klęski, „promocyjnego wyniku" 4,99 proc. PL2050 kończy więc bieg w 2025 r., bo (jak pisze Rafał Kalukin) to zawsze był osobisty projekt Szymona, jego pomysł na swoje życie, karierę, samopoczucie.

Historia Hołowni jest wielce pouczająca. Zaszedł dalej niż inni „kontestatorzy duopolu" (Kukiz, Palikot, Biedroń), miał większy talent, ale nie zbudował partii, nie zadbał o lojalność elektoratu, zapędzał się w ideowe sprzeczności, grał sobą i na siebie. Raczej mało prawdopodobne, aby marszałek został – o co się ubiega – Wysokim Komisarzem NZ ds. Uchodźców; pisana jest mu rola uchodźcy z polskiej polityki. Nie potrafię do końca zrozumieć, dlaczego np. nie zdecydował się na objęcie stanowiska wicepremiera i – przydzielonej jego partii – funkcji ministra kultury. Akurat w tym obszarze ma niezłe kompetencje, lubiłby się obracać w – przeżywających poczucie marginalizacji – środowiskach twórczych, mógłby pilotować ważne ustawy, np. tę o mediach publicznych, może też wywalczyłby tu jakieś dodatkowe pieniądze? Było tu pole dla Szymona, bo ogólnie sfera tzw. soft power została w tej koalicji kompletnie zaniedbana i zlekceważona, finansowo, prestiżowo, personalnie.

Drukujemy w tym numerze (s. 100) gorzki apel młodych naukowców, dla których zamrożenie finansowania nauki oznacza często załamanie życiowych i naukowych planów, pensje w wysokości płacy minimalnej, prawdopodobieństwo zdobycia grantów z Narodowego Centrum Nauki na poziomie obecnych 10 proc. Minister nauki i szkolnictwa wyższego Marcin Kulasek, który lobbował w rządzie choćby o kilkaset dodatkowych milionów, przyznaje, że dziś priorytetem jest obronność i to tam ma pójść w przyszłym roku ponad 200 mld zł. Powody są jasne, ale też jest powszechne odczucie, że tak ogromnych pieniędzy nie można pozostawiać tylko w rękach nawet najlepszych generałów (ich zbiorowy portret na s. 22) od najcięższego sprzętu.

Analitycy wojskowi dość zgodnie mówią o konieczności zmiany priorytetów w wydatkach: mocno niedofinansowane są służby specjalne, kontrwywiadowcze, informacyjne, obrona cyfrowa, dronowa, cywilna, organizacje społeczeństwa obywatelskiego – a to one są/będą na pierwszej linii oporu wobec rosyjskiej agresji hybrydowej. Nawet kilka procent z tych setek miliardów mogłoby wzmocnić „miękkie", niedoceniane obszary polskiego państwa i jego systemów odporności i rozwoju.

Paradoks obecnej sytuacji politycznej polega na tym, że „obóz patriotyczny" – jak uwielbiają mówić o sobie PiS i wszyscy ludzie prezydenta – robi wszystko, aby finanse państwa, obciążone wydatkami wojennymi, które odpowiadają za trzy czwarte deficytu budżetowego, doprowadzić na skraj załamania. Społecznie nieurazowe propozycje ministra finansów, aby zwiększyć akcyzę na alkohol, opłaty cukrowe, podatek od liczonych w dziesiątkach miliardów zysków banków, spotyka się z zapowiedzią prezydenckiego weta. Dlaczego? – bo Karol Nawrocki obiecał Sławomirowi Mentzenowi, że nie zaakceptuje żadnych nowych podatków. Potwierdza to tylko tezę (tekst Mariusza Janickiego na s. 18), że w Polsce rządzi dziś Konfederacja: oba wielkie polityczne bloki wokół PiS i KO prowadzą skomplikowaną grę *love & hate* z liderami i wyborcami Konfy – nowej „trzeciej drogi", bez której „ma nie być" rządu po wyborach w 2027 r. To dramatycznie podnosi poziom nieracjonalności polskiej polityki.

Koalicja 15 października, w dwulecie wygranych wyborów, nie ma czego świętować. Wrogi, sabotujący działania rządu prezydent, „hołowniany" kryzys w koalicji, niskie notowania rządu i samego premiera, prawoskręt społecznych nastrojów. Ale, jeśli nie ma pewności, co robić, to trzeba robić swoje. Tu nie do przecenienia jest przykład ministra Waldemara Żurka, który realnie zabrał się do uregulowania statusu neosędziów (m.in. poprzez modyfikacje tzw. ziobrolotka), ma spójny plan usprawnienia (wreszcie) pracy sądów i prokuratur. Żurek prowadzi swoją reformę, dewastowanego przez osiem lat wymiaru sprawiedliwości, tak aby omijać prawdopodobne blokady ze strony oburzonego prezydenta. Zapewne to samo czeka ministra finansów; pojawiają się pomysły, aby nowe podatki wiązać z konkretnymi społecznymi wydatkami, a nawet wprowadzić ekstrapodatek obronny, zapewne trudny do zawetowania przez „zwierzchnika sił zbrojnych". Powtarzamy: do wyborów jeszcze dwa lata. Może polityka kończy się dla sfrustrowanego marszałka, ale ta realna nie kończy się nigdy. To jest dopiero Polska 2025.

eprasa.pl acfe9a7195

Moc niezapomnianych wrażeń: świątynie i piramidy, piękna przyroda, urocze miasta kolonialne i unikalna kultura meksykańskich Indian: Azteków, Majów i Zapoteków.

Zapraszamy na fascynującą podróż po królestwie Azteków, Majów i Zapoteków w Meksyku. Zwiedzimy Mexico City, imponujące piramidy Teotihuacán i ruiny Majów w Palenque. Popłyniemy przez Kanion Sumidero i odkryjemy kolonialne miasto Oaxaca oraz Monte Albán – centrum kultury Zapoteków. W San Cristóbal de las Casas odwiedzimy indiańskie społeczności, a w Puebli podziwiać będziemy kolonialną architekturę. Na koniec czeka nas relaks na plaży w Puerto Escondido. Ta pełna barw podróż łączy historię, kulturę i zachwycające krajobrazy!

14 dni

Wylot z Warszawy i Krakowa

04/02 2026

14.998,-

Rejs po pięknym, modrym Dunaju

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Monachium w Niemczech. Przejazd do Pasawy i zaokrętowanie na statku. **Dz. 2** Ybbs, Austria. Możliwość wycieczki do Sanktuarium w Maria Taferi. Przypłynięcie do Wiednia. **Dz. 3** Wiedeń, Austria. Opcjonalna wycieczka po historycznym centrum miasta: Pałac Hofburg, katedra Św. Szczepana, spacer eleganckim deptakiem Graben i Ringstrasse. **Dz. 4** Budapeszt, Węgry. Zwiedzanie miasta i jego wspaniałej architektury (dodatkowo płatne). **Dz. 5** Budapeszt, Węgry. Możliwość wycieczki fakultatywnej do węgierskiej Puszty. **Dz. 6** Bratysława, Słowacja. Opcjonalnie piesza wycieczka po Starym Mieście. **Dz. 7** Melk, Austria. Opcjonalna wycieczka do klasztoru benedyktynów Stift Melk. **Dz. 8** Przypłynięcie do Pasawy, przejazd do Monachium i powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 11/05, 31/08 2026 | 8.898,-

Szkockie lato w kratkę

Wichrowe wzgórza, bezkresne wrzosowiska i najlepsza whisky to wizytówka Szkocji – kraju golfa, potwora z Loch Ness i wojowników w kraciastych spódnicach.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Edynburg. Przejazd autokarem do Glasgow. **Dz. 2** Glasgow – St. Andrews – Aberdeen. Średniowieczne ruiny zamku St. Andrews, uniwersytet i pole golfowe. **Dz. 3** Aberdeen – Speyside – Park Narodowy Caringorm. Wizyta w destylarni whisky. **Dz. 4** Park Narodowy Cairngorms – Inverness – Loch Ness – Fort William. Poszukiwanie potwora z Loch Ness, zwiedzanie zamku Urquhart. **Dz. 5** Wycieczka na wyspę Skye, Portree i pomnik jakobitów w Glenfinnan. **Dz. 6** Fort William – Edynburg. Spacer przyrodniczy po Parku Narodowym Glencoe i wizyta w zamku Inveraray, jezioro Loch Lomond. **Dz. 7** Wycieczka po Edynburgu. Stare i Nowe Miasto, popołudnie do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Powrót do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy 02/04, 09/07 2026 | 10.498,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL38**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty resjowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl acfe9a7195

Zero na dziesięć

Komisji śledczej ds. Pegasusa udało się wreszcie przesłuchać byłego ministra sprawiedliwości **Zbigniewa Ziobrę**. Zrobiła to – jak napisał w mediach społecznościowych poseł PiS Dariusz Matecki – „w sejmowej piwnicy", co zapewne miało sugerować uwięzienie Ziobry w ponurych kazamatach obozu rządowego. Jednak jak na samozwańczego więźnia politycznego Ziobro czuł się podczas przesłuchania bardzo swobodnie, pozując przed kamerami na bezkompromisowego szeryfa, któremu na sercu leży bezpieczeństwo obywateli. Jego taktyka była tyleż prosta, co bezczelna, bo Ziobro od razu się przyznał, że to on w czasach rządów PiS wpadł na pomysł zakupu narzędzia totalnej inwigilacji. Zrobił to, ponieważ, jak twierdził, taka była wtedy potrzeba, aby walczyć z przestępczością zorganizowaną. Nie raczył jednak wyjaśnić, co mieli z nią wspólnego inwigilowani polityk KO Krzysztof Brejza i prokuratorka Ewa Wrzosek.

Wyznanie przed komisją może zainteresować prokuraturę, która od ponad

roku prowadzi śledztwo w sprawie zakupu Pegasusa i postawiła już w tej sprawie zarzuty ówczesnemu zastępcy Ziobry Michałowi Wosiowi. Szkopuł w tym, że słynący ze specyficznej odwagi cywilnej Ziobro przyznał się, ale sprytnie: zakup Pegasusa „zainicjował", „wyraził kierunkową wolę" oraz „zaproponował drogę do rozważenia". Natomiast kwity podpisywali i konkretne decyzje podejmowali już inni – m.in. Woś, któremu grozi 10 lat więzienia, więc zapewne zeznań swojego byłego szefa słuchał z rosnącym wzruszeniem.

Jednak w logice publicznego spektaklu polityk PiS wyszedł z przesłuchania przed komisją obronną ręką. Zrealizował swój plan, komisja niekoniecznie. Polityk PiS we współpracy z telewizją Republika pokazał nam wodewilowe przedstawienie o prześladowanym stróżu prawa, na które składały się lot z Brukseli, zatrzymanie przez policję i ogniste oskarżenie obecnej władzy o wszelkie bezeceństwa. Zbudował się również wewnętrznie we własnym obozie, bo reakcja polityków PiS była szczerze entuzjastyczna (no, może z wyłączeniem Wosia): oto Ziobro „punktował", „obnażał" i „rozjeżdżał". Druga strona łącznie z premierem Tuskiem reagowała raczej zdawkowo.

Byłoby chyba dobrze, żeby komisja ds. Pegasusa zmierzała w szybkim tempie do konkluzji swoich prac, bo na razie w sensie politycznym służy głównie politykom PiS do ocieplania wizerunku. Tak też było z Ziobrą, który im bardziej mijał się z prawdą, chełpił się i groził, tym mocniej pokazywał bezradność komisji. Ogólnie był to słaby, ponury spektakl, nie polecamy, zero na dziesięć.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Do wynurzenia!

Rząd jest na tak, MON powołał zespół selekcjonerów, a ostatnia lista bardzo konkretnych pytań trafiła do potencjalnych dostawców. Wiele wskazuje na to, że tym razem – po kilkunastu latach zwlekania, kluczenia i wstrzymywania decyzji – Polska rzeczywiście zamierza wybrać nowe okręty podwodne o kryptonimie Orka. Rząd dał sobie czas do końca roku na wskazanie nie tylko firmy, ale i kraju, od którego kupi cały pakiet – bo umowa ma być międzyrządowa i nie dotyczyć wyłącznie okrętów. Ma to być strategiczna kotwica łącząca przemysł, siły zbrojne, powiązaną z morzem bazę naukowo-techniczną z kimś, kto oferuje nie tylko produkt, ale też wieloletnią współpracę.

W grze są dostawcy z Europy, którzy o polskie zamówienie konkurują od lat: Francja, Niemcy, Szwecja i Hiszpania, nowi w tym gronie Włosi oraz coraz śmielej rozpychający się na zachodnim rynku Koreańczycy. Rząd stawia na szybkość dostaw, najchętniej z jednostką „pomostową", wypożyczoną na czas oczekiwania, ale jednocześnie domaga się dużego udziału przemysłu – może nie tyle w technologicznie trudnej produkcji okrętów

podwodnych, ile raczej w dostawach na rzecz wykonawcy, którym są czołowe stocznie wojenne świata. Polska chce też wsparcia finansowego, bo wszyscy zdają sobie sprawę, że ten odwlekany latami zakup musiał ustąpić miejsca innym również dlatego, że jest potwornie drogi – mowa jest o wielu miliardach euro lub dolarów. Stąd nacisk na rozmaite korzyści wojskowe – jak pociski manewrujące – i technologiczne, które mają być rezultatem strategicznej współpracy z krajem – dostawcą.

Rosja coraz śmielej poczyna sobie na Bałtyku, który wbrew optymizmowi po wejściu Finlandii i Szwecji do Sojuszu nie stał się „wewnętrznym jeziorem NATO". Morza trzeba pilnować. Tymczasem Polska przez ostatnie dwie dekady doprowadziła do sytuacji, że ma **jeden poradziecki i na wpół sprawny okręt podwodny**, który świetnie wyglądał na morskiej paradzie, ale słabo nadaje się do walki. Ta sytuacja jeszcze potrwa, bo na nowy okręt trzeba będzie poczekać przynajmniej do przełomu dekad, a i opanowanie tymczasowego (który nie wszyscy konkurenci mają „na stanie") zajmie kilka lat. Przynajmniej coś się wreszcie zaczyna wynurzać. (MŚ)

© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, PRZEMEK ŚWIDERSKI/REPORTER

eprasa.pl acfe9a7195

eprasa.pl acfe9a7195

Wydać czy nie wydać

Podobno Radosław Sikorski „był gotów dać azyl i order" **Wołodymyrowi Z.** za wysadzenie gazociągu Nord Stream. Dziś Niemcy domagają się od Polski jego wydania, a w ubiegłym tygodniu sprawa nabrała gwałtownego przyśpieszenia.

30 września do domu, w którym Wołodymyr Z. – 49-letni monter klimatyzacji – od trzech lat mieszka wraz z żoną Yulianną i dziećmi, przyszli policjanci, by zatrzymać go na podstawie Europejskiego Nakazu Aresztowania wydanego przez Niemcy 5 czerwca ub. r. Strona niemiecka stawia mu zarzut sabotażu konstytucyjnego – jak określa zniszczenie 26 września 2022 r. rurociągu Nord Stream 2, służącego do transportu gazu z Rosji do Niemiec i będącego w 51 proc. własnością rosyjskiego Gazpromu. We wniosku o ściganie Niemcy piszą o zniszczeniu infrastruktury należącej „do innej osoby" i spowodowaniu eksplozji, która zagroziła mieniu „innej osoby", co zagrożone jest karą 15 lat więzienia. Według niemieckiej prokuratury czynu tego miała dokonać grupa siedmiu ukraińskich nurków, w tym Wołodymyr Z. – on sam temu zaprzecza. Następnego dnia po zatrzymaniu sąd aresztował go na siedem dni, na czas dostarczenia dokumentów ekstradycyjnych.

Sprawa wzbudziła ogromne zainteresowanie światowych mediów. Do adwokata Tymoteusza Paprockiego, obrońcy Wołodymyra Z., dzwoniły media z niemal całego świata. – *I każdy zdawał mi jedno pytanie: „Jak pan uzasadni sytuację, w której polski sąd aresztuje obywatela Ukrainy za zniszczenie rosyjskiej infrastruktury krytycznej, należącej w zasadzie do państwa rosyjskiego prowadzącego wojnę z Ukrainą?"* – mówi. I dodaje: – *Ale najważniejsze jest w tej chwili, żeby mój klient mógł na procesie ekstradycyjnym odpowiadać z wolnej stropy.*

Paprocki argumentuje, że Wołodymyr Z. mieszka w Polsce, pracuje, od roku wiedział o wniosku ekstradycyjnym, gdyż miał w domu przeszukanie ABW z udziałem niemieckich funkcjonariuszy, i mimo to pozostał w Polsce. Ambasada ukraińska nie odpowiedziała na nasze pytanie, czy zamierza wesprzeć swojego obywatela.

W poniedziałek odbyło się posiedzenie w sprawie dalszego aresztu. A przed budynkiem sądu trwała manifestacja pod hasłami: „Sabotaż Nord Stream to polska racja stanu", „Ekstradycja = zwycięstwo rosyjskiego reżimu", „Nord Stream finansował zbrodnie Putina". Prokuratura wnosiła o 100 dni aresztu, do samego końca procedury ekstradycyjnej. Sąd tymczasem przedłużył areszt o kolejny miesiąc (do 9 listopada). Przed nami proces ekstradycyjny i pytanie, czy Polska wyda Wołodymyra Z. (VK)

Z Dachu na deskach

Na ośmiotysięcznikach pozostaje coraz mniej wyzwań wspinaczkowych, ale **Andrzej Bargiel** gra w nieco innej lidze: skialpinizmie. Wspinaczka to w niej tylko połowa sukcesu; kończąc dzieło, trzeba jeszcze zjechać ze szczytu na nartach. 22 września Bargiel, jako pierwszy człowiek w historii, wspiął się na Mount Everest bez wspomagania tlenem z butli, a następnie zjechał aż do bazy, 3,5 km niżej. Powrót musiał rozłożyć na dwa etapy, bo po drodze dopadła go noc, ale zdążył dotrzeć do obozu drugiego znajdującego się na wysokości 6400 m.

Z wyczynem Bargiela może równać się tylko sukces Włocha Hansa Kammerlandera, który w 1996 r. wspiął się na Everest bez tlenu, ale zjazd na nartach musiał przerwać na odcinku kilkuset metrów, bo obrał trasę bez dostatecznej pokrywy śnieżnej. Bargiel zmagał się tym razem z jego nadmiarem; drogę na szczyt musiał przemierzać w głębokim śniegu, sięgającym mu niekiedy aż do klatki piersiowej, dotarł na wierzchołek (w towarzystwie Dawy Sherpy) właściwie w ostatniej chwili, tuż przed nieprzekraczalną godziną odwrotu. Choć ilość śniegu zaskoczyła nieco Bargiela i jego ekipę, to jednak mieli szczęście do pogody. W dniu ataku szczytowego nie było huraganowego wiatru, tzw. jet streamu, który zmusił Andrzeja do odwrotu podczas poprzedniej próby w 2022 r. (Trzy lata wcześniej zrezygnował z powodu groźby oberwania się olbrzymiego lodowego seraka, wiszącego na trasie wspinaczki).

To pokazuje, że Bargiel wie, kiedy odpuścić. Do tego rodzaju wyzwań pchają go nie tylko wybitne umiejętności wspinaczkowo-narciarskie, ale też fenomenalna, nadludzka wydolność i zdolność adaptacji do funkcjonowania w warunkach ubogich w tlen, dzięki którym może porywać się na ekstremalny wysiłek nawet w tzw. strefie śmierci powyżej 8 tys. m. Tym razem spędził w niej aż 16 godz. Podczas zjazdu pokonał bezpiecznie zdradliwy lodowiec Khumbu – dzięki sprawnej nawigacji autorstwa brata, Bartka, który korzystając z drona, wytyczał trasę pozbawioną szczelin.

Bargiel mówi, że to była fantastyczna przygoda, również dlatego, że o tej porze roku nie ma na Evereście wypraw komercyjnych. Na Dach Świata kolejka stoi wiosną, w tym roku zaliczono ponad 800 wejść. (MP)

© WOJCIECH RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS, ANDRZEJ BARGIEL/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl acfe9a7195

eprasa.pl acfe9a7195

TYDZIEŃ W POLITYCE

Ironią w balon

Jarosław Kuźniar
Dziennikarz, twórca platformy podkastowej Voice House

Tam, gdzie kończy się satyra, zaczyna się totalitaryzm. A kiedy sprawa dotyczy narcyza, jakim jest Donald Trump, sprawy dzieją się szybko. Za dużo jest przykładów we współczesnej Ameryce, żeby uznać, że to przypadek. Najpierw skasowanie po 33 latach kultowego programu Stephena Colberta „The Late Show", potem zawieszenie podobnego w tonie programu Jimmy'ego Kimmela. Owszem, panowie nie kochają Trumpa, ale jego wzajemność jest wręcz histeryczna.

Ruch MAGA generalnie ma kłopot z dystansem do spraw, które wynosi na sztandary. Każda decyzja prezydenta, każdy jego pomysł, myśl, ruch, gest, hejt są wzmacniane przez kościół MAGA. Nie ma tam refleksji, nie ma zwątpienia, nie ma miejsca na rozum – jest akcja. Konferencje prasowe rzeczniczki Białego Domu przypominają wieczorne wiadomości w Pjongjangu lub w Moskwie. Karoline Leavitt mówi płynnie Trumpem. Strzela słowami jak z kałasznikowa. Blokuje każdą próbę riposty na swoje brednie. Rozumiem, że każdy reżim musi mieć swoją Holecką, ale ten nowy kult jednostki w Waszyngtonie przybrał komiczne rozmiary.

To się rozlewa zresztą po całej rodzinie prezydenta, dla której prezydentura teścia i ojca jest doskonałym biznesem. Leavitt eksplodowała, kiedy jeden z dziennikarzy zasugerował, że zięć Trumpa, Jared Kushner, dorabia się na rodzinnym układzie. Rzeczniczka zarzuciła reporterowi bezczelność i zażądała uwielbienia zamiast potępienia. Znamy ten mechanizm w Polsce z każdej konferencji prasowej PiS i Konfederacji. Spróbuj przerwać ten strumień myśli logiką – zostaniesz rozwałkowany. Z konferencji trolling przeniesie się na social media i walec będzie po tobie jeździł, dopóki partia nie odwoła akcji.

Przez 34 lata wolnej Polski nie dorobiliśmy się porządnego programu typu *late night show*, miejsca na spuszczenie powietrza z nadętych politycznych person. Nie mamy sceny na cynizm, żart, logikę, lekkość w mówieniu politykom: „Oszukujesz". Przeciwnie, w każdy weekend dmuchamy w ten balon śniadaniowymi programami politycznymi, które nie dają nic poza pieniędzmi dla telewizji. Ameryka ma Kimmela, ma Jona Stewarta i innych. Panowie otwierają okna i wietrzą pokoje Białego Domu, spuszczają do kanalizacji oceany wazeliny z Gabinetu Owalnego.

Używają narzędzi, które są znane od lat w każdym systemie autorytarnym: żartu, ironii, logiki, asertywności. Drwią, burzą pomniki, nie polerują złota, które jest zwykłym brązem. A prezydentura Trumpa daje im mnóstwo paliwa. Zakochany w sobie Trump nie szanuje nikogo, kto przyjmuje przed nim pozycję inną niż „nakolannicza". To prowadzi do absurdalnych spektakli jak ostatnie wystąpienie szefa Departamentu Obrony przed najważniejszymi generałami. Chodził po scenie jak po snusie. Uczył ich o męstwie, ale zabrakło owacji. Cisza na zejście była jak najlepszy żart Kimmela.

Swego czasu Călin-Bogdan Ștefănescu, były członek partii komunistycznej Rumunii, zrobił socjologiczną analizę dowcipów z lat 80. XX w. W ostatnich latach reżimu Ceaușescu notował każdy usłyszany żart. Prawie tysiąc kpin. Wyszło mu, że nowy dowcip pojawiał się co 4,71 dnia. 81 proc. opowiadali intelektualiści, pracownicy umysłowi i biurokraci. A liczba dowcipów rosła wraz ze zbliżającą się rewolucją '89 r.

O nagonce na amerykańskich satyryków czytaj też s. 94.

Postrzyżyny

Wyższe podatki dla banków zamiast dla polskich rodzin – tak rząd zachwala projekt dodatkowych obciążeń dla sektora finansowego. Banki płacą obecnie podatek CIT w wysokości 19 proc. od swoich zysków (tak jak inne firmy) oraz dodatkowo podatek od aktywów (0,44 proc. rocznie), wprowadzony za czasów PiS. Ten pierwszy przyniósł budżetowi w ubiegłym roku 13,5 mld zł, drugi – kolejne 6 mld zł. Mimo to sektor bankowy zarobił w 2024 r. imponujące 40 mld zł. Już wiadomo, że tegoroczny wynik okaże się jeszcze lepszy, bo łączny zysk netto banków po ośmiu miesiącach przekracza 33 mld zł. To przede wszystkim efekt wciąż wysokich stóp procentowych, w powolnym tempie obniżanych przez Radę Polityki Pieniężnej NBP.

Aby finansować rosnące wydatki na zbrojenia i spiąć przyszłoroczny budżet (w planie ponad 270 mld zł deficytu), koalicja postanowiła zwiększyć stawkę podatku od zysków płaconego przez banki. W przyszłym roku wzrośnie on do 30 proc., potem spadnie do 26 proc., a od 2028 r. ma wynosić już na stałe 23 proc. Na otarcie łez politycy obiecują bankowcom niewielką redukcję podatku od aktywów, który obecnie zniechęca instytucje finansowe do udzielania kredytów. Uwzględniając obie zmiany, budżet ma zyskać w przyszłym roku ok. 6,5 mld zł. Pod warunkiem że na zmiany zgodzi się prezydent, który przecież obiecał blokować jakiekolwiek próby podwyższania podatków.

Ponad połowa bankowych aktywów jest u nas w rękach instytucji kontrolowanych przez państwo. Mimo to bankowcy – czemu trudno się dziwić – próbują protestować i tłumaczą, że już teraz ich obciążenia są duże, za to zyski, zwłaszcza w porównaniu z innymi krajami europejskimi, wcale nie nadzwyczajne. W rzeczywistości jednak banki płakać nie będą, natomiast będą próbowały przerzucać dodatkowe koszty na klientów. Tak stało się po wprowadzeniu w 2016 r. podatku od aktywów, gdy instytucje finansowe zaczęły go po prostu dodawać do marży płaconej przez klientów. Poza tym już dzisiaj mamy bardzo dużą różnicę między oprocentowaniem kredytów i depozytów. Być może wkrótce jeszcze się ona zwiększy, przynosząc bankom kolejne miliardy. Instytucje finansowe w naszym kraju mają nadpłynność, więc nie potrzebują oszczędności Polaków do udzielania kredytów. Rząd ma jednak instrumenty, aby nie pozwolić bankom na ściąganie „reparacji" z klientów. Najpierw jednak ten podatek w ogóle musi wejść w życie. (CK)

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl acfe9a7195

Serwis popularnonaukowy Pulsar

POPULARYZATOR NAUKI 2024

projektpulsar.pl

Wszystko, co warto wiedzieć o nauce:

- **naukowe newsy** – najważniejsze odkrycia, najnowsze wyniki badań
- artykuły naukowe z bieżących wydań **„Polityki”**
- aktualne wydania **„Wiedzy i Życia”** – pisma, które od ponad 100 lat przybliża zdobycze nauki i techniki
- aktualne wydania **„Świata Nauki”** – polskiej edycji renomowanego pisma „Scientific American”
- bogate **archiwum tekstów** najlepszych dziennikarzy naukowych oraz ekspertów i badaczy w swoich specjalizacjach

...i jeszcze więcej:

- recenzje najgorętszych książek popularnonaukowych
- cotygodniowy newsletter Pulsara
- podkasty **„Pulsar nadaje”** – już ponad 140 rozmów z najciekawszymi polskimi naukowcami

MAŁGORZATA OWCZARSKA:
Wolność, równość, hydrowspólność – opowieść o błękitnej humanistyce

ZUZANNA ŚWIRAD:
Na brzegach niepewności, czyli co mówią klify

pulsar

ANDRZEJ DZIEMBOWSKI:
Pac-Many rozkładamy na części pierwsze

Zaprenumeruj nas:
projektpulsar.pl

eprasa.pl acfe9a7195

Zamknięte do odwołania

Nieuchwalenie przez amerykański Kongres prowizorium budżetowego doprowadziło do „zamknięcia rządu" (shutdown), czyli wstrzymania, z braku finansowania, działalności administracji państwa. Niezupełnego, bo FBI, kontrolerzy lotów, kontrole bezpieczeństwa na lotniskach, poczta i inne niezbędne do życia służby będą za darmo pracować. Setki tysięcy pracowników federalnej administracji odesłano jednak na bezpłatny urlop, a wielu ludzi nie otrzyma rozmaitych świadczeń socjalnych.

Do shutdownu doszło, bo **Demokraci w Senacie** odmówili poparcia ustawy budżetowej, domagając się przywrócenia obciętych przez republikańską większość wydatków na ochronę zdrowia: dotacji do wysokich kosztów ubezpieczeń zdrowotnych i funduszy na Medicaid, federalny program ubezpieczeń dla biednych. Głosy

Demokratów były niezbędne wobec nieznacznej tylko przewagi Partii Republikańskiej (GOP) w Senacie i wymogu minimum 60 głosów na 100 potrzebnego tam do uchwalania ustaw. Republikanie twierdzą, że to szantaż, i deklarują chęć negocjacji oraz gotowość do ustępstw – ale pod warunkiem że Demokraci zagłosują najpierw za ustawą, „otwierając" rząd. A ci odpowiadają, że Republikanom nie można ufać.

Donald Trump nieraz, nadużywając władzy, odmawiał wydania wyasygnowanych przez Kongres funduszy na programy społeczne. A teraz zagroził, że pracownicy rządu wysłani na bezpłatne urlopy zostaną zwolnieni, co budżetowi przyniesie oszczędności. Do masowych zwolnień zachęcił szefów departamentów (ministerstw) Russell Vought, ultraprawicowy dyrektor Biura Budżetowego w Białym Domu. W historii konfliktów wokół budżetu w USA nie zdarzyło się jeszcze, żeby prezydent wykorzystywał w ten sposób zamknięcie rządu do przeforsowania swego programu. Przebieg obecnego shutdownu świadczy o skali polaryzacji politycznej i skrajnej wzajemnej nieufności obu stron.

Blokowanie prowizorium budżetowego Republikanie przedstawiają jako polityczny terroryzm, mówią o „braniu zakładników", co ma skompromitować opozycję w oczach opinii. Sondaże wykazują coś przeciwnego – większość Amerykanów obwinia za shutdown Trumpa i GOP. Wyborcy Demokratów naciskają, żeby nie ustępowali w walce o zachowanie obcinanych wydatków na ochronę zdrowia. Kampania tej partii o ograniczenie ogromnych w USA kosztów ubezpieczeń zdrowotnych wzmocniła poparcie dla niej w wyborach do Kongresu za pierwszego Trumpa i może się okazać skuteczna także przed wyborami połówkowymi w 2026 r.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Babiš wraca

Przyszłym premierem Czech będzie 71-letni **Andrej Babiš**: populista, były szef rządu oraz oligarcha z bagażem afer, skandali i naruszeń norm demokratycznych. „To szczyt mojej kariery" – przyznał po ogłoszeniu wyników. Jego ruch ANO zdobył 34,51 proc., co przekłada się na 80 mandatów w 200-osobowej izbie niższej parlamentu, notując drugi najlepszy wynik dla pojedynczego ugrupowania w historii czeskich głosowań.

Taki rezultat jest bardziej zwycięstwem ANO niż porażką dotychczasowej większości rządowej pod wodzą centroprawicowego Petra Fiali. Poparcie dla koalicji Spolu (czes. Razem) było niewiele skromniejsze niż cztery lata temu. Teraz jednak mniej głosów się zmarnowało, a Babiš przyciągnął wyborców tych partii, którym sondaże nie dawały szans przekroczenia progu 5 proc. Nie wszystko się jednak udało. Ponownie nie podbił Průhonic, podpraskiej trzytysięcznej wsi, w której mieszka i gdzie „wszyscy go znają". Uzyskiwał tam świetne wyniki w poprzedniej dekadzie, ale w obecnej wyraźnie przegrywa. W pierwszy weekend października w Průhonicach Spolu dostało 541 głosów (36 proc.), ANO natomiast zebrało 329 głosów (22 proc.).

Jednak Czechy to nie Průhonice i koalicji rządowej nie udało się nastraszyć rodaków perspektywą powrotu lokalnej wersji Donalda Trumpa czy prorosyjskiego Viktora Orbána. Aby uśmierzać te obawy, Babiš twardo deklarował pozostanie w NATO i UE, choć na czeskich warunkach, czyli

bez entuzjazmu we wspieraniu Ukrainy, Zielonego Ładu, paktu migracyjnego i Komisji Europejskiej wtrącającej się do reform systemu sprawiedliwości. Z drugiej strony celujący w rząd mniejszościowy Babiš będzie szukał poparcia radykalnie prawej, antyunijnej strony.

Receptą na sukces, większy niż przewidywały sondaże, okazała się starannie przygotowana kampania. Najważniejszą opowieścią było wzbudzenie przekonania, że miliarder Babiš szczerze przejmuje się sytuacją materialną przeciętnych Czechów i hojnym socjalem zaradzi rosnącym kosztom życia. Porzucił też wojowniczą retorykę, której bezskutecznie próbował w niedawnych wyborach prezydenckich. Występował tym razem już jako polityk bardzo umiarkowany. A skoro jego elektorat – ludzie podobnie niezdecydowani – jest podzielony w sprawach dalszej pomocy Ukrainie, to mówił o drożyźnie i nieudolnym rządzie. Jakąś wskazówką oceny odchodzącej ekipy jest wynik ministra finansów Zbynka Stanjury, który nie dostał się do parlamentu.

©GRAEME SLOAN/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, MILAN JAROS/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, OMAR AL-QATTAA/AFP/EAST NEWS, SAYED HASSIB/REUTERS/FORUM

eprasa.pl acie9a7195

Pokój dla Gazy?

Ważą się losy „pokoju, jakiego nie było na Bliskim Wschodzie od 3 tys. lat" – tak podsumował negocjacje między Izraelem a Hamasem prezydent Donald Trump. Chodzi o jego najnowszy plan, napisany – według „Wall Street Journal" – wraz z Beniaminem Netanjahu i zaprezentowany światu w zeszłym tygodniu. Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, w Kairze rozpoczynały się rozmowy w sprawie jego szczegółów.

W pierwotnej wersji plan Trumpa przewidywał wydanie przez Hamas wszystkich izraelskich zakładników – z 48 żyje prawdopodobnie tylko 20 – porwanych podczas ataku z 7 października 2023 r. (o atmosferze wokół jego drugiej rocznicy więcej na s. 56) w zamian za wypuszczenie z izraelskich więzień ok. 2 tys. Palestyńczyków. Hamas ma się również całkowicie rozbroić, jego liderzy, którzy zostaną objęci amnestią, mają wyjechać ze Strefy Gazy. Kontrolę nad nią przejmie „Rada Pokoju" na czele z Trumpem, wspieranym przez byłego premiera Wielkiej Brytanii Tony'ego Blaira. Z kolei Izrael ma wdrożyć plan stopniowej ewakuacji z Gazy, dopuścić pomoc humanitarną i rozpocząć rozmowy nad „przyszłością Palestyńczyków".

Plan wstępnie zaakceptował Izrael, w piątek Hamas dał znać, że zgadza się na wymianę zakładników na więźniów. I na razie na tym koniec. Nawet wspomniana wymiana może być problematyczna, bo w wyniku izraelskiej ofensywy centrala Hamasu straciła kontakt z wieloma oddziałami przetrzymującymi zakładników. Największy spór wewnątrz Hamasu dotyczy rozbrojenia, przy czym przedstawiciele organizacji poza Gazą są za, ale nie chcą o tym słyszeć dowódcy w Strefie – według nich Izrael po odzyskaniu zakładników i rozbrojeniu Hamasu dokończy dzieła zniszczenia.

Oburzenie wywołuje punkt o „Radzie Pokoju". Międzynarodowy mandat, brytyjska kontrola (Blair), a wszystko bez pytania Palestyńczyków – przerabiali to już w 1922 r., gdy Liga Narodów zagospodarowywała ten obszar. Ostatecznie mogą przeważyć głosy, że każda umowa jest lepsza niż stan obecny – tylko w niedzielę w wyniku izraelskich bombardowań zginęło ok. 70 Palestyńczyków.

Jednocześnie misję zakończyła flotylla Sumud (Opór), która wiozła pomoc dla głodującej Gazy i miała symbolicznie przełamać izraelską blokadę. Izrael przejął statki (w sumie ponad 40) na wodach międzynarodowych i doprowadził je do swoich portów. Prawie 500 uczestników flotylli jest teraz stopniowo deportowanych, m.in. do Grecji, Hiszpanii i Francji. Gdy pisaliśmy te słowa, Izrael opuściło już troje Polaków, w tym poseł Koalicji Obywatelskiej Franciszek Sterczewski. Według MSZ mają wrócić do Polski w najbliższych dniach.

ŁUKASZ WÓJCIK

Afganistan w sieci

Afganistan wykonał właśnie crash test, czy można dziś funkcjonować bez internetu; ale także bez łączności telefonicznej, bo obsługuje ją tutaj ta sama sieć światłowodowa, która została w całości wyłączona. Wyniki łatwo było przewidzieć, nawet w kraju tak zamkniętym i izolowanym: skończyło się błyskawiczną zapaścią wielu dziedzin, administracji, bankowości, handlu, edukacji, odwołane zostały loty międzynarodowe.

Po 48 godz. łączność stopniowo przywrócono, z Kabulu relacjonowano męską radość na ulicach (kobiety mają zakaz wychodzenia z domu bez opiekuna), a zagraniczni analitycy, którzy nie mają tu łatwego zadania, orzekli, że to zwycięstwo kabulskiej frakcji pragmatyków nad kandaharskimi dogmatykami. Bo to od Kandaharu, gdzie przebywa najwyższy przywódca Hibatullah Achundzada, wszystko się zaczęło. Od jego słów, że internet to „otwarta brama dla występku" oraz dla wrogów islamu. Myśl tę podjęło w połowie września kilka prowincji, wyłączając sieć u siebie, a że tam jakoś poszło, operacją objęto cały kraj bez żadnego oficjalnego uzasadnienia.

Odkąd w połowie 2021 r., po ucieczce Amerykanów, fundamentalistyczni talibowie wrócili do władzy, podobne crash testy wykonywane są regularnie. Głównie dotyczą kobiet i kwestii, czego jeszcze udałoby się zabronić. Krok po kroku zakazali im studiowania, pracy w urzędach, a naukę dziewcząt ograniczyli do sześciu klas, zamknięto damskie zakłady fryzjerskie i kosmetyczne, a później resztę biznesów dla pań, zakazano wspólnego przebywania obu płci w parkach, malowania się i używania perfum, a z czasem odzywania się w miejscach publicznych i spoglądania na obcych mężczyzn. Co zresztą trudno stwierdzić, bo obowiązuje luźna burka oraz rękawiczki i gęsty woal na twarzy.

W niedawnym trzęsieniu ziemi ucierpiało nieproporcjonalnie wiele kobiet i dziewcząt, bo ratownicy nie mogli się do nich zbliżyć. Przeprowadzono też operację zasłaniania okien ścianą „na wysokość człowieka" albo ich zamurowywania, jeśli można było zajrzeć do środka (i zobaczyć krzątające się kobiety). A ostatnio z bibliotek uniwersyteckich wycofano wszystkie książki autorstwa kobiet. Dla sprawiedliwości – mężczyznom zabroniono gry w szachy, bo prowadzi do hazardu.

Afganistan pod rządami talibów szybko biednieje; według Światowego Programu Żywnościowego 85 proc. ludności żyje za mniej niż dolara dziennie, a 16 mln spośród 38 mln mieszkańców potrzebuje codziennego wsparcia zagranicznych organizacji pomocowych. Pomoc ta topnieje – po kolejnym wycofaniu się Amerykanów i z powodu ogólnego zniechęcenia. Jak długo da się tak wytrzymać? – oto najważniejsze pytanie testowe, jakie stoi przed Afganistanem.

eprasa.pl acfe9a7195

Szymon mówi dość

eprasa.pl acfe9a7195

RAFAŁ KALUKIN

A więc to koniec kariery mesjasza „antyduopolu", który pragnął zostać przywódcą narodu. Szymon Hołownia zapowiada odejście z polityki, pozostawiając kłopotliwy spadek w postaci rozbitej partii, od której nadal zależy koalicyjna większość.

„Nie żegnam się z Wami, bo nigdzie się nie wybieram" – obiecał na zakończenie adresowanego do działaczy Polski 2050 obszernego wpisu na Facebooku. Pewnie na otarcie łez ostatnim fanom, gdyż był to jego list pożegnalny. Poinformował, że już nie zamierza ubiegać się o przywództwo w autorskim ruchu politycznym, w którego szyldzie wciąż jeszcze figuruje jego nazwisko. Dało się jednak wyczuć, że Szymon Hołownia ma dość polityki. Jedyną niewiadomą pozostaje to, czy odejdzie z niej już za chwilę, czy też będzie to proces rozłożony na dwa lata.

Raczej to drugie, gdyż szanse na urząd Wysokiego Komisarza NZ ds. Uchodźców, o który oficjalnie się stara, podobno są iluzoryczne. Takie stanowiska trzeba sobie wychodzić i wymaga to zazwyczaj wielomiesięcznej dyplomacji. On tymczasem włączył się do rywalizacji w ostatnim momencie, gdyż akurat uznał, że w krajowej polityce już nic go nie czeka. Być może nie chciał opuszczać sceny z podkulonym ogonem – i pod tym kątem przeprowadził szybką kwerendę międzynarodowych ofert. W końcu rezygnacja wygląda zawsze lepiej, kiedy towarzyszy jej sugestia awansu. Choćby niezrealizowana.

W scenariuszu realistycznym zamiast przeprowadzki do Genewy Hołownia wkrótce zamieni się z Włodzimierzem Czarzastym na krzesła i przez kolejne dwa lata będzie się spełniać w bardziej dekoracyjnej roli wicemarszałka Sejmu. Wciąż jednak z własnym gabinetem i samochodem. I skupi się zapewne na szukaniu nowego pomysłu na życie.

Chociaż spędził w polityce całe sześć lat, konsekwentnie odrzucał obowiązujące w niej wzorce funkcjonowania. Nigdy nie interesowała go kariera zawodowego polityka, który (jak pisał Max Weber) żyje z polityki albo dla polityki. Hołownia, wcześniej wzięty katolicki publicysta oraz telewizyjny celebryta, nie musiał szukać w tym świecie źródeł zarobkowania. A i chyba nie miał specjalnie silnej żądzy panowania. Zarazem jednak nie sprawiał wrażenia ideowca, który kieruje się etyką przekonań.

Konsekwentnie podkreślał, że jego misją jest zniesienie „duopolu". Tyle że nigdy nie wyjaśnił, jaką treścią chciałby wypełnić pustkę po nim. Chyba że potraktujemy poważnie rozsiewaną przez niego iluzję racjonalnej polityki, która – uwolniona z obcęgów Tuska i Kaczyńskiego – zapewni Polsce szybszy rozwój. Sam naprawdę chyba zresztą wierzył w możliwość zakopania głębokiego konfliktu, skierowania debaty na inne tory i złamania potęgi polaryzujących algorytmów. Nie był to jednak idealizm, lecz naiwność.

Tym bardziej że Hołownia, chociaż wyrzucił z siebie niejeden słowotok, nigdy w koherentny sposób nie zarysował własnej ideowo-politycznej sylwetki. Był trochę katolickim konserwatystą i trochę postępowcem, społeczną wrażliwość próbował godzić z ekonomicznym liberalizmem. Zależnie od okazji, kontekstu. Bo w istocie nie chodziło mu o realizację żadnych konkretnych pomysłów ani idei. On jedynie realizował w polityce swoje ja.

Był to jego pomysł na życie, z którym wkroczył w wiek średni. Osobisty projekt, precyzyjnie zdefiniowany – zostać prezydentem RP. Wcześniej płynął na falach powodzenia, więc cóż szkodziło spróbować? Za pierwszym razem nie wyszło, ale początek był mimo wszystko obiecujący. Założył więc partię, by przetrwać kolejne pięć lat i spróbować ponownie. Wchodził z nią w szersze koalicje, współtworzył rządzącą większość, nawet został marszałkiem Sejmu. Większość polityków dałaby się za to stanowisko pokroić, ale dla Hołowni – nawet jeśli cenił sobie prestiż drugiej osoby w państwie – wciąż był to tylko etap pośredni przed kolejną batalią o prezydenturę.

Wchodząc w tegoroczną kampanię, zapowiadał walkę o zwycięstwo i podobno naprawdę widział się w roli faworyta. Chociaż od dawna już nim nie był. „Stłucz pan termometr, to nie będziesz pan mieć gorączki" – grubiańsko poradził kiedyś Jerzemu Turowiczowi Lech Wałęsa. A Hołownia naprawdę tak zrobił. Bagatelizował kiepskie dla siebie sondaże i wyśmiewał analizujących je komentatorów. Polityczną rzeczywistość uznając za grę pozorów, co pozwalało mu karmić się złudzeniami.

Ale to dla niego typowe. Od początku nie dostrzegał sprzeczności towarzyszących jego politycznej karierze. Tego, że nie da się walczyć z „duopolem" i zarazem być jego częścią, gdyż tak traci się wiarygodność po obu stronach. W zamian przeprowadził absurdalną kalkulację: skoro 60 proc. dorosłych Polaków – tych głosujących i tych abdykujących – nie popiera obu głównych sił, wystarczy się odwołać do owej „większości". Tylko skąd założenie, że tak wielką masę da się spiąć wspólnym mianownikiem? I dlaczego miałby tego dokonać akurat Hołownia, który poza elokwencją i dobrymi chęciami niczego konkretnego nie zaoferował? ▶

© JULIAN SOJKA/EAST NEWS

eprasa.pl acfe9a7195

▶ Nie analizował własnych błędów, a popełniał je z niebywałą konsekwencją. Po wyborach w 2023 r. upajał się rewelacyjnym wynikiem Trzeciej Drogi, chociaż wszyscy go uświadamiali, że to paradoksalny skutek słabości tej formuły. Że dostała poparcie na kredyt, gdyż jej upadek byłby katastrofą dla całego demokratycznego obozu. On jednak nie chciał słuchać, bo został gwiazdorem „sejmflixa" i poczuł się władcą dusz. Zawdzięczał zresztą powodzenie głównie swadzie i gracji, z jaką pacyfikował awanturujących się w Sejmie pisowców. Czego też nie przyjmował do wiadomości, bo wciąż bardziej mu odpowiadała rola politycznego kaznodziei, który wzywa do osłabienia podziału.

Testował zatem cierpliwość zwolenników koalicji 15 października dystansowaniem się od rządu. Nic dziwnego, że „taktyczni" wyborcy Trzeciej Drogi zaraz wrócili pod skrzydła Tuska. Najbardziej wkurzył ich pewnie arbitralnym przesunięciem procedowania projektu ustawy aborcyjnej, który w kampanii samorządowej wiosną 2024 r. złożyła Lewica. Jako katolik miał prawo jej nie poprzeć; tym bardziej że jego klub w większości opowiadał się za legalizacją aborcji, a prawdziwym hamulcowym był PSL. Zamiast jednak pozwolić ludowcom zmierzyć się z gniewem wyborców (skądinąd nie ich), nieświadomie sam obsadził się w roli piorunochronu. Decyzja pozbawiona politycznego sensu, której skutkiem była erozja poparcia. Równolegle zaczynał też tracić na rzecz Konfederacji.

I tak przegrał kolejne prezydenckie wybory (z wynikiem „promocyjnym" 4,99 proc.), tracąc nawet przyczółek „tego trzeciego". Już bez wielkich szans na kolejną reaktywację, zresztą po rozpadzie Trzeciej Drogi jego partia spadła pod próg. Zaczął się szamotać, popełniając kolejne błędy. Jego nocne Polaków rozmowy z Jarosławem Kaczyńskim zaszokowały elektorat koalicji 15 października, dostarczając paliwa spekulacjom o planowanej przez marszałka politycznej zdradzie. Niepotrzebnie, gdyż Hołownia nie miał planu. Była to tylko kolejna z jego infantylnych demonstracji. Swoisty epilog nieudanej kampanii, w której próbował dowieść, że polaryzację da się obejść. Tylko że znów zaszkodził przede wszystkim sobie, co zapewne wreszcie do niego dotarło, kiedy latem zrobił sobie wolne. Wynikiem tych przemyśleń jest abdykacja, po której pozostali koalicyjni liderzy mogli wreszcie odetchnąć.

Osobista popularność bywa w polityce zabójczą chimerą, która osłabia zmysły i wiedzie ku upadkowi. Nagle wyniesie w górę, a potem brutalnie opada. Żeby przetrwać słabsze okresy, trzeba mieć zasób w postaci dobrze zorganizowanej partii oraz żelaznego elektoratu. Najlepiej wie o tym Jarosław Kaczyński, chociaż dla Hołowni – gdyby zechciał oderwać wzrok od lustra – bardziej pouczający byłby pewnie przypadek Włodzimierza Czarzastego.

Wkrótce minie dekada, jak obejmował przywództwo w SLD. Kojarzył się głównie z aferą Rywina, a partia znalazła się poza parlamentem. Mało kto interesował się losami schyłkowego polityka na czele schyłkowej formacji. Nie było w nich zresztą niczego widowiskowego, gdyż Czarzasty parę kolejnych lat spędził na cierpliwym wzmacnianiu zmarniałych struktur, żeby dopiero z czasem poszukać atrakcyjniejszych partnerów. Gdy jednak już ich znalazł, oddał większość miejsca na afiszu młodszym i lepiej rokującym. Jeszcze w ostatnich wyborach z trudem wcisnął się do Sejmu, dając się wyprzedzić lokalnemu outsiderowi z ostatniego miejsca na sosnowieckiej liście. Tyle że dziś to Lewica cieszy się w miarę stabilnym miejscem na scenie, a sam Czarzasty wkrótce ma przejąć po Hołowni marszałkowską laskę.

Struktury są jednak tylko narzędziem skutecznego funkcjonowania w polityce. Zasadniczym celem powinno zaś być skupienie wokół siebie stałego elektoratu. Warunkiem jego utrzymania jest jednak prowadzenie przewidywalnej polityki. Tymczasem Hołownia wszystko robił na odwrót. Promował głównie siebie i jeśli był w czymś przewidywalny, to w swojej nieprzewidywalności. Nieustannie zaskakiwał jakąś woltą, wypowiedzią, chybionym zwodem. Chcąc skleić Polskę, rozklejał własną koalicję. I jedyną stałą wartością ruchu, który zbudował, był niezmiennie on sam. Jedynym interesem, który obiecywał zrealizować, był jego własny, czyli zaspokojenie potrzeby bycia kimś znaczącym. Nic więc dziwnego, że osierocona Polska 2050 jest teraz wydmuszką nie tylko organizacyjną, lecz także aksjologiczną.

Za miarę jej słabości można uznać formujący się rządek kandydatów do schedy. W mediach pojawiło się już co najmniej sześć nazwisk, a być może w miarę zbliżania się styczniowego kongresu dojdą kolejne. Ale to jak liczenie diabłów na końcu szpilki, swoiste bogactwo nieurodzaju. W znaczących formacjach pretendent do przywództwa jest najczęściej jeden, góra dwóch.

Polska 2050 pewnie już na dobre utraciła podmiotowe miejsce na scenie, co jednak nie pozwala uznać sukcesji po Hołowni za kwestię nieistotną. Z dwóch powodów.

Po pierwsze, od jej poselskiej trzydziestki zależy koalicyjna większość. Byłoby więc dobrze, gdyby nie rozparcelowała się na mniejsze grupki, całkiem już się anarchizując. W polskiej polityce mówiono kiedyś o „posłach dietetycznych", czyli praktycznie już pozbawionych szans na reelekcję i zorientowanych na kupowanie osobistych profitów w zamian za głosy. Swego czasu niesławny był przypadek Federacyjnego Klubu Parlamentarnego, czyli skleconej przez Romana Jagielińskiego zbieraniny „dietetyków", od której zależała większość stojąca za rządami Leszka Millera i Marka Belki. Przed każdym ważniejszym głosowaniem jej lider stawiał nowe żądania, domagając się realizacji interesów swoich posłów bądź stojących za nimi lobbystów. Zapewne nie ma dziś powodu doszukiwać się w środowisku Polski 2050 źródeł aż takiego zepsucia, bo jest tam sporo nazwisk wartościowych. Ale nie brak też postaci przypadkowych, toteż warto dmuchać na zimne.

Po drugie, wciąż istnieje szansa na choćby względną konsolidację partii. Ale już nie po to, żeby porywać się na samodzielny start. Bardziej z intencją wniesienia szyldu jako wiana poszerzającego – niewykluczoną w 2027 r. – koalicję wszystkich demokratycznych sił. Żeby nie zgubić ostatnich wiernych wyborców, a zarazem dodać optycznego wrażenia bogactwa. Co byłoby scenariuszem

eprasa.pl acfe9a7195

GALERIA POLITYKI

SYLWIA MARKIETA

mimo wszystko korzystniejszym od rozbiorów poselskiego klubu jeszcze w tej kadencji. Bo niejedna sierota po Hołowni zapewne już dzisiaj chętnie dałaby się kupić KO bądź Lewicy za miejsce na ich listach w nowym rozdaniu. Tylko że Tusk z Czarzastym raczej nie będą zainteresowani wchłonięciem wszystkich, gdyż zaostrzyłoby to konkurencję w ich formacjach. A przy otwartym oknie transferowym mogłoby dojść do niekontrolowanych przejść również na prawą stronę.

Z takich to względów należy dzisiaj życzyć Polsce 2050 sukcesji pozwalającej utrzymać wewnętrzną stabilność. Teoretycznie najsilniejszą postacią w ruchu wydaje się namaszczona przez Hołownię ministra funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Tyleż niestety charakterna, co konfliktowa. I z tego powodu z trudem akceptowana przez równie apodyktycznego premiera, co wzmaga jej nieustępliwość. Lansowany przez nią model funkcjonowania w koalicji w ciągłym zwarciu z Tuskiem to przepis na permanentny kryzys, na którym żadna ze stron dobrze nie wyjdzie. Poza tym Pełczyńska-Nałęcz dzieli nawet własną formację, co pokazały niedawne głosowania w klubie i partyjnym kierownictwie w sprawie wysunięcia jej kandydatury na wicepremierkę.

Problem polega na tym, że każdy inny wybór będzie mniej lub bardziej przypadkowy, co na dłuższą metę może doprowadzić do rozpadu. Najwięcej uwagi skupił oczywiście Ryszard Petru, który zresztą jako pierwszy oficjalnie ogłosił swoje przywódcze aspiracje. Szans raczej nie ma, chociaż nie byłaby to najgorsza opcja. Były szef Nowoczesnej przy wszystkich swoich obciążeniach przynajmniej posiada integralne poglądy, które mają realne społeczne zakorzenienie i pozwalają komunikować się z konkretnymi grupami wyborców. A sama partia Szymona bez Szymona skazana będzie na próżnię.

Odejście Hołowni to kolejny dowód na niezwykłą wręcz stabilność polskiej sceny politycznej. Lider Polski 2050 podzielił los wszystkich poprzedników, którzy wchodzili na scenę na czele autorskich ruchów. Pierwszy był Janusz Palikot w 2011 r., potem pojawili się Paweł Kukiz i Ryszard Petru, następnie Robert Biedroń, wreszcie Szymon Hołownia. Ten ostatni okazał się najżywotniejszy i jako jedyny zapewnił swojej formacji udział w realnej władzy, a sobie – wysokie państwowe stanowisko. Nie uciekł jednak przed fatum. Jedyną nową formacją w ostatnich 15 latach, która zapuściła trwałe korzenie, wydaje się Konfederacja. Tyle że formacja Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka nie powstała na piaskach, tylko jest kontynuatorką wyrazistych nurtów polityczno-tożsamościowych, które funkcjonują od początku III RP.

Kiedy Hołownia meldował się na scenie, wzbudzając konsternację sporej części opiniotwórczych elit, jego fani pytali: a w czym właściwie jest on gorszy od Tuska i Kaczyńskiego? Dlaczego ambicje tamtych są uprawnione, podczas gdy Szymona ubiera się w szaty szarlatana i narcyza? Takie pytania nie były pozbawione słuszności, skoro mamy demokrację. Kwestią rozstrzygającą powinna być jednak pokora wobec politycznych reguł. Zrozumienie, że polityka nie jest dziedziną autonomiczną, lecz odzwierciedleniem aktualnych relacji społecznych na trwałym kulturowym fundamencie. Owszem, można owe relacje kształtować politycznymi metodami, co najlepiej wychodziło przez lata Kaczyńskiemu. Tusk wolał zręcznie poruszać się w ich obrębie, nie tyle starając się przesuwać mury, ile szukać w nich wyłomów. Obaj są jednak politycznymi zawodowcami i żaden z nich nie pozwoliłby sobie nigdy na pogardę wobec polityki.

A z taką emocją zazwyczaj wchodzą na scenę polityczne start-upy. Upojone własną świeżością popadają w naiwną wiarę, że są w stanie unieważnić zastany porządek, odrzucając odwieczne reguły polityki jako coś brudnego, niegodziwego. W praktyce przekłada się to na niechlujne bądź wybiórcze podejście do politycznego rzemiosła, z którego polityczni start-upowcy najchętniej wzięliby jedynie narzędzia podkreślające ich osobisty charyzmat. Zuchwałość i próżność zawsze zostają jednak na koniec ukarane.

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl acfe9a7195

Pakiet Mentzena

Prezes Kaczyński i premier Tusk mają duży problem z Konfederacją, która trzyma teraz klucz do przyszłych rządów. Dopóki się z nią nie uporają, przedterminowe wybory są dla nich mało opłacalne. Przejęcie sympatyków Mentzena i Bosaka wymaga jednak, zwłaszcza od liberałów, ryzykownych ideowych łamańców.

MARIUSZ JANICKI

Chociaż uwagę przyciągają widowiskowe starcia prezydenta Nawrockiego i jego ludzi z obozem premiera Tuska, najważniejsza batalia na partyjnej scenie toczy się wokół Konfederacji. Ta prawicowa formacja uważana jest dzisiaj za jedyny polityczny start-up, który będzie miał znaczenie w wyborach w 2027 r., pozyskujący nowych wyborców, spoza wpływów PiS i PO. Partia Hołowni, która miała być Konfederacją light, już się raczej nie podniesie, Lewica zakotwiczyła na ok. 6 proc.; Razem Zandberga spadło pod wyborczy próg, podobnie jak PSL.

Jako świeży pomysł pozostaje zatem tylko Konfederacja, ze swoimi 14–15 proc. zwolenników – i to ona posiada dzisiaj pakiet kontrolny polskiej polityki. Dlatego rozmaite zdarzenia na publicznej scenie w ostatnich i nadchodzących miesiącach można postrzegać jako elementy gry o Konfederację. Przez całe lata partie liberalne uważały na to, „co powie PiS", teraz liczy się, „co powie Konfederacja", choć nikt się do tego nie przyzna.

Jarosław Kaczyński przyjął metodę zaduszenia Konfederacji. Chce się pozbyć Mentzena, przejąć jego ludzi, a przede wszystkim wyborców. Bardzo ostro go atakuje, zarzuca społeczny darwinizm, powinowactwa z programem Balcerowicza, chęć sprywatyzowania gospodarki i ochrony zdrowia. Niedawno w Krakowie powiedział: „Realizacja pomysłów Mentzena w praktyce oznaczałaby rozpad państwa polskiego w kilka dni", i zapewnił, że koalicja z Konfederacją nie wchodzi w grę. Ponadto, zdaniem Kaczyńskiego, jest jeszcze jeden problem. Lider PiS powiedział niedawno, że koalicja z Grzegorzem Braunem nie wchodzi w grę, bo administracja USA się nie zgodzi; w domyśle, z uwagi na wrogość partii Brauna wobec Izraela – ale podobne zastrzeżenia dotyczą też Konfederacji. Beata Szydło powiedziała

eprasa.pl acfe9a7195

zaś, że Konfederacja „szantażuje" PiS tym, że nie wyklucza już teraz koalicji z Platformą. Pojawiają się głosy, że Mentzen powinien „przeprosić", „wydorośleć", „dołączyć do patriotów", ogólnie przestać się wygłupiać i zrozumieć swoje miejsce w układzie.

Taki metodyczny plan niszczenia może wydawać się dziwny, skoro to właśnie Konfederacja jako koalicjant może dać całej prawicy władzę w 2027 r. i tym samym możliwość odwetu na Tusku. Kaczyński jednak nie chce zawdzięczać zwycięstwa Mentzenowi, którego nie szanuje jako polityka niedoświadczonego i ideowo obcego. Zemsta na obecnym obozie władzy mogłaby być niepewna i niepełna, bo Konfederaci zaczęliby ogólnie „mendzić", domagać się mnóstwa posad i ważnych funkcji, np. w służbach specjalnych, nie zgadzać się na program PiS czy na najbardziej drastyczne rozwiązania, np. w mediach, sądownictwie i prokuraturze, zwłaszcza bez ich udziału. Kaczyński zdecydował zatem, że najpierw spróbuje odebrać Konfederacji wyborców, a z jego wystąpień przebija wiara, że są to w dużej mierze dawni sympatycy jego partii, których można ponownie pozyskać. Dlatego powtarza, że wynik 40 proc. wciąż jest możliwy, z czego śmieją się prokonfederaccy publicyści.

Mówi się też, że prezes chciałby rozbicia Konfederacji, odseparowania Nowej Nadziei Mentzena od Ruchu Narodowego Bosaka, ponieważ Bosak patrzy na PiS wyraźnie przychylniej od współlidera formacji. Jednak w samym ugrupowaniu Kaczyńskiego słychać głosy wyrażające wątpliwość co do sensu rozbijania Konfy. Unikatowość patentu Konferedacji polega na efektywnym, jak się okazało, połączeniu libertariańskiego wątku „niskich podatków", „niewtrącania się państwa", gloryfikacji życiowego indywidualizmu – z suwerenizmem, atakowaniem Unii Europejskiej, katolicką wsobną wspólnotowością, antysemityzmem, antyukraińskością itp.

To właśnie ta dziwaczna ideologiczna mikstura robi te kilkanaście procent poparcia. Muszą to wiedzieć Mentzen i Bosak, którzy wspólnie trzymają przepisy do tej specyficznej mieszanki. Zresztą w tym układzie to jednak Mentzen waży więcej niż Bosak, to on dostał blisko 15 proc. w wyborach prezydenckich. Dlatego strategia na rozbicie nie wydaje się racjonalna, natomiast ta na „zabicie" – obu składowych Konfederacji – jest w grze.

Kaczyńskiemu zdaje się zapewne, że nic nie traci na gnębieniu Mentzena, do wyborów jest jeszcze dużo czasu. Może zatem dowolnie grillować mniejszego partnera i sprawdzać jego psychiczną odporność. Najbliższe miesiące pokażą, czy da się odessać jakichś wyborców Konfederacji, czy też jest to zasób nieprzemakalny i do wykorzystania tylko w koalicji, z akceptacją autonomii.

Mentzen na razie ostro odpowiada na ataki Kaczyńskiego, jego ludzie przypominają, że „PiS wprowadził 35 nowych podatków", ale na jego niekorzyść w tej batalii przemawia ogólne przekonanie, że i tak w 2027 r. podda się woli Kaczyńskiego, tak jak musiał poprzeć Nawrockiego w ostatnich wyborach prezydenckich, bo presja prawicowych środowisk była bardzo silna. Prezes PiS liczy na takie same naciski w 2027 r., dlatego uważa, że teraz może zupełnie bezkarnie obrażać Mentzena, a potem ten i tak nie będzie miał innego wyjścia, jak przyjąć koalicyjny dyktat.

Kaczyński zarzuca Mentzenowi, że ten chce się potajemnie dogadać z Tuskiem, ale nie wydaje się, by sam w to wierzył. Żąda od Mentzena, aby ten już dzisiaj zdeklarował, że nie zwiąże się z obecnym obozem władzy, choć wie, że nie otrzyma takiej deklaracji i jej tak naprawdę nie oczekuje. Chodzi więc o nieustanne dręczenie oraz wysyłanie komunikatu do wyborców, że jedyną prawdziwą prawicą jest PiS i na nikogo innego nie warto głosować.

Dlatego przedterminowe wybory są mało prawdopodobne, ponieważ Kaczyński potrzebuje czasu na spacyfikowanie Konfederacji. Ale może w grę wchodzić „rząd techniczny", o którym ostatnio znowu zaczyna się w PiS wspominać (np. Michał Dworczyk). Wtedy Kaczyński jeszcze przed wyborami mógłby przećwiczyć koalicyjne warianty i sprawić, aby lider Nowej Nadziei nie przyzwyczajał się przedwcześnie do funkcji premiera. Tu wszystko będzie zależeć od PSL i Polski 2050, która ma mieć nowego szefa, a Kosiniak-Kamysz też będzie miał partyjne wybory.

Nie wydaje się jednak, aby w tym sejmowym rozdaniu nastąpiła wielka zmiana sojuszy, chyba że PO nagle zaczęłaby wyraźnie tracić poparcie w sondażach. Dopóki tak się nie dzieje, to nadal w partii Tuska inne ugrupowania widzą szalupę ratunkową, na którą można się ewentualnie przesiąść, gdyby własne notowania stały się zupełnie dramatyczne. Choć po prawdzie już dzisiaj są marne.

Mentzen wciąż próbuje utrzymać swój „symetryzm" i nie rozstrzygać o tym, z kim wejdzie w koalicję w 2027 r. Nie wypada w tym lawirowaniu specjalnie wiarygodnie, co widzi Kaczyński i jeszcze bardziej podkręca śrubę. Mentzen chciałby uchodzić za polityka, który „przewraca stolik", jest alternatywą dla PO-PiS i początkiem nowej ery. Ale wciąż jest traktowany jako dość oczywiste zaplecze dla PiS, bo to ze „wspólnego wyniku prawicy" partia Kaczyńskiego czerpie swój obecny triumfalizm, do tego stopnia, że „węgierski łącznik", poseł Marcin Romanowski, napisał ostatnio, że już się szykuje do powrotu, bo trzeba pilnie wsadzać do więzienia ekipę Tuska.

Mentzen zatem wciąż, przynajmniej w powszechnym odbiorze, nie przekroczył granicy rzeczywistej samodzielności. Może się stawiać, trzeba mu może nawet na to pozwolić, niech się wyszumi, ale niezmiennie jest zaliczany do rezerw PiS. Dlatego Kaczyński do ostatniego momentu będzie go zwalczał, a potem – jeśli nie uda się go pokonać i zepchnąć do okolic 5 proc. – będzie moralnie i politycznie szantażował, że lider Nowej Nadziei nie chce przystąpić do frontu walki z bezprawiem Tuska.

Nie do końca jeszcze wiadomo, jak silnym i niezależnym zawodnikiem jest Mentzen, i na ile ma wokół siebie lojalną ekipę, ale na pewno Kaczyński – z pomocą Adama Bielana – jest mistrzem w wyciąganiu ludzi z innych ugrupowań. Jednak ostatnie napaści Kaczyńskiego na Mentzena zniecierpliwiły nawet Przemysława Wiplera, który z reguły sprzyja PiS, i skłoniły go do napisania na X: „Nie jesteśmy sojusznikiem PiS i nie damy się wpisać w rolę sojusznika, zwłaszcza mniejszego, co jest celem strategicznym Jarosława Kaczyńskiego" oraz – „Efekt ataków Kaczyńskiego na Konfederację jest taki, że Sławomir Mentzen jest dziś drugim najbardziej zaufanym politykiem w Polsce, zaraz po prezydencie Nawrockim". Sam Mentzen zaś stwierdził: „Kaczyński ma potrzebę absolutnej dominacji i niszczenia wszystkich, którzy się koło niego pojawiają – a ja zniszczony być nie zamierzam". Jednocześnie bardzo ostro obaj krytykują Tuska, ostatnio za nowy system kaucyjny i przepisy dotyczące kryptowalut.

Po stronie koalicji 15 października kłopot z Konfederacją jest jeszcze większy. Oficjalnie nie ma mowy o przyszłym sojuszu z Mentzenem i Bosakiem, wciąż przypominana jest sławetna „piątka" tego pierwszego, katolicki fundamentalizm drugiego czy wrogość wobec Unii obu. Ale w rzeczywistości, ▶

© PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI

eprasa.pl acfe9a7195

▶ zwłaszcza w Platformie, wyraźnie widać uruchomiony projekt „Konfederacja". Zwiastun tendencji pojawił się w postaci Polski 2050 Hołowni, która rzeczywiście zbierała część wyborców nastawionych liberalnie do kwestii ekonomicznych, którzy potem w sporej mierze poparli partię Mentzena. To byli w istocie zwolennicy obozu prawicy, co pokazało ostatnie badanie opinii, z którego wynika, że teraz 73 proc. z nich wyraża się pozytywnie o prezydenturze Karola Nawrockiego.

Platforma, po spadkach Polski 2025, utraciła więc sporo koalicyjnego zasobu i choć pozbyła się w ten sposób konkurencji, nie ma czym uzupełnić tego ubytku. Stąd widać teraz wyraźny kurs na gospodarkę, przedsiębiorców, deregulację, infrastrukturę, tzw. wielkie projekty itd. A zarazem dostrzegalny odwrót od lewicowej agendy, kwestii obyczajowych, aborcji, związków partnerskich, praw środowisk LGBT itp. Nawet Mariusz Haładyj, nowy szef NIK, kiedy przedstawiał się na publicznym przesłuchaniu, podkreślał, że pracował nad rozwiązaniami ułatwiającymi życie przedsiębiorcom, może wyczuwał ten wiatr zmian w obozie władzy.

W Platformie nie widać większej wiary, że Mentzen może być przyszłym koalicjantem, bo jednak Kaczyński raczej go przekupi albo zastraszy. Chodzi bardziej o ponowne przejęcie tych „wolnorynkowców", którzy jeszcze na dobre nie zacumowali przy Konfederacji albo pozostają w grupie niezdecydowanych. Tak można odczytywać także spektakl wokół nocnej prohibicji w Warszawie, gdzie zapewne ujawniły się różne interesy i wewnątrzpartyjne rozgrywki. W końcu Tusk później jakoś niewyraźnie opowiedział się za jej wprowadzeniem, ale już po tym, jak jej z hukiem nie wprowadzono. Bez wątpienia, gdyby wcześniej zdecydował, że ma być prohibicja, byłaby, ponieważ warszawscy radni Platformy są zależni od Marcina Kierwińskiego, a Kierwiński od Tuska.

Za tę awanturę posypały się gromy na Rafała Trzaskowskiego, ale też dzięki temu sprawa stała się głośna, a Platforma, mimo wizerunkowych strat, ukazała się jako ugrupowanie zawzięcie broniące swobód ekonomicznych przed zakusami lewicy, przynajmniej na początku, bo potem zaczęła się łamać. Ogólna zasada jest dzisiaj jednak taka, że jeżeli nie bardzo wiadomo, o co chodzi, to zapewne chodzi o Konfederację.

Zarzucano sztabowi Trzaskowskiego, że strategia przypodobania się prawicowemu elektoratowi nie powiodła się i raczej przyniosła szkody. Ale teraz rozpoczęła się nowa rozgrywka, w której ok. 15 proc. wyborców Konfederacji jest kolejnym, decydującym celem. Podobnie jak sympatycy zanikającej Polski 2050, także zwolennicy Konfederacji są w ponad 90 proc. zadowoleni z prezydentury Nawrockiego. Zresztą popularność prezydenta wzrosła od wyborów, teraz sięga 57 proc. Zaskakujący dla wielu nie tak konfrontacyjny kurs Tuska wobec nowego prezydenta, jak się spodziewano, można zatem tłumaczyć właśnie chęcią budowania mostu dla „nieżelaznego" elektoratu Konfederacji. Nie ma żadnej gwarancji, że te zabiegi się powiodą, ale Platforma nie ma na razie innych opcji, brak jej nowego junior partnera. Pozostaje neutralizowanie, a czasami „przymilanie się" do Konfederacji.

Ostatnio w mediach pojawiło się kilka opinii, że ugrupowania liberalne powinny przestać się bać prawicy. Że należy odważniej forsować własną agendę, powrócić do wolno ściowych korzeni i tradycyjnego zachodniego modelu demokracji, z obyczajowymi swobodami, tolerancją i wzorcem otwartego społeczeństwa. Jednak z kręgu władzy słychać, że to nie publicyści muszą wygrać wybory, że takie postulaty dobrze wyglądają na papierze, że można się unieść godnościowo i bezkompromisowo, ale realia są, jakie są, a elektorat ma poglądy daleko niespójne. Przytaczane są przykłady: w kwietniowym sondażu ponad 60 proc. zapytanych uważało, że należy rozliczyć władzę PiS z minionej dekady, a kilka tygodni później wybory wygrał Karol Nawrocki wskazany przez prezesa PiS.

I dalej. Ostatnio ponad połowa Polaków (53 proc.) opowiedziała się w badaniu za wprowadzeniem edukacji zdrowotnej, ale też 58 proc. pozytywnie ocenia prezydenturę Nawrockiego, który ostentacyjnie wypisał swoje dziecko z tych lekcji. Wciąż oficjalnie obowiązuje wspieranie Ukrainy w wysiłku wojennym, ale nastroje antyukraińskie w Polsce, co też potwierdzają badania, stale rosną. Najlepszym premierem III RP w niedawnym sondażu okazał się Donald Tusk, wyraźnie wyprzedzając Mateusza Morawieckiego, a jednocześnie jego rząd właśnie przebił – od góry – po raz pierwszy w III RP granicę 30 proc. poparcia. Spadło też zaufanie do Unii Europejskiej – 50,3 proc., a nieufność wzrosła do 43,8 proc. W takich warunkach pracujemy – zdają się mówić ludzie z Platformy. Ich zdaniem trzeba raczej lawirować i jednak odnosić się do zwyżkujących poglądów, zwłaszcza że duża część młodych wyborców sympatyzuje z Konfederacją i także młodzi Polacy lepiej niż średnia dobrze oceniają Nawrockiego.

Formacja Mentzena i Bosaka jest zatem testowana, naśladowana i podgryzana z obu stron, choć na różne sposoby. PiS nie będzie rywalizował z Konfederacją na polu gospodarczego liberalizmu, ponieważ jest partią etatystyczno-socjalną, na tym Kaczyński zbudował legendę swojego ugrupowania i tego nie zmieni. Tym bardziej PiS ściga się z Konfą na ideologiczny antyimigracyjny radykalizm (zapowiedziany na 11 października marsz przeciw imigrantom), antyukraińskość, walkę z Brukselą, z „lewackością" itp. Platforma zaś odwrotnie: twarda antyunijna retoryka czy obyczajowa nietolerancja nie wchodzą w grę, pozostaje więc rywalizacja na hasła liberalizmu gospodarczego, ekonomicznych swobód, obrony przedsiębiorców przed podatkami, nadregulacjami itp. Czyli takie mruganie jednym okiem i przymykanie drugiego.

Powstaje pytanie, czy Konfederacja wytrzyma w tej strefie podwójnego zgniotu, czy też okaże się kolejnym ugrupowaniem sezonowym, które zacznie obniżać sondażowe loty i się w końcu rozmyje, jak wcześniej partie Palikota, Kukiza, Petru, Biedronia i ostatnio Hołowni. One też miały kiedyś kilkunastoprocentowe wyniki. Zgodnie z tą niepisaną regułą Konfederacja powinna w końcu osłabnąć i spaść pod próg. Na pewno jednak formacja ta weszła do politycznego głównego nurtu, mimo skrajnego w wielu punktach programu, czego nie zmieniło pozbycie się Grzegorza Brauna, który zresztą wciąż wspominany jest w Konfie z nostalgią. Gdyby Konfederacja miała kilka procent poparcia, z dokładnie tym zestawem poglądów, jakie teraz głosi, byłaby traktowana jako margines i kuriozum. Z obecnymi notowaniami stała się nagle poważnym partnerem, punktem odniesienia i obiektem zabiegów. To znak nowych politycznych czasów i lekcja dla sił demokratycznych – można się nieustannie dziwić, ale trzeba się z tym inteligentnie zmierzyć, żeby nie przegrać.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl acfe9a7195

BMW 740d xDrive Limuzyna: zużycie energii w cyklu mieszanym WLTP w l/100 km: 6,8–6,1; emisja CO_2, cykl mieszany WLTP w g/km: 178–160.

THE 7

BAYERISCHE MOTOREN WERKE

eprasa.pl acfe9a7195

gen. Wiesław Kukuła

gen. Karol Dymanowski

gen. Maciej Klisz

Głos wodzów

W czasie wojennym rośnie rola generałów, którzy coraz częściej goszczą w mediach. Jak wypadają na tle polityków i innych cywilnych ekspertów?

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Wtargnięcie rosyjskich dronów nad Polskę, a dwa dni później rosyjskich myśliwców nad Estonię wywołało raptowny wzrost obaw o bezpieczeństwo. Zanim politycy ruszyli ze stanowczymi deklaracjami o zestrzeliwaniu powietrznych intruzów, na pierwszą linię walki o uspokojenie nastrojów i odbudowę zaufania do państwa wysłali generałów. Na ekranach, łamach i stronach internetowych zaroiło się od gwiazdek i węży – generalskich dystynkcji. Dyskretnych, bo noszonych na polowych mundurach, a nie wyszywanych na galowo srebrzystą nitką. Nawet najwyżsi rangą dowódcy Wojska Polskiego występują w mediach od kilku lat ubrani tak jak w codziennej służbie. Ale nie o ich wizerunek tu chodzi, a bardziej o obraz sił zbrojnych – wzmocniony zdecydowaną reakcją na wtargnięcie dronów, ale nadwyrężony przez jej niezamierzone skutki – upadek rakiety na dom w Wyrykach. I niejasność co, kto i kiedy o tym zdarzeniu wiedział.

To, co politycy zabałaganili, wojskowi mieli wyjaśnić, wyprostowywać i uporządkować – na osobiste życzenie i służbowe polecenie ministra obrony Władysława Kosiniaka-Kamysza. Jedną z najważniejszych nauczek, jaką obecny szef MON wziął sobie do serca po rządach poprzednika, Mariusza Błaszczaka, jest to, by w sytuacjach kryzysowych samemu nie udawać dowódcy, a pozwolić mówić tym prawdziwym. To dla niego wygodne, bo minister zasłania się generalską „tarczą" i może używać cytatów będących prawdziwą komunikacją strategiczną, a nie wyłącznie przekazem dnia. Unika w ten sposób pokusy politycznego manipulowania faktami i ryzyka oskarżeń o to, a przy okazji nadaje oficjalnemu przekazowi wiarygodności, bo w chwilach trwogi Polacy chętniej ufają mundurom niż garniturom.

O czym i jak mówią

Opublikowane 17 września, w dniu historycznej rocznicy i tydzień po bitwie z dronami, badanie pracowni IBRiS pokazało rekordowy, 94-procentowy poziom zaufania Polaków do Wojska ▶

© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl acfe9a7195

BMW X7 M60i xDrive: zużycie energii w cyklu mieszanym WLTP w l/100 km: 12,9–12,1; emisja CO_2, cykl mieszany WLTP w g/km: 292–273.

THE X7

BAYERISCHE MOTOREN WERKE

eprasa.pl acfe9a7195

▶ Polskiego (wzrost o 2 pkt od zeszłego roku i o ponad 20 pkt od 2023 r.). W ogłoszonym dzień później sondażu CBOS niemal trzy czwarte pytanych chwaliło reakcję wojska na atak dronami, choć jednocześnie znaczna część respondentów wskazywała na zaniedbania polityków w budowie obrony antydronowej, a niemal 90 proc. ankietowanych opowiedziało się za zwiększeniem inwestycji w ten obszar. Nawet bez tych danych dla MON było jasne, że gdy sytuacja przekracza kolejny poziom napięcia, lepiej rozładują je wojskowi niż politycy.

Ale uwaga: to była też operacja wojskowa z zakresu walki informacyjnej. *Key leader engagement* (udział najważniejszych dowódców w debacie publicznej) to obowiązkowy i ważny dla wyższych oficerów NATO element wyszkolenia. Siła Sojuszu w ostatecznym rozrachunku opiera się na zaufaniu i poparciu społeczeństw państw członkowskich dla wydatków obronnych, służby wojskowej, udziału w obronie innych celów strategicznych uzgadnianych przez polityków, ale podpowiadanych przez wojskowych. „Walkę o serca i umysły" ponad 20 lat temu kojarzyliśmy z działaniami koalicjantów USA na Bliskim Wschodzie. Teraz toczy się ona u nas i w innych krajach NATO. O czym i jak mówią do nas wojskowi?

Ponieważ sprawa dotyczyła bezprecedensowego naruszenia granic Polski i NATO, komenda „wystąp" padła wobec najważniejszych wodzów. Jest ich w armii zaledwie kilku. Najważniejszy to szef sztabu generalnego, jeden z dwóch czterogwiazdkowych generałów w czynnej służbie, gen. Wiesław Kukuła. Stanowisko szefa sztabu, określanego mianem pierwszego żołnierza Rzeczpospolitej, otrzymał w październiku 2023 r., po pamiętnej podwójnej dymisji poprzedniego szefa gen. Rajmunda Andrzejczaka i dowódcy operacyjnego, gen. broni Tomasza Piotrowskiego na pięć dni przed wyborami. Rakowiecka (przy tej ulicy mieści się siedziba sztabu generalnego) to szczyt marzeń ambitnych oficerów; wyżej w Polsce zajść się nie da, choć można zostać kimś jeszcze ważniejszym – w strukturach NATO. Sztab Generalny Wojska Polskiego to głównie organ planistyczny, doradczy i programujący rozwój Sił Zbrojnych, ale w ramach niedokończonej reformy zyskał też kompetencje do dowodzenia wojskami.

Szef sztabu jest tym generałem, który w czasie wojny obejmie obowiązki naczelnego dowódcy, stanie na czele walczącej armii i ma doradzać prezydentowi w obronie kraju. Wiesław Kukuła bez ogródek mówił o tym rok temu młodym podchorążym z Akademii Wojsk Lądowych: „Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy tym pokoleniem, które stanie z bronią w ręku w obronie naszego państwa". Wtedy spotkał się z krytyką, nawet zwierzchników z MON, którzy zastanawiali się, czy nie straszy wojną. Dziś, gdy widać, że atak z powietrza może nadejść w każdej chwili, nikt nie podważa jego wypowiedzi. Nawet politycy, którzy Kukułę i innych oficerów wywindowanych przez Błaszczaka mieli za „pisowskich generałów", docenili jego prezentację na Radzie Bezpieczeństwa Narodowego.

Szybka nauka

W pierwszym wywiadzie po ataku rosyjskich dronów, wieczorem 10 września, mówił w TVN24, że nie ma satysfakcji, iż jego prognozy zaczynają się sprawdzać. Ale wojną nie straszył – podkreślał rolę przygotowania, nawet na najgorsze, etos społeczeństwa – obrońców (na wzór Izraela) i znaczenie Sojuszu dla Polski. O nocnej bitwie z dronami mówił zaskakująco szczegółowo – w pierwszej chwili umknęło nawet, jak przyznał, że na dom w Wyrykach mogła spaść nasza rakieta. To był pierwszy taki występ szefa sztabu, w tak krótkim czasie po zaistnieniu tak poważnej sytuacji kryzysowej. Znak tego jak poważnie została potraktowana w sferze komunikacji.

W późniejszych wypowiedziach Kukuła ujawnił mrożący krew w żyłach fakt, że ludzie odpowiedzialni za system obronny Polski i NATO na poważnie rozważali tej nocy scenariusz eskalacji – ataku rakietowego, jakiego drony miały być tylko wstępem. „Oficer musi zawsze mówić prawdę, nawet tę najbardziej bolesną. Od tego jesteśmy. Nie jesteśmy politykami" – kwitował, gdy niemal mijał się w studiu ze swoim przełożonym, ministrem obrony. To też był symbol, kto ma mieć pierwszy głos. Ale szef sztabu nie był jedynym „rzecznikiem bezpieczeństwa narodowego". Wszyscy czekali na pojawienie się przed kamerami głównego bohatera bitwy z dronami, dowódcy operacyjnego rodzajów sił zbrojnych, czyli DORSZ, gen. broni Macieja Klisza.

Był do tej pory jednym z najmniej znanych z najważniejszych dowódców. Przez długie lata współpracownik Kukuły w WOT, a wcześniej w Jednostce Komandosów w Lublińcu, pozostawał w cieniu wygadanego i znakomicie czującego się wśród polityków i mediów szefa. Dowódcą operacyjnym został nagle, przechodząc z funkcji zastępcy dowódcy WOT, gdy Kukuła został szefem sztabu generalnego. Był to dla Klisza awans o dwa szczeble w wojskowej hierarchii, bo choć WOT był osobnym rodzajem sił zbrojnych i liczył wówczas ponad 30 tys. żołnierzy, to jednak nie dawał strategicznego horyzontu potrzebnego do dowodzenia na szczeblu operacyjnym. Maciej Klisz musiał się bardzo szybko uczyć, ale studia generalskie w USA i sojusznicze kontakty zdobyte w siłach specjalnych pomogły, tak jak udział w misjach w Afganistanie i Bośni. Naszywka Rangera budziła w wojsku szacunek i mówiła, że nie spędził służby za biurkiem.

Klisz nie szukał medialnej popularności, ale pytany – mówił jak jest. Kilka miesięcy temu, jako jeden z pierwszych wysokich rangą wojskowych, powiedział że nieuchronne jest przywrócenie obowiązkowej służby wojskowej, bo na wojnę Polsce potrzebnych będzie 7 mln rezerwistów, szkolonych minimum 40 dni. Teraz nie wahał się przeciąć spekulacji, kto co wiedział o incydencie w Wyrykach, przypominając sprawę rakiety „zgubionej" przez Błaszczaka: „Jako dowódca operacyjny do obu instytucji (BBN i MON) skierowałem taką samą ocenę sytuacji". Powiedział też coś o komunikacji na zewnątrz: „Trzecią osobą, którą poinformowałem, co się dzieje w nocy, był mój rzecznik prasowy, właśnie po to, żebyśmy mogli we właściwy sposób informować społeczeństwo". Nie sposób nie dostrzec amerykańskiego podejścia do roli wojska w demokratycznym społeczeństwie, które ma prawo do pełnej i wiarygodnej informacji, gdy w powietrzu wisi wojna.

Wojenka młodych ze starymi

Dzisiejsi generałowie to inne pokolenie niż wychowani w kulcie tajności oficerowie pamiętający Układ Warszawski. Najważniejsi dowódcy to w większości młodzi 50-latkowie, z numerem PESEL zaczynającym się na 7. Kukuła i Klisz są równolatkami, mają 53 lata. Pierwszy zastępca Kukuły, Karol Dymanowski, też uczestniczący w kampanii informacyjnej, jest od nich jeszcze młodszy, nie ma nawet pięćdziesiątki, a już nosi trzy gwiazdki.

eprasa.pl acfe9a7195

Piknik wojskowy na Mazurach. Wojsko musi być nie tylko uzbrojone i wyszkolone. Musi mieć wsparcie i zaufanie społeczeństwa.

Zmiana pokoleniowa rzuca się w oczy, bo wcześniej szefem sztabu generalnego zostawało się na koniec wojskowej kariery, a więc bliżej sześćdziesiątki. Czy te kilka lat mniej wojskowego doświadczenia to istotny minus? Czy awansów nie rozdawano ostatnio zbyt szybko? Bez wątpienia polityczne zawirowania mocno zakłóciły tradycyjną i najbardziej pożądaną ścieżkę produkcji generalskich kadr, a argumenty o braku doświadczenia w dowodzeniu brygadą, dywizją czy na wyższym szczeblu sojuszniczym warto brać pod uwagę.

Ale tak się składa, że jednym głosem z młodszymi o dekadę kolegami mówił – z Brukseli, w prasowym wywiadzie – nasz drugi czterogwiazdkowiec w służbie, stały przedstawiciel Polski w komitetach wojskowych NATO i Unii Europejskiej, gen. Sławomir Wojciechowski, jeden z najbardziej doświadczonych oficerów, niemający szczęścia do najwyższych stanowisk w kraju. Generalska „młodzież" podejmuje zaś aktywną polemikę z wygłaszającymi krytyczne opinie z internetowych ekranów generałami w stanie spoczynku. Wiele razy w ostatnich dniach można było usłyszeć o tym, że „sędziwy wiek" nie oznacza znajomości dzisiejszych reguł, procedur i planów obronnych – tak polskich, jak przede wszystkim sojuszniczych. NATO i polska armia przechodzą tak dynamiczne zmiany, że doświadczenie sprzed 10 lat jest już historią.

Ale dochodzi też do spektakularnych przejawów pojednania i braterstwa. Wciąż aktywny w debacie publicznej były szef sztabu generalnego, gen. Rajmund Andrzejczak, wystąpił w niecodziennej roli, prowadząc wywiad z obecnym szefem sztabu, gen. Kukułą. Andrzejczak od ponad roku z byłym szefem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych dr. Sławomirem Dębskim prowadzą w youtube'owym Kanale Zero programy cieszące się sporą widownią. Niespodziewanie, tydzień po szczycie dronowego kryzysu, Andrzejczak zaprosił Kukułę do rozmowy jeden na jeden. To była niespodzianka, bo wcześniej całe wojsko wiedziało, że między Andrzejczakiem a Kukułą, oględnie mówiąc, nie było chemii.

Zaważył na tym konflikt na szczytach władzy, w którym Andrzejczak był nominatem prezydenta Andrzeja Dudy i jego zaplecza z BBN, a Wiesław Kukuła miał łatkę bliższego politykom PiS i MON za czasów Antoniego Macierewicza i Mariusza Błaszczaka. Otwarcie się nawzajem nie krytykowali, ale nie było oznak, by się lubili i cenili. Najwyraźniej jednak sytuacja, która potrafiła zbliżyć do siebie wrogich polityków, zasypuje też podziały u mundurowych (choć Andrzejczak siedział w garniturze, a Kukuła był w polowym mundurze wojsk specjalnych, w charakterystycznym kamuflażu multicam). Panowie oficerowie pogadali sobie przez półtorej godziny, w świetnej komitywie. Obserwatorzy znający odmienne charaktery obu generałów widzą w tym bardziej część operacji informacyjnej skierowanej do innego audytorium niż naziemne telewizje (choć 320 tys. wyświetleń nie jest żadnym rekordem) niż demonstrację ich wielkiej przyjaźni.

Zbiorowy wysiłek

Dzisiejsi żołnierze, tak generałowie jak szeregowi, mają się przede wszystkim sprawdzać w obronie Polski. Jeszcze dekadę temu przepustką do wojskowej kariery był Afganistan, Irak lub wcześniejsze misje na Bałkanach, najlepiej w pakiecie. Międzynarodowe i sojusznicze doświadczenie wciąż się liczy, ale punkt ciężkości przeniósł się na ochronę ludności i obronę kraju. Covid-19, granica z Białorusią, klęski żywiołowe, w tym zeszłoroczna powódź, a jeśli udział w kontyngentach, to przede wszystkim na wschodniej flance NATO – na Łotwie (kompania czołgów), w Rumunii (kompania Rosomaków), w powietrznej policji NATO na samolotach F-16 i MiG-29, w szkoleniu i zaopatrywaniu wojsk Ukrainy.

W cenie jest realizowana w praktyce sojusznicza i „wielodomenowa połączoność" (z innymi nacjami i innymi rodzajami wojsk), ale też coraz bardziej współpraca wojskowo-cywilna, bo armia tylko w czasie pokoju może być samowystarczalna, a na wojnie w wielkim stopniu zależy od przychylności cywilnego otoczenia. Akurat gen. Kukuła, jako ojciec założyciel Wojsk Obrony Terytorialnej i długoletni partner amerykańskiej Gwardii Narodowej, ma to we krwi i głowie. Po nominacji na najwyższe w wojsku stanowisko jakiś czas zabrało mu połączenie lekkiej piechoty „bliskiego zasięgu i narodowego autoramentu" z wielozadaniowymi wojskami operacyjnymi o strategicznym rozmachu. Dziś już swobodnie mówi o działaniach lotnictwa, a jeszcze szerzej wypowiada się o operacjach cyber, logistyce czy roli marynarki wojennej w czasie pokoju. Za zgodą Kosiniaka-Kamysza na zastępców i asystentów dobrał sobie oficera sił powietrznych od rozpoznania i walki radioelektronicznej, doświadczonego pancerniaka z krwi i kości, logistyka-ekonomistę, dwóch lotników z wojsk śmigłowcowych, a ostatnio wiceadmirała marynarki wojennej, który w porę odszedł z BBN.

Przekaz, jaki płynie od wodzów, wydaje się jasny i mimo powagi sytuacji budujący: państwo pod presją zagrożenia działa, NATO ma wystarczające siły i środki oraz sprawdzone procedury, by bronić terytorium Polski, a nasze wojsko wcale nie jest z tektury. Podkreślają jednak, że wszystko, co robią, jest zbiorowym wysiłkiem – sił zbrojnych, Sojuszu, całego państwa, i że najważniejsi są ci na pierwszej linii, piloci i operatorzy systemów radarowych. Generałowie oczywiście sprzedają nam swoją opowieść, a nawet – w ramach wspomnianej operacji informacyjnej usiłują aktywnie kształtować poglądy obywateli. Do nas wciąż należy wybór, kogo słuchamy – ludzi z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem w wojsku czy anonimowych „ekspertów" z internetu. Innych generałów możemy się kiedyś doczekać, ale innej armii nie mamy.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

© STACH ANTKOWIAK/REPORTER

eprasa.pl acfe9a7195

Zdalne porno

AGNIESZKA SOWA

OnlyFans to portal, na którym królują erotyka i porno, jednak teraz zakładają na nim konta popularne influencerki, które do tej pory nie miały nic wspólnego z branżą 18+. Coraz częściej także z Polski.

ILUSTRACJA MARTA RÓŻA ŻAK

eprasa.pl acfe9a7195

Niebieska platforma, jak nazywany jest OF, staje się coraz bardziej popularna w Polsce. Nie ma u nas może tak dużo klientów, bo portal jest płatny, za to coraz więcej Polek próbuje tam zarabiać. Na pierwszy ogień poszły znane z socjali influencerki. A za nimi, jak w dym, młode dziewczyny zapatrzone w swoje idolki z internetu.

Badanie IQS z 2021 r. („Aspiracje dziewczynek w Polsce") wskazuje, że 48 proc. dziewcząt w wieku 10–15 lat chce zostać influencerkami. Uznały prowadzenie kanału na YouTube, Instagramie czy TikToku za atrakcyjne zajęcie zawodowe. Tak było cztery lata temu, dziś, jak twierdzą socjologowie, popularność zawodu influencerki u młodych dziewczyn może być tylko większa.

A w pokazywaniu ciała online nie widzą niczego zdrożnego: przecież tak robią wszyscy. Nagość przestała być czymś intymnym, a stała się towarem. Który można dobrze sprzedać i kupić sobie wymarzony ciuch czy powiększyć usta. Ćwierć wieku temu były galerianki, dziś licealistki i studentki wolą dorobić na OF i nie czują się jak sexworkerki tylko influencerki. Dorastały w świecie social mediów, Instagrama i TikToka, gdzie liczy się wygląd i lajki. Od dzieciństwa porównywały się z idealnymi influencerkami z reklam i rolek i ciągle próbują im dorównać.

Akceptacja publiczności i fanów jest dla nich wszystkim. I nie mają poczucia, że robią coś złego, bo nagość i erotyka są wszędzie. Trudno im się dziwić, skoro np. portal Oświęcim Nasze Miasto informuje z dumą, że „Śliczna Ania Kinski z Oświęcimia robi międzynarodową karierę. Nie wstydzi się swojej pracy". I zachęca, by zobaczyć jej zdjęcia na Instagramie. „Śliczna Ania Kinski" była modelką, potem aktorką porno, dziś, zbliżając się do pięćdziesiątki, działa głównie na OnlyFans.

Na platformie sporo jest też tzw. milfów (milf z ang. *mother I want to fuck*). W Top25 polskich influencerek na Only Fans jest np. Judyta Olejnik z Bydgoszczy, która przedstawia się jako mama Oliwerka i Liwki. Na jej Instagramie roznegliżowane zdjęcia w zachęcających pozach i erotyczne filmiki sąsiadują ze zdjęciami kilkuletnich pociech. Co pokazuje na OF, nie wiadomo, bo tam zdjęcia i filmy są za paywallem.

Tylko za kasę

OnlyFans tym się różni od innych social mediów, że daje możliwość publikowania tzw. treści premium, dostępnych tylko dla subskrybentów. W praktyce zdjęcia, filmy i transmisje na żywo zamieszczane na OF najczęściej mają charakter erotyczny lub wręcz pornograficzny. Twórcy, a w 2024 r. na platformie było ponad 5 mln zarejestrowanych kont, zarabiają na subskrypcjach, prywatnych zleceniach od swoich fanów i napiwkach. Do ich kieszeni trafia 80 proc. przychodu, resztę zabiera portal. Aby rozpocząć działalność, wystarczy założyć konto, dodać metody płatności, zweryfikować swoje dane i ustalić cenę subskrypcji, co umożliwia łatwe udostępnianie płatnych treści. Trzeba mieć skończone 18 lat i kartę kredytową.

– *OnlyFans ma jeden z najskuteczniejszych w branży pornograficznej mechanizmów weryfikacji wieku* – mówi prof. dr hab. Mateusz Gola z Instytutu Psychologii Polskiej Akademii Nauk i Institute for Neural Computation na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego, specjalizujący się w badaniach uzależnień behawioralnych (np. od pornografii), autor m.in. książki „Gdy porno przestaje być sexy". – *Aby zostać twórcą i zarabiać za pomocą platformy, trzeba mieć skończone 18 lat i potwierdzić to dokumentem tożsamości (paszport, dowód osobisty, prawo jazdy), przejść proces tzw. KYC (Know Your Customer). Obejmuje on przesłanie skanu dokumentu oraz selfie weryfikacyjne. Wymagane jest posiadanie konta bankowego w kraju obsługiwanym przez OnlyFans do wypłat. Wypłaty są dokonywane przelewem.*

Każde zabezpieczenie można jednak obejść i zdarzały się przypadki, że na portalu rejestrowały się osoby niepełnoletnie. Niespełna rok temu doświadczony w sprawach o wykorzystywanie nieletnich kanadyjski śledczy zaraportował 26 kont, które w jego opinii publikowały zdjęcia i filmy z udziałem nastoletnich dziewczynek. Na jednym koncie często pojawiało się ich więcej, niektóre konta były ze sobą powiązane, co wskazywałoby na działanie zorganizowanej grupy. Zresztą przy takich zabezpieczeniach, jakie ma OF, ktoś dorosły musiał nastolatkom te konta założyć i odbierać przelewy od ludzi płacących za zdjęcia i filmy. W oświadczeniu dla BBC przedstawiciel OnlyFans zapewnił, że zawsze, gdy dostaną takie powiadomienie, podejmują natychmiastowe kroki w celu zbadania i zawieszenia kont założonych przez osoby nieletnie. I tak się też stało już następnego dnia po wpłynięciu wspomnianego zawiadomienia. – *Ograniczenie dostępu dla nieletnich jest konieczne, chociaż dziś wiemy już, że kora czołowa mózgu człowieka rozwija się jednak trochę dłużej niż do 18. roku życia* – mówi prof. dr hab. Mateusz Gola. – *W wieku 18 lat wiele osób jeszcze nie jest w stanie w pełni oszacować ryzyka i długofalowych konsekwencji swoich działań. Proponowałem takie rozwiązanie, że odbiorcą pornografii można być od 18 lat, ale żeby w niej występować, granice powinny być postawione jednak trochę wyżej, np. od 26. roku życia, gdy kora czołowa jest już w pełni rozwinięta.*

Miliardy od milionów

Platforma społecznościowa OnlyFans założona w 2016 r. w Wielkiej Brytanii przez Tima Stokelya, chcącego stworzyć serwis, na którym twórcy mogliby zarabiać bez udziału reklamodawców, okazała się sukcesem finansowym. W zeszłym roku jej zarejestrowani użytkownicy, ponad 300 mln osób, wydali tam ok. 7 mld dol., o 20 proc. więcej niż w 2023 r. Popularność serwisu zaczęła rosnąć w pandemii, kiedy wiele osób straciło pracę i zaczęło szukać możliwości zarabiania w internecie, a miliony potencjalnych odbiorców siedziało w domu na pracy zdalnej.

Im młodsza, tym lepsza

Lena Polanski (to najprawdopodobniej pseudonim), Polka mieszkająca w USA, znana swoim fanom jako Little Polish Angel, konto na niebieskiej platformie założyła po drugim roku college'u, z którego potem ją wyrzucono, właśnie za publikowanie treści pornograficznych w internecie. Zarabia miesięcznie 65–150 tys. dol. i twierdzi, że sukces zawdzięcza przede wszystkim polskiemu pochodzeniu. Amerykanów podobno kręcą ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl acfe9a7195

▶ *slavic girls*. Ale jeszcze ważniejszy jest młody wygląd: *younger the better* mówi w podkaście zbiorowym Tomka Wilczyńskiego i Marcina Stankiewicza, odpowiadając na pytanie, co jest kluczem do sukcesu na OF. Rzeczywiście Lena nie wygląda nawet na swoje 23 lata (a niektóre źródła podają, że ma więcej, bo 28), jest szczupła, nawet eteryczna, taka słodka blondyneczka, z małym, jak u nastolatki, biustem. Nie przypomina gwiazdy porno. Przyznaje, że celowo w filmikach stylizuje się na licealistkę, taką *girl next door*. – *To wynika z preferencji fanów, czyli subskrybentów, wszystko jest motywowane jak największą możliwością monetyzacji* – mówi prof. Mateusz Gola. – *Od strony neurobiologicznej wiemy, że mężczyźni są głównie zainteresowani młodymi kobietami i ta preferencja u większości mężczyzn z wiekiem się nie zmienia. Czasem wręcz te zainteresowania dryfują w stronę coraz młodszych kobiet.*

Agata Fąk znana szerzej jako Fagata. Influencerka i raperka.

Victoria Sinis, która była rekruterką w agencji OnlyFans, w wielu wywiadach mówi o tym, że dziewczyny wyglądające na młodsze niż są w rzeczywistości, mają największe szanse na sukces na niebieskiej platformie. I jako przykład podaje Sophie Rain, amerykańską *OnlyFan girl*, która ma całą drużynę dziewczyn. Niektóre wyglądają, jakby miały 12 lat. Wszystkie na swoich kontach na TikToku publikują dziecinny *content*, bitwy na poduszki, *pyjama parties*, tutoriale makijażu, tańce i w ten sposób promują swoje konta na OF.

Od grudnia 2024 r. mieszkają razem w wynajętej luksusowej rezydencji na Florydzie nazwanej *Bop House*. Bop, z angielskiego *baddie on point*, w slangu amerykańskiego pokolenia Z oznacza osobę zarabiającą swoim ciałem. A drużyna Sophie jest kolektywem internetowych twórców, jak w Polsce Team X, którego członkowie nie tylko mieszkają razem, ale też wspierają się w swoich produkcjach, udostępniając je nawzajem i wspólnie w nich występując. Wielki dom służy im za scenerię do filmików.

Konto Bop House na TikToku zanotowało 1,3 mln obserwujących zaledwie miesiąc po starcie. Trudno się dziwić: każda z mieszkanek luksusowej rezydencji ma swoje konta na portalach społecznościowych i razem mają ok. 33 mln fanów. Co przekłada się na gigantyczne zarobki. W grudniu 2024 r. cały kolektyw zarobił 10 mln dol. Rocznie poszczególne mieszkanki deklarują od 54 tys. dol. tygodniowo do rekordowej sumy 43 mln dol., jakie w jednym roku zarobiła Sophie Rain, która zresztą reklamuje się jako dziewica, wierząca chrześcijanka, pokazuje zaręczynowy pierścionek i zapewnia, że zdecyduje się na seks dopiero po ślubie. Dwa miesiące temu Sophie Rain, po sprzeczce z Camillą Araujo, opuściła Bop House, ale ten tiktokowy dom, jak go nazywają w USA, działa dalej.

Łańcuszek socjali

To, że „twórczynie" z Bop House publikują na TikToku i Instagramie treści skierowane do najmłodszych, niepełnoletnich odbiorców po to, by w ten sposób reklamować swoje konta na OnlyFans, na których zamieszczają treści 18+, wywołuje kontrowersje, ale nie jest sprzeczne z prawem. Jednak budzi duży niepokój w USA. Badania pokazują, że nawet 9-latki wiedzą, co to jest Bop House, a próba dostania się do Bop House stała się popularnym *challengem* (z ang. wyzwaniem) na TikToku, podczas którego setki nastoletnich dziewcząt naśladowało układy taneczne członkiń Bop House, mając nadzieję, że zostaną zauważone i dostaną się do domu marzeń.

Sprzężenie TikToka i Instagrama z OnlyFans jest gwarancją finansowego sukcesu i taki schemat stosuje większość *OnlyFan girls*, które na tym portalu robią karierę. Jak to działa, tłumaczy Lena Polanski, której filmiki na TikToku miały milionową liczbę wyświetleń: do profilu na TikToku podpina się Instagrama, a na Instagramie jest już link do specjalnie w tym celu utworzonej strony, która prowadzi do OnlyFans.

Ten mechanizm sprawia, że zarabianie dużych pieniędzy na OnlyFans jest łatwiejsze dla influencerek, które mają już duże grono obserwujących na innych portalach. I to jest pokusa, której niektóre nie potrafią się oprzeć.

Jak Ewa „Kleo" Brodnicka, polska zawodowa bokserka, była mistrzyni Europy w wadze lekkiej i była mistrzyni świata federacji WBO w wadze superpiórkowej. Dziś jest freak fighterką (od 2021 r. walczy w MMA) i influencerką, a zarabia na OnlyFans. Podobnie Klaudia Kołodziejczyk, znana jako Sheeya, zawodniczka Fame MMA. Twierdzi, że to, co publikuje na OF, niewiele się różni od zdjęć, jakie wstawia na Instagramie, to nie są pornograficzne treści ani nawet zdjęcia całkiem nago, co najwyżej erotyczne i prowokujące. „Są takie bardziej rozbierane, na których nie mam bielizny i np. zakrywam się ręką, ale to dalej jest w mojej strefie komfortu" – mówi w wywiadzie na youtube'owym kanale Weroniki Woszczek. Podobne zdjęcia Sheeya publikuje na Instagramie, bo lubi swoje ciało. A potem dostaje od obcych facetów zdjęcia pokazujące, co robią, patrząc na nią. „Wolę więc, żeby mi za to płacili, bo zdarza się, że nawet zdjęcie twarzy z jakiegoś wywiadu służy do tego. Jak ktoś jest wkręcony w jakąś osobę, to też wystarczy. Więc czemu by tego nie spieniężać? Zarabiam pieniądze i nie obchodzi mnie, czy ktoś sobie do tego zwali, czy nie".

Decyzja Sheeyi początkowo sprawiła, że na influencerkę wylała się fala hejtu. Internauci zarzucili jej, że nie ma szacunku do samej siebie. Klaudia odpowiedziała na Twitterze, że większą oznaką braku szacunku do siebie jest chodzenie do pracy, której nienawidzimy, czy przebywanie w toksycznym związku. Emocje opadły i teraz Klaudia Kołodziejczyk twierdzi, że już nie spotyka się z hejtem z powodu konta na OF. A inne influencerki mówią jej, że też by to zrobiły, tylko boją się opinii.

Nie odstraszyło to Nikity, która zaczynała przy boku patostreamera Daniela Magicala jako jego dziewczyna i towarzyszka libacji w ruderze na Urzędniczej w Toruniu. Kiedy z nim zerwała i skończyła z piciem, skończyły się też pieniądze z life'ów na TikToku. Więc zdecydowała się na założenie konta na OnlyFans i teraz z zarobionych tam pieniędzy utrzymuje siebie i swojego nowego chłopaka Łukasza, znanego jako Cameraboy.

Oswajanie pornografii

Mniej więcej w tym samym czasie konto na niebieskiej platformie założyła Fagata, czyli Agata Fąk. Zrobiła wokół tego dużo szumu, zapowiadając, że będzie to najbardziej oczekiwane w Polsce konto na OF. Co okazało się dobrą strategią. Influencerka i popularna raperka chwali się, że jest w 0,03 proc. najlepiej

© PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS, ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl acfe9a7195

zarabiających na OnlyFans. Mówi o 220 tys. zł za miesiąc. Podkreśla, że jest z tego dumna, bo lubi wszystko, co jest związane z kasą.

Jej nastoletnie fanki z TikToka i Instagrama łatwo mogą dojść do wniosku, że nie ma nic złego w tym, że ich idolka na OF pokazuje trochę więcej swoich wdzięków niż na innych social mediach.

– *To idzie w obu kierunkach* – mówi prof. Mateusz Gola. – *Z jednej strony od wielu już lat jest przyzwolenie na nagość, akceptacja treści erotycznych w mediach tradycyjnych, w telewizji, kinie, teledyskach czy w tzw. tradycyjnych social mediach, na YouTube, Instagramie czy Facebooku. Więc mamy grupę influencerów, którzy zaczynają od mediów tradycyjnych, ale przez to, że tam pokazują coraz śmielej swoje ciało, wchodząc w strefę erotyki, w pewnym momencie po prostu to się zaczyna przenikać, potem część idzie jeszcze dalej, no bo skoro już i tak pokazali tyle, no to dlaczego na Only Fans nie pokazać więcej.*

Klaudia Kołodziejczyk, czyli Sheeya. Influencerka i zawodniczka Fame MMA.

Ruch w drugą stronę symbolizuje Lena Polanski, „Little Polish Angel". Zaczynała od OnlyFans, a teraz idzie w stronę bardziej tradycyjnych mediów społecznościowych, YouTube, TikToka czy Instagrama. Tam publikuje, reklamuje się i sprzedaje np. kursy online dla dziewczyn, które chcą zarabiać na OnlyFans. Pokazuje, jak to robić krok po kroku. Najpierw trzeba założyć konto na OnlyFans. I promować się stopniowo w innych mediach, które mają znacznie większe zasięgi, na TikToku i Instagramie. – *Już od przynajmniej pięciu lat obserwujemy ruch w tę drugą stronę* – mówi prof. Mateusz Gola. – *Osoby tworzące treści erotyczne, pornograficzne po to, by dotrzeć do większego grona odbiorców, erotyzują media społecznościowe tradycyjne. I z aktorek porno stają się influencerkami.*

Lena Polanski też uważa się za influencerkę, żartuje, że jest najbardziej zdemonetyzowaną influencerką na polskim Instagramie. Bo nie jest *brand friendly*, czyli nie współpracuje z żadną marką, nie reklamuje niczego poza sobą.

Do tej pory firmy nie zatrudniały do reklamy swoich produktów dziewczyn, których wizerunek jest kojarzony z portalami dla dorosłych. Jako pierwszy tę niepisaną zasadę złamał koncern L'Oréal. Należąca do niego od 2012 r. marka Urban Decay dwa miesiące temu zatrudniła do reklamy swoich kosmetyków do makijażu, jako ambasadorkę całej linii, dziewczynę o imieniu Ari Kytsya, znaną „twórczynię kontentu dla dorosłych na platformie OnlyFans", jak piszą o niej anglojęzyczne media, czyli po prostu gwiazdkę porno. Ale Kytsya ma poza tym 4,6 mln obserwujących ją na Instagramie i TikToku i umiejętnie miksuje lifestylowe treści z nagimi erotycznymi zdjęciami i filmikami porno, które publikuje na OF jako, jak sama się nazywa *Mattress actress*, z ang. aktorka materaca.

Organizacje broniące praw kobiet nie kryją oburzenia. Penny East z Fawcett Society obawia się, że młode dziewczyny będą naśladować gwiazdy porno, mając nadzieję, że w ten sposób zdobędą sławę i majątek w reklamie. – *Problemem jest to, że kształtowane są postawy normalizujące sex working i pornografię wśród osób niepełnoletnich* – mówi Mateusz Gola. – *Większość nastolatek zapewne ma do tego dystans, ale u części będzie się kształtował taki sposób myślenia, że to jest okej, to jest normalne, mogę tak żyć. I tak zarabiać duże pieniądze. Ale to błąd, ponieważ tylko nieliczne dziewczyny na OnlyFans są w stanie się z tego utrzymać, a raz wrzucone w internet nagie fotki lub filmy nie znikają i mogą w przyszłości powodować różne nieprzyjemne konsekwencje, których 18-letnia kobieta jeszcze nie dostrzega.*

Łatwe pieniądze z samotności

Już i tak swoje robią doniesienia o rekordowych zarobkach gwiazd OF. Blac Chyna (Angela White), była striptizerka słynnego klubu w Miami, aktorka i celebrytka, wystartowała w 2020 r. i już rok później, w swoim najlepszym okresie, zarabiała 20 mln dol. miesięcznie. Jej film, na którym stopami ugniata winogrona, miał od razu ponad milion wyświetleń. W 2021 r. zadeklarowała przychód w wysokości 240 mln dol. i zaraz potem odeszła z platformy. Na drugim miejscu znalazła się aktorka Bella Thorne z 11 mln dol. miesięcznie. Rekordzistką i tak pozostanie jednak 19-letnia raperka Bhad Bhabie, która pierwszy milion dolarów na OnlyFans zanotowała po 6 godzinach od założenia konta.

– *To są pojedyncze przypadki* – mówi Victoria Sinis, która pracowała jako rekruterka dla agencji OF, w wywiadzie na YouTube na kanale Uncensored W/ Brittni De La Mora. – *Przeciętne zarobki dziewczyny na OF to 180 dol. miesięcznie.*

Sprzedają nie tylko zdjęcia i filmy na zamówienie dla klientów ze specjalnymi seksualnymi oczekiwaniami. Obsługują też fetyszystów, wysyłając za opłatę noszoną bieliznę, słoiki z moczem czy śliną.

OnlyFans to platforma działająca w systemie pay per view. To, że publikowane filmy i zdjęcia znajdują się za tzw. paywallem, daje dziewczynom złudzenie prywatności. W rzeczywistości najbardziej ekscytujące materiały wyciekają z niebieskiej platformy i przeciętnie uzdolniony 15-latek łatwo może je znaleźć na darmowych stronach w sieci.

W sieci jest dużo darmowej pornografii. Po co więc płacić subskrypcję za coś, co można mieć za darmo? Skąd tak duża popularność płatnej platformy? „OnlyFans to coś zupełnie innego – mówi Lena Polanski. – Tu mężczyźni przychodzą zaciekawieni konkretną osobą i za możliwość oglądania tej osoby w bardziej intymnych sytuacjach czy za wirtualną znajomość z nią są gotowi płacić".

– *W wielu przypadkach jest to współczesna forma personalizacji pornografii albo budowania płatnej relacji seksualnej na odległość* – mówi prof. Gola.

Stali bywalcy, którzy regularnie dają napiwki swoim ulubionym gwiazdom, spędzają z nimi całe godziny, rozmawiając i oglądając mniej lub bardziej erotyczne pokazy. Czasem odległość się skraca. Klienci mogą też liczyć na spotkania w realu. Filmowe relacje z takich randek, na których para uprawia seks, są później przez „twórczynie z OF" wysyłane innym klientom za specjalną opłatę.

U Little Polish Angel pierwszy miesiąc subskrypcji kosztuje 4 dol., następne już 15. Najwięcej wydają u niej ludzie niezamożni. Opowiada o jednym z najlepszych klientów, który pracuje w call center i zostawia u niej niemal wszystko, co zarobi. Mówi, że najczęściej chce po prostu porozmawiać. O tym, jak mu minął dzień. Nigdy nie miał dziewczyny. Za namową Leny zaczął chodzić na siłownię. I tak, czasem daje mu zniżki albo odpisze za darmo, wyśle jakieś zdjęcie. Ma świadomość tego, że platforma, a więc także ona, zarabia przede wszystkim na samotności ludzi.

AGNIESZKA SOWA

eprasa.pl acfe9a7195

Gra w kółko i krzyż

Czy na sali plenarnej Sejmu i Senatu obok krzyża zawiśnie kółko? Czy w szkołach oprócz religii katolickiej nauczać się będzie wiary w Boga Słońce?

ZBIGNIEW BOREK

Z punktu widzenia geometrii chodzi o okrąg (pusty w środku), ale jako symbol religijny został nazwany kołem. Ma 60 cm średnicy. To nie przypadek, lecz wyliczenie na podstawie laserowego skanu wiszącego w Sejmie krzyża – chodzi o to, żeby koło go nie zdominowało, ale też mu się wizualnie nie podporządkowało. Wycięła je z ekologicznej sklejki firma Drewniane Fantazje (oferuje również obręcze do łapaczy snów i karmniki do samodzielnego montażu), a Rada Światłych Kościoła Ludzi Słońca (w skrócie: Kościół Słońca) wysłała marszałkowi Szymonowi Hołowni wniosek o zawieszenie koła w sali obrad Sejmu RP. Okręgi o innych rozmiarach otrzymali marszałkini Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska i prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak.

Rada Światłych zadeklarowała, że w razie problemów sama zajmie się montażem, ale na razie zgody nie wydał nikt (każdy z innego powodu). Rada Światłych chce także, żeby religia Słońca była nauczana w szkołach, ale w tej sprawie ministra edukacji Barbara Nowacka nawet nie udzieliła jej odpowiedzi. – *Konstytucja RP w art. 25 stanowi, że państwo jest świeckie i bezstronne w sprawach światopoglądowych i religijnych, a wszystkie Kościoły i związki wyznaniowe mają być traktowane równo wobec prawa. W praktyce jednak są równi i równiejsi. Państwo nie zdaje egzaminu z własnej konstytucji* – mówi Alina Czyżewska. Paweł Nijakowski dodaje: – *Jeden Kościół jest faworyzowany na każdym kroku.*

Przyroda uczy życia w harmonii

Czyżewska i Nijakowski tworzą dwuosobową Radę Światłych. Ona jest aktorką i aktywistką specjalizującą się w społecznej kontroli władzy (dawniej była związana z Siecią Obywatelską Watchdog Polska), on – przedsiębiorcą i społecznikiem, który walczy o świeckość szkół. Kościół Słońca założyli cztery lata temu. Od tamtej pory zabiegali o wpisanie go do rejestru Kościołów i innych związków wyznaniowych, który prowadzi Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Okazało się, że to droga przez mękę.

Początkowo ministerstwo umorzyło postępowanie jako „bezprzedmiotowe". Wojewódzki Sąd Administracyjny uchylił tę decyzję, nie nakazał jednak rejestracji, bo rzekomo nie ma do tego prawnych narzędzi. Już w listopadzie 2022 r. ministerialny Departament Wyznań Religijnych oraz Mniejszości Narodowych i Etnicznych przygotował projekt o wpisie Kościoła Słońca do rejestru, ale dokument ten wyparował – jak podejrzewają Czyżewska i Nijakowski – na polecenie szefostwa resortu (krajem rządził PiS, ministrem był Mariusz Kamiński). W tym samym czasie zarejestrowano związek wyznaniowy z przymiotnikiem „chrześcijański"

eprasa.pl acfe9a7195

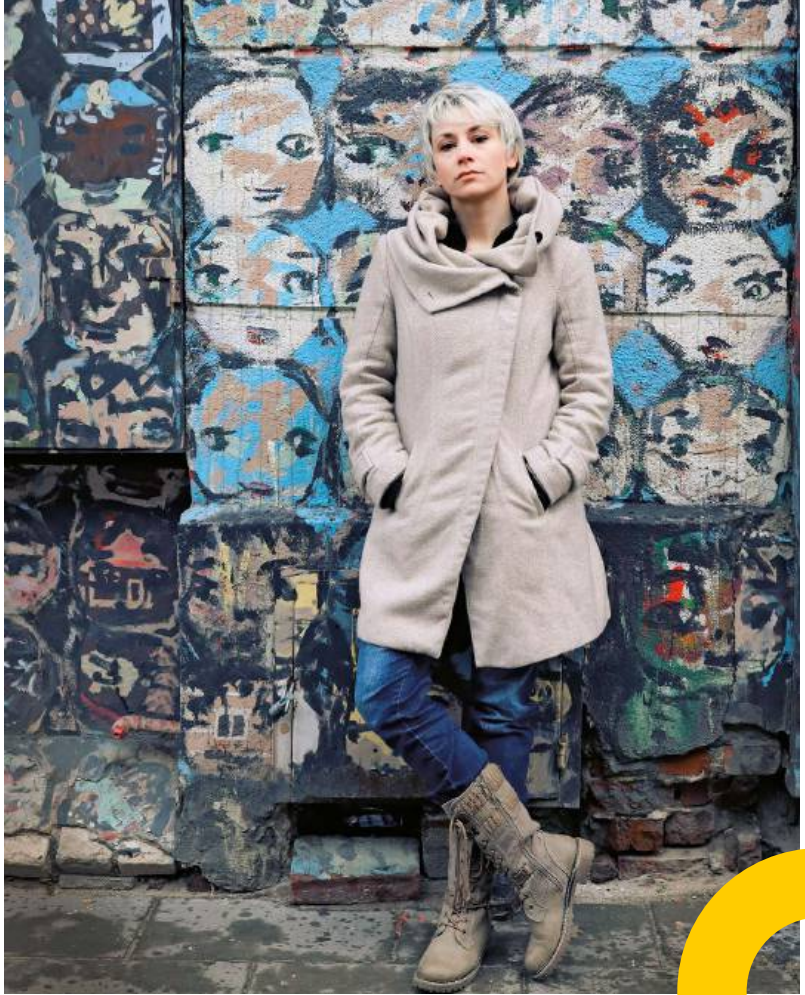

Dwuosobowa Rada Światłych Kościoła Ludzi Słońca: Paweł Nijakowski i Alina Czyżewska

© PIOTR SKÓRNICKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, LESZEK ZYCH

w nazwie, a przedstawicielom Kościoła Słońca regularnie odmawiano dostępu do akt ich sprawy.

Rejestracja Kościoła Słońca nastąpiła za rządów obecnej koalicji – 25 lutego 2025 r., pod numerem 175. To jeden z ostatnich zalegalizowanych w Polsce Kościołów (po nim wpisano do rejestru jeszcze tylko Kościół Prawosławny Tewahedo św. Gabriela). W rejestrze roi się od egzotycznych nazw: Instytut Śardza Ling, Związek Ajapa Yoga, Ursynowska Społeczność Ewangeliczna, Zakon Braci Zjednoczenia Energetycznego albo Kościół Zjednoczeniowy, czyli Ruch Pod Wezwaniem Ducha Świętego Dla Zjednoczenia Chrześcijaństwa Światowego oraz Kościół Boga Żywego, Będącego Wsparciem i Podporą Prawdy, Kościół Światło Świata (to pełne nazwy). Do tego rozmaite zrzeszenia i stowarzyszenia badaczy Pisma Świętego, wspólnoty, misje i zakony oraz braterskie związki chrześcijaństwa, buddyzmu, islamu, hinduizmu i judaizmu z siedzibami w Pyszkach, Mroczkowicach czy Pabianicach. Nie wpisano natomiast Kościoła Latającego Potwora Spaghetti, uznanego w Nowej Zelandii i Holandii. Potwór kieruje ponoć ludzkością poprzez makaronową mackę, ale polskie ministerstwo uznało, że brakuje w tym „celu religijnego".

Wspólnoty religijne wpisane do rejestru MSWiA (powtórzmy: jest ich 176) zyskują osobowość prawną i korzystają z niektórych przywilejów (o nich niżej). Szczebel wyżej w hierarchii są Kościoły i inne związki wyznaniowe, których sytuację prawną regulują odrębne ustawy. Jest ich 15, np. Kościół prawosławny, luterański i adwentystyczny, a także gminy żydowskie i muzułmańskie. Ustawa daje im szersze możliwości niż rejestr, ale nie takie, jak ma Kościół katolicki, usytuowany na szczycie tej drabiny. Szczególną pozycję zawdzięcza odrębnej ustawie z 1989 r. i konkordatowi z 1993 r., ale także tradycji historycznej, roli w kształtowaniu państwowości i obronie tożsamości narodowej.

Formalnie więc konstytucyjna zasada równości w Polsce obowiązuje, a faktycznie istnieje asymetria, bo różne reżimy prawne (konkordat, ustawy indywidualne, rejestr MSWiA) dzielą religie na trzy kategorie. W praktyce dominuje Kościół katolicki: jego religia jest jedyną powszechnie dostępną w szkołach publicznych, katolickie małżeństwa wyznaniowe automatycznie wywołują skutki cywilne (tzw. małżeństwo konkordatowe), w wojsku, policji, szpitalach i więzieniach są głównie kapelani katoliccy (płaci za nich państwo), a symboliczną obecność katolików w życiu państwowym podkreślają krzyże w urzędach i szkołach oraz msze z okazji świąt narodowych i uroczystości z udziałem hierarchów. Kościół katolicki najszerzej korzysta z preferencji w nabywaniu publicznych gruntów i budynków. Skutki asymetrii finansowej, edukacyjnej i instytucjonalnej dobitnie pokazuje majowy raport NIK: w latach 2021–23 państwo przekazało związkom wyznaniowym co najmniej 17,45 mld zł, z czego 95 proc. trafiło do Kościoła katolickiego, który skupia 71,3 proc. Polek i Polaków.

– *Ze zdumieniem odkrywamy jednak kolejne przywileje, preferencje podatkowe i inne korzyści finansowe, jakimi cieszą się wszystkie związki wyznaniowe. Wygląda na to, że nasze państwo zdecydowanie bardziej ceni wszelką aktywność o zabarwieniu religijnym niż np. działania społeczników z organizacji pozarządowych* – mówi Alina Czyżewska.

Nauka i wiara się nie wykluczają

Najbardziej znanym przywilejem jest dostęp do zasilanego przez budżet państwa Funduszu Kościelnego (w tym roku jest w nim 275,7 mln zł). Fundusz został ustanowiony jako rekompensata za utracone dochody z majątku odebranego w okresie PRL, ale nawet kapłanom istniejącego od kilku miesięcy Kościoła Słońca dopłaca 80 proc. zusowskiej składki (bez ulg i z minimalną składką zdrowotną składka wynosi 2089 zł, zatem dopłata to 1671 zł miesięcznie), a misjonarzom i zakonnikom klauzurowym – 100 proc. – *Jak się zgłaszasz do ZUS jako osoba duchowna, publiczne pieniądze płyną z automatu. Masz obowiązek korzystania z Funduszu Kościelnego, nawet jeśli jako obywatel jesteś przeciwny jego funkcjonowaniu* – mówi Czyżewska (patrz „Miliony na wiarę", POLITYKA 31).

„Osoby prawne kościołów i innych związków wyznaniowych są zwolnione od opodatkowania z tytułu przychodów ▶

eprasa.pl acfe9a7195

▶ ze swojej działalności niegospodarczej. W tym zakresie osoby te nie mają obowiązku prowadzenia dokumentacji wymaganej przez przepisy podatkowe" – głosi art. 13 ustawy o wolności sumienia i wyznania. Ten sam art. 13 zwalnia z należności celnych za „towary przeznaczone na cele charytatywno-opiekuńcze i oświatowo-wychowawcze oraz towary o charakterze kulturalnym przeznaczone na cele kultu". W latach 90. dzięki temu „na Kościół" masowo importowano zachodnie samochody, obecnie zaś religijna szara strefa rozciąga się na unikanie podatków, a w razie problemów – ucieczkę przed egzekucją komorniczą. O jednej z takich historii informują twórcy programu Polsatu „Państwo w państwie": zadłużone na 900 tys. zł gospodarstwo rolne Rafała C. na Mazurach zarejestrowano jako miejsce kultu religijnego Kościoła Naturalnego. Sam zaś rolnik został misjonarzem, żeby kultywować „przekazane przez wyższą kosmiczną świadomość rytuały modlitewno-medytacyjne związane z przesileniem letnim".

„Z pewnych przywilejów (każdy – przyp. red.) Kościół może, ale nie musi korzystać. Przykładem jest możliwość nauczania religii w szkołach. Właśnie przesłaliśmy wniosek do Ministerstwa Edukacji Narodowej w tej sprawie" – poinformował swoich wiernych (i nie tylko) Kościół Słońca wkrótce po rejestracji. Jak podkreślił, „celem jest ochrona równości, wolności światopoglądowej i pluralizmu, które powinny być fundamentem edukacji publicznej".

Zgodnie z rozporządzeniem ministra edukacji „kwalifikacje zawodowe nauczycieli religii określają odpowiednio Konferencja Episkopatu Polski Kościoła Katolickiego oraz właściwe władze zwierzchnie kościołów lub innych związków wyznaniowych – w porozumieniu z ministrem edukacji narodowej". Takie porozumienie zawarło dotychczas siedem Kościołów i innych związków wyznaniowych, ale nie Kościół Słońca. – *Ministra Nowacka na nasz wniosek po prostu nie odpowiedziała. Jak w komedii Barei: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co nam pan zrobi"* – zauważają przedstawiciele Kościoła Słońca. W połowie września wysłali skargę na ministrę do premiera (na razie też bez odpowiedzi).

Z kolei wymiana korespondencji z marszałkami Sejmu i Senatu oraz prezydentem Poznania (Nijakowski jako poznaniak z zamieszkania zaczął od niego już pięć lat temu) przypomina grę w kółko i krzyżyk. „Każda z instytucji reaguje w inny sposób, jakby decydenci zupełnie nie wiedzieli, co z tym zrobić" – zauważa Kościół Słońca. I w mediach społecznościowych relacjonuje: „Marszałek Hołownia po terminie odpisał, że z uwagi na »kompleksowość przywołanej problematyki« udzieli odpowiedzi do końca sierpnia (nie udzielił – przyp. red.). Dziwne, bo w sali sejmowej ta problematyka ma już swój materialny, wieloletni wymiar. Marszałkini Kidawa-Błońska milczy, choć wysłaliśmy osobne imienne wnioski do niej i do Magdaleny Biejat. Wicemarszałkini Senatu napisała, że nasz wniosek nie może zostać uwzględniony, i przywołała liczne podstawy prawne mówiące o świeckości państwa i neutralności religijnej jego organów. Tylko że w Senacie już wisi inny symbol religijny. Dlaczego więc tylko do naszego symbolu stosowane są przepisy? Prezydent Jacek Jaśkowiak przerzucił nasz wniosek jak gorący ziemniak do przewodniczącego Rady Miasta. Wyjaśniliśmy, że zarządzanie mieniem, więc także wyposażeniem czy wystrojem pomieszczeń, to wyłączna kompetencja prezydenta i że odsuwanie od siebie decyzji narusza przepisy. Teraz czekamy na rozpatrzenie wniosku przez właściwy organ".

„Pragniemy, by symbol religii Kościoła Słońca współistniał z innymi religiami we wspólnej przestrzeni państwowej, tworząc miejsce dialogu i duchowego wielogłosu (...). Będzie to zarazem symboliczne nawiązanie do historii Polski, w której od czasów I Rzeczypospolitej różne wyznania współistniały pod wspólną koroną, budując tradycję tolerancji i wzajemnego poszanowania" – oświadczyła Rada Światłych.

Każda religia była kiedyś prowokacją

Kościół Słońca dopiero buduje swoje struktury. Jego podstawową jednostką administracyjną jest polis (odpowiednik parafii), który może obejmować od kilkunastu domów do całej miejscowości. W całym kraju działa niespełna 30 polis, m.in. w Warszawie, Poznaniu, Bytomiu, Skórzewie, Konstancinie-Jeziornie, a w nich 58 osób duchownych (aby nią zostać, trzeba mieć 18 lat i nieskazitelny charakter oraz zdać egzamin z doktryny). Nie wiadomo, ilu jest wyznawców, bo „proces przystąpienia do Kościoła Słońca jest całkowicie odformalizowany", jak informują jego hierarchowie. Aby zarejestrować swój Kościół, potrzebowali 100 notarialnie potwierdzonych podpisów. W latach 90. wystarczyło zaledwie 15 podpisów i nikt ich nie sprawdzał, podobnie jak dziś nikt nie sprawdza, czy osoby, które poparły wniosek o rejestrację Kościoła, nadal do niego należą (nie ma takiego obowiązku).

„– Czy mogę zostać członkiem Kościoła?

– Tak. W zasadzie na swój sposób już nim jesteś, bo wierzymy, że każdy jest człowiekiem Słońca. Jeżeli natomiast chcesz dokonać świadomego wejścia do wspólnoty, zapoznaj się z naszą doktryną i statutem, a następnie zgłoś się do nas" – zachęca Kościół Słońca w internecie (sekcja: FAQ, często zadawane pytania). Według doktryny „wspólne, harmonijne działania Ludzi, świadomie transformujące energię Boga Słońce, a oparte na szacunku wobec Świata, na solidarności, równości, zrozumieniu różnorodności, poszanowaniu praw wszystkich Ludzi i Przyrody, mogą zapobiec zgubnym skutkom działalności człowieka. Kościół Ludzi Słońca zakłada, że religia jest procesem żywym, a nie historycznym, zaś opozycja wiary i nauki jest założeniem niesłusznie uznawanym za oczywiste".

Czyżewska i Nijakowski podkreślają, że Kościół Słońca jest „tak samo prawdziwy" jak wszystkie inne. Nie odżegnują się od prowokacji, ale rozumianej jako „działanie, które ma na celu wywołać czyjąś reakcję". „Każda religia była kiedyś prowokacją. Prowokacją: wobec dominującego porządku, dotychczasowego myślenia, zastałych struktur społecznych. Tak, chcemy wywoływać reakcje, bo to one otwierają drogi do zmiany. A chyba wszyscy czujemy, że jest co zmieniać" – czytamy w jednym ze stanowisk obojga hierarchów.

Sprzeciwiają się ocenom z religii („wiara lub jej brak, praktykowanie bądź nie, wiedza o swojej religii, nie mogą podlegać żadnej formie oceny"), zapowiadają utworzenie swojego Biuletynu Informacji Publicznej („Ciemność informacyjna to stan zakłócenia przepływu światła") oraz zakładanie własnych cmentarzy („bez jednego sztywnego wzorca"). Zachęcają też, żeby w szkolnych klasach wieszać symbol koła – „oczywiście z poszanowaniem obowiązku zachowania neutralności światopoglądowej organów państwa". I nawołują uczniów: „I rysujcie koła na geometrii z szacunkiem".

ZBIGNIEW BOREK

Śródtytuły pochodzą z dokumentów Kościoła Słońca.

eprasa.pl acfe9a7195

POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki POLITYKI

Październikowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

pulsar

eprasa.pl acfe9a7195

Pomocna łapa

W Polsce pracuje ponad 200 psów przewodników, najczęściej labradorów. Są inteligentne, lubią się uczyć i świetnie współpracują z człowiekiem. Jednak ich szkolenie to bardzo żmudny i drogi proces, kosztuje tyle co niezły samochód: ok. 80 tys. zł.

FILIP ZAGOŃCZYK

Adamowi Wiśniewskiemu trudno było poruszać się z białą laską. Miał problemy z utrzymaniem prawidłowego kierunku. Czuł się zmęczony i zirytowany. Zdecydował, że spróbuje współpracy z psem przewodnikiem. Na brązową labradorkę Lili czekał prawie dwa lata, ale – jak mówi – było warto. Życie błyskawicznie zmieniło się na lepsze. Pies był doskonale wyszkolony. Omijał przeszkody, znajdował przejścia dla pieszych, a kiedy Adam korzystał z kolejki podmiejskiej, w odpowiednim momencie bez problemu wskakiwał i wyskakiwał z pociągu.

Wiśniewski wspomina, że któregoś dnia w drodze do pracy wysiadł na innym przystanku autobusowym niż zwykle. – *Autobus zatrzymał się jakoś inaczej. Byłem zdezorientowany. Wtedy pies stanął na wysokości zadania. Bezbłędnie pomimo zmienionej trasy odnalazł drogę i doprowadził mnie do bramek metra, którym chciałem jechać.*

Po sześciu latach współpracy Lili musiała odejść na emeryturę. Zanim to nastąpiło, Adam zapobiegliwie zaczął starania o nowego psa. – *To był dla nas bardzo trudny moment. Od dawna wiedziałem, że kiedyś nadejdzie, widziałem, jak pies się starzeje. Chodziła coraz wolniej, w zimę piekły ją łapy z powodu soli, jaką posypywane są ulice. Smarowałem je oczywiście regularnie, ale widziałem, że wszystko to robi się dla Lili coraz trudniejsze. Zamieszkała u moich rodziców, a ja wystąpiłem do fundacji o drugiego psa. Pojawił się u mnie Rumi. Młody, dynamiczny i pełen energii. Pamiętam niezwykle wzruszający dla nas wszystkich moment, kiedy pierwszy raz po przejściu Lili na emeryturę przyjechałem odwiedzić rodziców z nowym psem przewodnikiem. Psy zareagowały na siebie dobrze. Razem trzymały zabawkę w pyskach. Mamy nawet takie śmieszne zdjęcie. Problem pojawił się, kiedy mieliśmy wracać do domu. Lili, przyzwyczajona*

eprasa.pl acfe9a7195

do wskakiwania do samochodu, zajęła swoje tradycyjne miejsce z tyłu. Serce mi pękało, ale musiałem jej wytłumaczyć, że tym razem zostaje. Niechętnie wyszła, ale gdy tylko otworzyłem drzwi z przodu, wskoczyła ponownie. Ostatecznie udało się ją przekonać, żeby została z rodzicami, których zna i lubi, ale widać było, jak bardzo jest do mnie przywiązana – opowiada Wiśniewski.

Jego zdaniem posiadanie psa to wielki przywilej, ale i obowiązek. Pies pomaga opiekunowi, ale ten musi pamiętać, że przez cały czas jest za zwierzę odpowiedzialny. Musi mieć zaprzyjaźnionego weterynarza, który ich przyjmie w nagłej potrzebie. Bawić się z psem i chodzić na wybieg, żeby mógł po pracy poszaleć z innymi psami. Rumi na przykład lubi misie i piszczące piłeczki. Czasami zasypia z misiem w pysku. Przypomina wtedy małe dziecko. Innym razem po całym domu niesie się przeraźliwy pisk gryzionej piłeczki. Wszystko to cieszy Adama, bo widzi, że jego wierny przyjaciel ma z nim szczęśliwe życie.

Asystent spod Wezuwiusza

Wzmianki o psach asystujących możemy spotkać już w I w. n.e. Na jednym z domów przysypanych popiołem wulkanicznym w 79 r. w czasie erupcji Wezuwiusza znajduje się malowidło kobiety, do której zbliża się niewidomy prowadzony przez małego psa. W XIX w. Johann Wilhelm Klein z Wiednia opisał metody szkolenia psów przewodników dla niewidomych, ale o jego książce bardzo szybko zapomniano. Do intensywnej pracy z psami powrócono po pierwszej wojnie światowej, w wyniku której na całym świecie pojawiło się setki tysięcy osób z niepełnosprawnościami potrzebujących pomocy. Odkąd doktor Gerhardt Stalling przy wsparciu niemieckiego ministerstwa wojny założył w Oldenburgu pierwszą szkołę dla psów przewodników, korzystanie z ich pomocy zyskało dużą popularność.

W Polsce psy szkolono już od 1919 r. dzięki współpracy Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej ze Związkiem Ociemniałych Wojaków w Poznaniu. Po drugiej wojnie światowej szkoleniem psów zajął się Polski Związek Niewidomych, ale pierwsze regulacje prawne dotyczące psów asystujących pojawiły się dopiero w 2007 r. Wyróżniamy cztery rodzaje psów asystujących: psa przewodnika osoby niewidomej, psa asystenta osoby z niepełnosprawnością ruchową, psa sygnalizującego choroby oraz psa sygnalizującego osoby głuchej lub niesłyszącej.

Agnieszka Wróblewska, trenerka psów asystujących i wiceprezeska Stowarzyszenia Dogs for Life z Grodziska Mazowieckiego, podkreśla, że proces szkolenia psa asystującego trwa około dwóch lat. Najpierw trafia on z hodowli do wolontariusza, który uczy go podstawowego posłuszeństwa i pokazuje mu świat. Wchodzi z psem do sklepu, porusza się komunikacją miejską, idzie do pracy, na uczelnię czy do teatru. Przyzwyczaja zwierzę do niereagowania na inne psy i ogólnego ignorowania rozproszeń, uczy podstawowych komend, jak „siad" czy „waruj". Następnie zwierzę trafia pod opiekę trenera, który pokazuje mu rzeczy bardziej skomplikowane. W przypadku psa asystującego osobie głuchej jest to np. umiejętność sygnalizowania, że ktoś puka do drzwi, i doprowadzenia do nich. Jeśli wykona komendę prawidłowo, otrzymuje nagrodę.

Osoba z niepełnosprawnością, która jest opiekunem psa, musi posiadać przy sobie certyfikat wydawany przez organizację szkolącą psa i zaświadczenie o wymaganych szczepieniach. Na uprzęży powinien się znajdować napis „pies asystujący". Jeśli te warunki są spełnione, osoba z niepełnosprawnością ma prawo wejść z psem wszędzie tam, gdzie są inni ludzie, np. do sklepów, urzędów, banków, środków transportu, a nawet parków narodowych czy rezerwatów przyrody. Takie uprawnienia daje psom i ich opiekunom ustawa o rehabilitacji zawodowej i społecznej oraz zatrudnianiu osób z niepełnosprawnościami.

Co wolno człowiekowi z psem?

Mimo to w polskim prawie nadal istnieją poważne luki. Organizacjom społecznym udało się stworzyć standardy szkolenia psów przewodników dla osób niewidomych, ale podobne reguły nie obowiązują pozostałych psów asystujących. Poważnym problemem jest także brak sankcji dla tych, którzy wbrew prawu nie wpuszczają osób z niepełnosprawnościami, np. do sklepów czy hoteli.

– *Człowiek potraktowany w ten sposób może dochodzić swoich praw dopiero przed sądem* – podkreśla Agnieszka Wróblewska. Jest to jednak proces długotrwały. – *Moim zdaniem sankcja wobec ludzi łamiących prawo powinna być znacznie* ▶

Joanna Kurowska z Fundacji Vis Maior Pies Przewodnik: – Dzięki wyuczonemu nieposłuszeństwu pies potrafi ostrzec przed niebezpieczeństwem. Z prawej: **Olga Tippe i Boogie zwiedzili razem kawał świata.**

Szkolenie specjalistyczne jest mocno spersonalizowane i zależy od indywidualnych potrzeb.

– *Zanim ostatecznie zwierzę trafi do domu opiekuna, parę człowiek–pies czeka egzamin. Musi nastąpić prawidłowe dopasowanie psa do opiekuna. Energiczne i kochające spacery zwierzę nie może przecież trafić do osoby, która przejawia odmienne cechy charakteru. Będą się ze sobą męczyć* – wyjaśnia Agnieszka Wróblewska.

© ANTONIO GRAVENTE/SHUTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE (2)

eprasa.pl acfe9a7195

▶ *szybsza, bo tylko to dawałoby opiekunom gwarancję, że ich prawa będą respektowane i nikt np. nie wyrzuci ich z hotelu albo nie zażąda dodatkowej opłaty za sprzątanie po psie, mimo że ten jeszcze wcale nie zdążył nabrudzić* – dodaje.

W Polsce pracuje ponad 200 psów. Przewodnikami są najczęściej labradory. Odznaczają się inteligencją, lubią się uczyć i świetnie współpracują z człowiekiem. Pies przyzwyczaja się do ruchu ulicznego. Gdy uczy się czasu pracy, chodzi najpierw w kamizelce, a następnie w szelkach. Ich zdjęcie to dla niego czytelny sygnał, że od teraz ma czas wolny.

Wyuczone nieposłuszeństwo

– *Nawet najinteligentniejszy pies nie zastępuje osoby niewidomej w podejmowaniu decyzji dotyczących poruszania się. Zwierzę może nas podprowadzić do drzwi, schodów czy przejścia dla pieszych, ale ostateczna decyzja, czy idziemy, należy do nas* – wyjaśnia Joanna Kurowska, koordynatorka programu w Fundacji Vis Maior Pies Przewodnik. – *Pomoże nam ominąć przeszkody, również te, których nie wyczujemy białą laską, bo znajdują się na wysokości naszej głowy. Pies jednak nie działa na zasadzie zaprogramowanej maszyny. Nie możemy mu powiedzieć: „Prowadź do sklepu spożywczego”.*

Dobrze wyszkolone zwierzęta potrafią jednak w razie potrzeby sprzeciwić się opiekunowi. –*Miałam taką sytuację na przystanku tramwajowym. Szłam z psem, chciałam wejść do tramwaju, ale nie wiedziałam, jaki właśnie przyjechał. Na przystanku hałasowała grupa ulicznych muzykantów. Zanim więc znalazłam człowieka, który podał mi numer tramwaju, ten zamknął już drzwi i zaczął powoli odjeżdżać. Ja, nieświadoma, ruszyłam w jego kierunku i wtedy mój pies gwałtownie stanął, sygnalizując, że dalej nie powinnam iść. To jest właśnie wyuczone nieposłuszeństwo, dzięki któremu nasz przyjaciel ostrzega przed niebezpieczeństwem* – dodaje Kurowska.

Nie każda osoba niewidoma może mieć psa. Pies jest dla tych, którzy lubią zwierzęta, prowadzą aktywny tryb życia, bo pupilem trzeba się przecież zajmować, i mają środki na jego utrzymanie. Opiekun musi być też konsekwentny, bo jeżeli zwierzę popełni błąd, a my na to nie zareagujemy, to bardzo szybko wyciągnie wniosek, że na tej sprawie nam nie zależy.

Zanim osoba z niepełnosprawnością wzroku podpisze umowę z fundacją na użyczenie psa, musi przejść szkolenie, podczas którego eksperci sprawdzają orientację człowieka w terenie i jego współpracę ze zwierzęciem. – *To dla dobra człowieka i zwierzęcia. Takie szkolenie to bardzo żmudny i drogi proces, kosztuje ok. 80 tys. zł. Pies nie może więc trafiać w przypadkowe ręce. Jest drogi jak samochód, ale żadne auto nie daje tyle radości* – mówi ze śmiechem Joanna Kurowska. Pies pracuje do ósmego, a w wyjątkowych wypadkach do dziesiątego roku życia. Później przechodzi na emeryturę. Może wtedy zostać z właścicielem, wrócić do fundacji, która szuka mu nowego domu, lub trafić do kogoś znajomego, kogo lubi.

Wsparcia ze strony czworonogów potrzebują także osoby poruszające się na wózkach. Olga Tippe spędza całe dnie w towarzystwie przyjaciela, na którego pomoc zawsze może liczyć. Boogie potrafi podać buty, wyciągnąć z szuflady koszulkę czy spodnie, przynieść rzeczy z pralki. Kiedy Olga na siedząco zmienia pościel, podaje jej poduszki, a na końcu naciąga koc. Boogie jest czarnym labradorem. W książeczce któryś z weterynarzy wpisał mu jako znak szczególny: „wyjątkowo piękny”. Jest wyszkolony do pomocy osobom poruszającym się na wózku inwalidzkim. Olga po wypadku porusza się w ten sposób od 16 lat. Początkowo do psów asystujących podchodziła sceptycznie. Słyszała, że czeka się na nie bardzo długo, ale kiedy zgłosiła się do Stowarzyszenia Dogs for Life, wystarczyły cztery miesiące.

– *W grudniu złożyłam wniosek, a w marcu Boogie był już ze mną* – opowiada. – *Pies bardzo zmienił moje życie. Przede wszystkim zmobilizował mnie do wychodzenia na spacery. Kiedy jest w pracy, pomaga mi w wielu rzeczach. Potrafi przyciągnąć wózek, podać mi telefon lub kartę płatniczą, kiedy upadnie w sklepie, zanieść we wskazane miejsce różne przedmioty czy otworzyć drzwi. Wykonywanie zadań sprawia mu mnóstwo radości, traktuje je jako zabawę i możliwość sprawdzenia się.*

Więź z właścicielką sprawia, że chętnie wykonuje wszystkie polecenia i cieszy się, gdy uda mu się wykonać jakieś nowe zadanie. Poza godzinami pracy to jednak zwykły psiak. Uwielbia zabawy z innymi psami. Kocha być głaskany. Jak podkreśla Olga, w stowarzyszeniu obowiązuje zasada, że pies przekazywany jest człowiekowi na własność. Na całe szczęście, bo nie wyobraża sobie, że mogłaby się z nim kiedykolwiek rozstać, nawet gdy już będzie na emeryturze. Okoliczni mieszkańcy kojarzą ją jako „panią z psem”. Kiedy zdarza jej się wejść do sklepu bez Boogiego, sprzedawcy zaraz pytają zaniepokojeni: „A gdzie piesek?”. Tak wielkie robi na nich wrażenie.

A po pracy zabawa

Olga i jej towarzysz zwiedzili razem kawał świata. Byli na wieży Eiffla, w Wersalu i w Luwrze. W Barcelonie odwiedzili Sagradę Familię, a w austriackich Alpach Boogie jeździł kolejką górską. – *Ten pies bardzo mi ufa i kiedy jestem obok niego, jest niezwykle spokojny. Nie boi się takich obiektów jak windy, promy czy kolejki. To niezwykle inteligentne zwierzę. Potrafi rozróżniać rzeczy, które są mi potrzebne na co dzień, od np. własnych zabawek. Zabawka to ostatnia rzecz, jaką mi przyniesie, bo wie, że są to jego przedmioty, z których korzysta poza czasem pracy. Ostatnio zaskoczył mnie także, kiedy wcześniej niż lekarz wykrył, że mam zakażenie. Obwąchiwał moją rękę, trącał mnie łebkiem i kichał, a normalnie nigdy tego nie robi. Był więc niezwykle czujny i dbał o moje bezpieczeństwo, choć nie był szkolony akurat do sygnalizowania chorób* – opowiada właścicielka. Z czystym sumieniem poleca psa asystującego każdej osobie, która potrzebuje pomocy, a jednocześnie kocha psy i potrafi odwzajemnić ich bezinteresowną przyjaźń.

FILIP ZAGOŃCZYK

Co zawdzięczamy zwierzętom
i jak o nie dbać,
przeczytasz także
w wydaniu specjalnym
„NASZE ZWIERZĘTA”.
Już dostępny na **sklep.polityka.pl**.

KUP TERAZ

eprasa.pl acfe9a7195

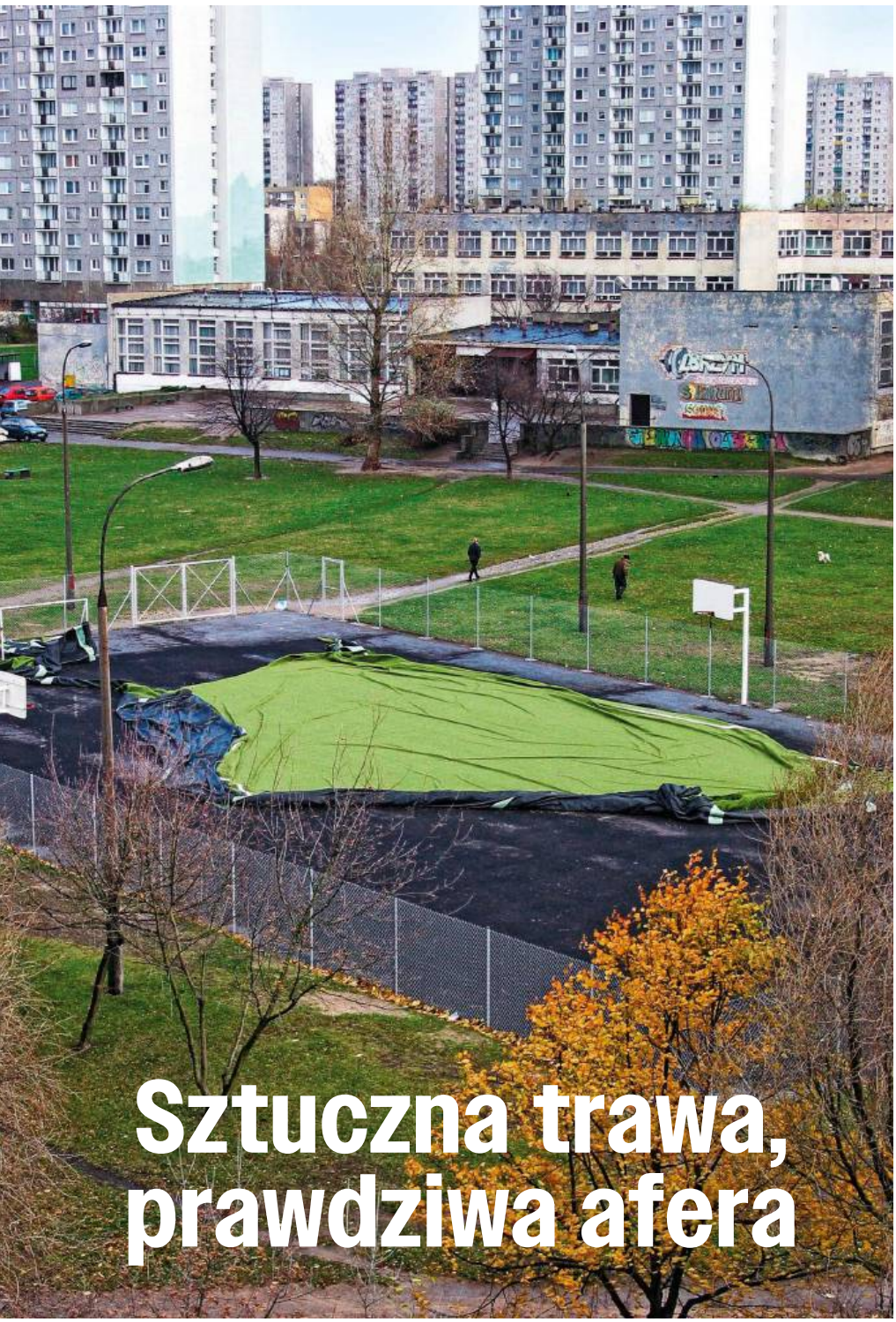

© KAROLINA SIKORSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL

Sztuczna trawa, prawdziwa afera

VIOLETTA KRASNOWSKA

Trwa wielka rządowa akcja wymiany zniszczonej sztucznej trawy na orlikach na nową. Starą można kupić „na place zabaw i piwne ogródki". Chociaż jest szkodliwym odpadem, którego nie wolno sprzedawać.

„Sztuczna trawa orlik w rolce 7 zł za metr kw" albo „Sprzedam trawę syntetyczną z demontażu z boiska ORLIK. Cena: 5 zł za metr kw". Na zdjęciu dołączonym do ogłoszenia widać zwinięte potężne rulony leżące jeszcze na boisku. Sprzedający zachwala: „Idealnie sprawdza się pod basenami, na tarasach, balkonach. Zastępuje także dywany, wykładziny oraz wycieraczki. Odbiór własny. Trawę można obejrzeć w Nowym Mieście nad Pilicą". A ceny dochodzą do 40 zł za m kw., co daje ponad 70 tys. zł nielegalnego zysku z jednego orlika.

Takich ogłoszeń można znaleźć setki. „Profesjonalna murawa z demontażu boiska 900 m² – oryginalna trawa z boiska Orlik, ściągnięta z profesjonalnego obiektu sportowego". Lub: „Oddam trawę sztuczną zwiniętą z boiska sportowego, rolki zwijane z piaskiem suszonym i granulatem gumowym. Można wykorzystać do wielu celów, na podwórku, placu zabaw, na skarpy, boisko. Odbiór z Łodzi".

Handel używaną sztuczną trawą z orlików kwitnie w całej Polsce, ogłoszenia często pochodzą wprost z miejscowości, gdzie były lub są modernizowane orliki. Niekiedy w ogłoszeniach są zdjęcia boiska z trawą, jeszcze przed wymianą. Liczba ofert zaczęła rosnąć w 2024 r., gdy tylko ruszył rządowy „Program modernizacji kompleksów sportowych Moje Boisko ORLIK 2012".

Trawa położona przed laty na budowane „Orliki 2012" miała wszystkie atesty, ale jej trwałość wynosi 7–8 lat, choć przyjmuje się i 15 – w zależności od warunków użytkowania. Jej przydatność można przedłużyć przez regularne czyszczenie lub unikanie nadmiernego obciążenia. Ale jak zabronić dzieciom grać w piłkę? Za PiS-u nikogo nie obchodziło, że orliki potrzebują wymiany trawy dla bezpieczeństwa i zdrowia dzieci. Jak pisał w 2016 r. portal money.pl, „spośród 2600 obiektów kilkaset potrzebuje pilnego remontu", ale dodał od razu, że „rząd PiS planuje jednak pogrzebanie sztandarowego programu poprzedników. Nie da grosza na ich modernizację".

W 2019 r. minister Piotr Gliński z PiS, odpowiedzialny za kulturę, ale i za sport, po licznych zaniepo- ▶

eprasa.pl acfe9a7195

▶ kojonych głosach w Europie, ale i w Polsce, o toksyczności sztucznej trawy, zlecił badania granulatu z orlików i stwierdził, że spełnia normy. I tyle.

Tymczasem zasypka z granulatu gumowego z opon samochodowych i piasku z czasem ulega degradacji, pyli podczas gry i osadza się na graczach.

Zatem odnawianie orlików zbudowanych w latach 2008–12 było jednym z tematów kampanii wyborczej w 2023 r. Donald Tusk przypominał orliki jako swój sukces sprzed lat. Mówił: „To jest chyba jedyna rzecz, której nikt nie krytykuje" – i zapowiadał ich renesans. W tym modernizację polegającą m.in. na wymianie zużytej przez lata nawierzchni ze sztucznej trawy.

Odpad ze sztucznej trawy powinien najpierw zostać rozłożony na czynniki pierwsze. Tylko że cały ten proces musi sporo kosztować.

Trawa z oponami

O tym, że po wieloletniej eksploatacji rewitalizacja jest konieczna, mówił podczas wizytacji jednego z boisk minister sportu i turystyki Jakub Rutnicki: „Orliki mają już swoje lata, potrzebują nowej infrastruktury, wymiany nawierzchni, żeby dzieci, młodzież, ale i dorośli, mogli z nich korzystać". Przypominał przy okazji zapowiedzi premiera, że każdy orlik, który będzie tego potrzebować, dostanie wsparcie i zostanie wyremontowany. Wsparcie polega na tym, że Ministerstwo Sportu i Turystyki dofinansowuje gminom od 50 do 70 proc. kosztów modernizacji. W 2024 r. poszło na to 200 mln zł, co pozwoliło wyremontować 304 orliki, w tym roku przeznaczono na ten cel 150 mln zł na 304 kolejne. Biorąc pod uwagę, że orlików jest 2605, program jest dopiero na początku. Ministerstwo zamierza zrobić wszystko w pięć lat.

A jak jest budowa, to są i odpady. I to nie błahe, bo zdjęta z jednego orlika sztuczna trawa waży od 50 do 90 ton. Po pomnożeniu przez liczbę orlików daje to prawie ćwierć miliona ton.

Sztuczna trawa jest wykonana z polipropylenu, polietylenu lub kopolimeru. Przy układaniu sypano na nią – dla stabilności podłoża – ok. 17 kg piasku, a dla większej amortyzacji – kolejne 17 kg specjalnego granulatu SBR ze zużytych opon. Zużywa się nie tylko sama sztuczna trawa, lecz także granulat. Teraz to wszystko razem się zdejmuje – trawę z piachem i ze starym granulatem. I przeznacza do dalszej sprzedaży.

Tomasz Matusiak, rzecznik Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska, zaznacza, że całą nawierzchnię boiska sztucznej trawy po demontażu należy kwalifikować jako odpady stwarzające zagrożenie dla ludzkiego zdrowia i środowiska: – *Użytkowanie zużytej sztucznej trawy może powodować m.in. przedostawanie się mikroplastików zawartych w granulacie do środowiska, a także wdychanie przez użytkowników drobin mikroplastiku uwalniających się ze zużytego granulatu. Dlatego zabronione jest przekazywanie lub sprzedaż zużytej sztucznej trawy będącej odpadem podmiotom innym niż mające zezwolenie na gospodarowanie odpadami.* Mówią o tym jasno przepisy ustawy o odpadach. Niezastosowanie się do nich daje podstawę do wymierzenia kar od 1 tys. do 1 mln zł.

Odnosząc się do ogłoszeń o sprzedaży używanej sztucznej trawy z orlików, Matusiak mówi: – *Główny Inspektorat Ochrony Środowiska nie kontroluje procesu wymiany nawierzchni orlików, stąd też nie ma informacji o jego skali. Za działania kontrolne na terenie danych województw odpowiedzialni są wojewódzcy inspektorzy ochrony środowiska.*

Jednak w wojewódzkich inspektoratach zbiorczych informacji na ten temat nie ma, bo nikt ich dotąd nie zbierał. Również Ministerstwo Klimatu i Środowiska twierdzi, że to nie jego działka. Jak odpisało, nadzór nad właściwą gospodarką odpadami sprawuje Inspekcja Ochrony Środowiska i tam należy kierować pytania. Tak koło się zamknęło.

Gdy liczy się cena

Za gospodarowanie odpadami na budowie odpowiada inwestor, który przerzuca to na wykonawcę. Zapisuje w warunkach przetargu utylizację wymienianej nawierzchni. I to jest też, jak podaje resort sportu, uwzględniane jako koszt, który może zostać objęty ministerialnym dofinansowaniem. Średni koszt modernizacji zwykle wynosi ok. 600 tys. zł za orlik, w tym koszt utylizacji starej nawierzchni szacowany jest na 60–80 tys. zł.

Jednak ta utylizacja często nic naprawdę nie znaczy. Na przykład w warunkach przetargu w Bydgoszczy zapisano: „Powstałe podczas robót rozbiórkowych odpady wywieźć, a zdemontowaną nawierzchnię z trawy syntetycznej zutylizować termicznie". Choć nie ma w Polsce firmy, która utylizuje termicznie trawę w całości z piaskiem i granulatem.

Odpad, którym jest zdjęta i zabrana z boiska sztuczna trawa „orlikowa", zgodnie z ustawą o odpadach, powinien zostać oddany do wyspecjalizowanej firmy, która ma stosowne zezwolenia i decyzje środowiskowe na odbiór takich odpadów. Tam powinna być ona poddawana specjalistycznym procedurom – recyklingowi w przypadku granulatu czy piroliozie, termicznemu procesowi rozkładu, który pozwala na przetworzenie tworzyw sztucznych w cenne paliwa. Tylko że cały ten proces musi sporo kosztować. A tymczasem w przetargach liczy się do ostatecznej punktacji cena, a na drugim miejscu – długość gwarancji. Nic więcej. Nikt się nie zagłębia w to, w jaki sposób usunie się odpad. Nie ma też może i świadomości.

Produkt używany w dobrym stanie

Niedaleko pewnego urzędu gminy jeden z rozmówców POLITYKI widział, jak ludzie z taczkami przyjeżdżali po zdejmowaną sztuczną trawę oddawaną za darmo i zadowoleni brali ją sobie do ogródków. Wszystko w biały dzień, na oczach urzędników.

Dzwonimy do jednego z oferentów, sprzedający zachwala: – *Trawa piłkarska, bardzo dobry stan, 40 zł za metr kwadratowy, ponad 30 przedszkoli z Grodziska i Warszawy wzięło na place zabaw. To z demontażu, produkt używany*

© KAROLINA SIKORSKA/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl acfe9a7195

w bardzo dobrym stanie – zapewnia. I dodaje na zachętę: – *300 m wziął pan dyrektor. 220 zł netto nowa trawa kosztuje i trzeba 2 tys. m zamówić* – kusi.

Sprzedają oficjalnie same firmy, które wygrywały przetargi na modernizację: jawnie, pod własnym szyldem, ale też z ukrycia, jako osoby prywatne, np. pan Rajmund. W ogłoszeniu napisał: „Sztuczną trawę oddam za darmo". Podany numer telefonu prowadzi nas do firmy, która od dwóch lat wygrywa wiele przetargów na modernizację orlików, w sumie za kilkadziesiąt milionów złotych.

Na zdjęciach dołączonych do ogłoszenia widać zwinięte bele zrzucone jedna na drugą na boisku, z którego zostały jakby chwilę wcześniej zerwane. W tle jednej z fotografii widnieje nazwa miejscowości: Kolbudy. Okazuje się, że wspomniana firma tam właśnie przeprowadza akurat modernizację orlika. W ogłoszonym przez gminę przetargu zapisano obowiązek utylizacji starej nawierzchni z trawy syntetycznej. Jak pisze Magdalena Błaszkowska z urzędu gminy: „W złożonym przez wykonawcę kosztorysie ofertowym znajduje się pozycja: »Mechaniczne rozebranie nawierzchni z mieszanek mineralno-bitumicznych o grubości 3 cm – analogia: zdjęcie warstwy syntetycznej z zasypką z granulatu SBR z utylizacją«".

Dwa razy zarobić

Tymczasem leżąca na boisku zebrana sztuczna trawa jest oferowana do oddania. Urzędniczka wyjaśnia, że prace nie zostały jeszcze zakończone, więc gmina nie ma dokumentacji powykonawczej, która powinna zawierać m.in. potwierdzenia utylizacji sztucznej trawy. Zapewnia jednak: „Wystąpiliśmy do Wykonawcy o pilne wyjaśnienie zaistniałej sytuacji".

Także POLITYKA poprosiła wykonawcę o wytłumaczenie. Sprzedawca potwierdził, że jest z firmy prowadzącej modernizację orlików. Spytaliśmy, w jaki sposób się utylizuje sztuczną trawę w jego firmie. Czy odstawia ją do utylizacji. Do której konkretnej firmy? – *Nie muszę pani udzielać takich informacji*. Po rozmowie ogłoszenie zniknęło, ale zaraz pojawiły się kolejne oferty od innych przedsiębiorców.

Zgodnie z prawem unijnym wszystkie elementy wymienianej sztucznej trawy muszą zostać usunięte i zutylizowane. Jakiś czas temu brytyjski dziennik „The Guardian" powoływał się na dane Agencji Ochrony Środowiska (EPA), z których wynikało, że niezależne testy wielu boisk ze sztuczną trawą wykazały obecność toksycznych związków PFAS, czyli tzw. wiecznych chemikaliów, które nie ulegają naturalnemu rozkładowi i są wiązane z wieloma problemami zdrowotnymi. Stąd powrót do boisk ziemnych z naturalną trawą. U nas na razie zwycięża wygodna, tańsza i długowieczna sztuczna trawa, na której nie ma błota i której nie trzeba kosić ani podlewać i na której można grać nawet w zimie. Z tym że znowu za kilka lat trzeba będzie ją wymienić na nową.

Tymczasem w Polsce mamy nielegalny obrót odpadami z tworzyw sztucznych na masową skalę. I ktoś chce dwa razy zarobić, sprzedając nam szkodliwy odpad. Zachwalając, że jest „idealny pod: foodtrucki, strefy gastro, ogródek, strefy zabaw i plenerowe sale zabaw, ogródki sezonowe, place rekreacyjne, szkoły, przedszkola, parkingi tymczasowe, domowy grill, tarasy, działki i altanki". Nic, tylko brać. Nikt nie patrzy.

VIOLETTA KRASNOWSKA

REKLAMA

wysokie obcasy extra

MIESIĘCZNIK DLA KOBIET CIEKAWYCH ŚWIATA.

DOCENIA KOBIETY ZA TO, JAKIE SĄ.

ZAMÓW Z BEZPŁATNĄ DOSTAWĄ do domu lub paczkomatu

Zamów na **prenumerata24.pl**

eprasa.pl acfe9a7195

Balon meteorologiczny z nielegalną przesyłką, okolice Augustowa

Latające mrówki

Na wschodniej granicy przemyt przeniósł się z lądu w powietrze.

MARCIN PIĄTEK

Zanim Polska znalazła się w stanie podgorączkowym na skutek wtargnięcia w przestrzeń powietrzną „ruskich dronów", o niezidentyfikowanych obiektach latających przekraczających wschodnią granicę słyszano głównie przy okazji przemytu. Hasło „patrz w górę" na tamtejszym pograniczu obowiązuje już od ładnych paru lat. – *Pakunki z papierosami i tytoniem znajdują na swoich polach lokalni gospodarze, dostajemy zgłoszenia od myśliwych i grzybiarzy, mieliśmy przypadek uszkodzenia przez spadający ładunek dachu domu jednorodzinnego, upadku przed nadjeżdżający samochód, a niedawno balon ze 150 kartonami papierosów wylądował na osiedlu w Lublinie, ok. 100 km w linii prostej od granicy. Taka paczka może ważyć 30 kg. Potrafi uszkodzić dach, więc nie muszę mówić, co grozi człowiekowi, na którego spadnie* – opowiada Tomasz, oficer operacyjny Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej.

Szmugiel w starym stylu, czyli drogą lądową lub przez Bug będący naturalną granicą z Białorusią i Ukrainą na długości ponad 360 km, od ponad czterech lat jest utrudniony, co nie oznacza, że ustał. W ostatnich miesiącach wykryto białoruskie papierosy m.in. w skrytkach tirów i autokarów, w wagonach kolejowych (prześwietlanych rentgenem), a białoruscy kolejarze alarmują, że szajki przemytników opatentowały też nowy szlak. Najpierw przerzucają towar do Rosji, a następnie ukrywają go w pociągach jadących z Chin do Europy Zachodniej przez Polskę. To już przemytnicza profeska: pozorowane awarie wymagające przestoju składów, przekupieni dyspozytorzy i służba ochrony kolei (stawki, o których się mówi: 2–4 tys. dol.), fałszywe plomby wagonów w miejsce zerwanych, kontrabanda idąca w dziesiątki tysięcy paczek.

Generalnie przemytnicy mają jednak od paru lat pod górkę. Kryzys migracyjny na granicy z Białorusią spowodował wzmożoną czujność, inwestycje w bariery fizyczne (słynna zapora), jak również elektroniczne, dodatkową obecność wojska i terytorialsów, a niedawno, na czas manewrów Zapad granicę zamknięto

© STRAŻ GRANICZNA, PODLASKA POLICJA, LASY PAŃSTWOWE

eprasa.pl acfe9a7195

Przemytniczy transport wylądował niedawno na parkingu przed supermarketem w Białymstoku. Poniżej: **dron służący do przemytu papierosów odnaleziony niedaleko Chełma.**

na amen i powtórki nie są wykluczone, jeśli będzie tego wymagało bezpieczeństwo państwa. Na „unijnych" przejściach z Litwą kilka miesięcy temu przywrócono kontrole, a w punktach z obwodem królewieckim ruch jest śladowy, więc i tzw. mrówki trudniące się mikroprzemytem nie mają się wśród kogo ukryć.

Kontrabanda nie zna próżni

Ostatni krzyk mody to wśród szmuglerów drony i balony. Fundamentalnym ograniczeniem jest tu jednak udźwig. Masa krytyczna przenoszonego towaru jest niska, więc nadają się w zasadzie tylko do przemycania papierosów i tytoniu. – *W naczepach tirów ujawnialiśmy jednorazowo 40 tys. kartonów papierosów klasycznych i nawet 70 tys. kartonów tzw. slimów. Dron uniesie paczkę, tzw. karobkę* (ros. „pudełko" – przyp. red.) *z co najwyżej 50 kartonami, balon maksymalnie trzy razy więcej. Drobnica* – mówi Dariusz z Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej.

Papierosy i tytoń są wciąż dla przemytników łakomym kąskiem z prostego powodu – cenowej przebitki. Ekspedientka w sklepie spożywczym we Włodawie: – *Białoruskie cigariety, Korony albo Miński, chodzą po jakieś 10 zł, prawie dwa razy taniej niż te prawilne, akcyzowe.* Na paczce można zarobić co najmniej 100 proc., ale im dalej od polskiej granicy na zachód, tym bardziej zysk rośnie.

– *W Niemczech przebitka jest cztero-, pięciokrotna, w Anglii zysk na paczce może być nawet razy dziesięć* – mówi Dariusz. Kilka tygodni temu CBŚ rozbiło polsko-ormiański gang przemycający przez kilka lat białoruskie papierosy zza wschodniej granicy do Polski i Irlandii. Zatrzymano sześć osób, a 30 czarnorynkowych transportów zawierających 260 mln sztuk papierosów oznaczało dla Skarbu Państwa stratę w wysokości 370 mln zł.

Ze statystyk Straży Granicznej: w 2021 r. udaremniono wprowadzenie do obrotu papierosów i tytoniu o wartości ponad 304 mln zł. Wybuch wojny w Ukrainie wywołał efekt mrożący. W 2022 r. wartość przechwyconego towaru to niespełna 142 mln, rok później – 166 mln, a w 2024 r. – 152 mln. Ale w pierwszej połowie tego roku już niemal 108 mln, co może oznaczać szklankę do połowy pełną (wzrosła wykrywalność), ale i pustą (wartość zabezpieczonego towaru rośnie wprost proporcjonalnie do aktywności przemytników). Faktyczna skala przemytu nie jest znana. Wiadomo tylko, ile udaje się przechwycić.

Tomasz z odcinka nadbużańskiego (170 km granicy z Białorusią, niemal 300 km z Ukrainą): – *Zasadnicza zmiana polega na tym, że po wybuchu wojny przemyt z Ukrainy praktycznie ustał. Teraz na wojenne wydatki liczy się tam każda hrywna, udział w przemycie jest działaniem antypaństwowym i sprzyjającym wrogowi, a karą nie jest już grzywna albo więzienie, lecz bilet na front.* Również dla skorumpowanych pograniczników.

Lukę szybko wypełnili przemytnicy z Białorusi. Wartość pochodzących stamtąd zarekwirowanych papierosów wzrosła w 2023 r. ponad 11-krotnie w stosunku do roku poprzedniego. Następnie zaobserwowano istotny spadek (74 proc. dla papierosów, 35 proc. – jeśli chodzi o tytoń). Jednak w pierwszej połowie tego roku nastąpiło odbicie przemytu papierosów o 131 proc. Pogranicznicy mówią, że w przemycie biorą udział grupy białorusko-polskie. Nadawcy i odbiorcy dystrybutorzy. Nawiązanie kontaktów i dojść wymaga czasu. A wojenna barykada i stan międzypaństwowego napięcia wzmagają nieufność. Dariusz: – *Wśród zatrzymanych mamy Polaków, ale też Białorusinów, Ukraińców, obywateli państw bałtyckich. Obcokrajowcy są deportowani i otrzymują zakaz wjazdu do strefy Schengen. Od trzech do dziesięciu lat, w zależności od skali przewinienia.*

Zrzucić i wrócić

Określanie przemytniczych wehikułów latających mianem dronów jest mocno na wyrost i funkcjonuje raczej jako umowny skrót. Profesjonalny dron, wyposażony w cztery wirniki i wykorzystywany również w transporcie, kosztuje co najmniej 5 tys. zł. Dla przestępców to spory wydatek, biorąc pod uwagę ryzyko wpadki i utraty sprzętu. – *To najczęściej tania chińszczyzna po prowizorycznych przeróbkach. Ale zdarzają się też konstrukcje ze styropianowych płyt przypominające mały samolot,* ▶

eprasa.pl acfe9a7195

▶ *z ładunkiem ukrywanym w korpusie. Największe, które odnajdywaliśmy, miały ok. 1,5 m rozpiętości skrzydeł* – opowiada Dariusz.

Taka garażowa maszyna latająca ma się dostać niepostrzeżenie nad polskie terytorium, zrzucić ładunek, a następnie wrócić do nadawcy, na drugą stronę granicy. Zasięg obliczony na polskim niebie to co najwyżej kilkanaście kilometrów od granicy; im dalej na zachód, tym większe ryzyko namierzenia i neutralizacji, ale również większa gęstość zaludnienia. A przesyłki mają lądować w odludnych miejscach, z dala od niepowołanych oczu, najlepiej na leśnych polanach, do których prowadzą co najmniej dwie, trzy drogi dojazdowe. Tomasz: – *Są takie miejsca zrzutu, o których wiemy, ale jeśli przemytnicy dowiedzą się, że wiemy, znajdą inne. Niekończąca się historia. Żeby zgubić trop i utrudnić śledzenie, wyrzucają z dronów oryginalne oprogramowanie i instalują pirackie. Uważają, że taki sprzęt jest trudniejszy do wykrycia, ale my mamy zdolnych ludzi i swoje patenty.*

Przerzuty lecą nocami. Regularności brak: po dwóch, trzech tygodniach spokoju następuje wzmożenie przez kilka nocy z rzędu. Aktywność obiektów latających stwierdza się organoleptycznie, czyli pod warunkiem że je słychać, a to się zdarza, bo napęd elektryczny jest wprawdzie cichy, ale wirniki już nie. Problem polega na tym, że zlokalizowanie drona to nawet nie jest połowa sukcesu, trzeba go jeszcze śledzić, a to się udaje na tyle, na ile pozwalają lornetki i inna aparatura noktowizyjna, mająca swój ograniczony zasięg. Więc intruzów często się gubi. Dariusz: – *Naszym absolutnym priorytetem jest obrona wschodniej granicy przed nielegalną imigracją. Mając do wyboru: zaangażować ludzi w walkę z gangiem zajmującym się przemytem ludzi albo skierować ich do śledzenia przemytników towarów, zawsze wybiera się to pierwsze.*

Do skutecznej walki z dronami, również przemytniczymi, przydałoby się rozmieszczenie w pasie przygranicznym specjalistycznych radarów. Straż Graniczna w dalszym ciągu takich nie ma. Analityk wojskowy Jarosław Wolski twierdzi, że przetarg na ten sprzęt został ustawiony pod jednego dostawcę – z Izraela. A polskim konkurentom radzi zainteresować tą sprawą Krajową Izbę Odwoławczą. Zwłaszcza że rodzime firmy sroce spod ogona nie wyskoczyły, a ich systemy są wykorzystywane do monitorowania i ochrony nieba np. w Norwegii i na Litwie.

Wiatr zza Buga

Drony są ciche, ale jeszcze cichsze są balony. Właściwie bezszelestne. Mają też wady. Przede wszystkim – uzależnienie od wiatru. Z tych samych prognoz pogody korzystają jednak zarówno przemytnicy, jak i ich łowcy. Sprzyjający powiew wzmaga więc czujność Straży Granicznej. Ale balony są w powietrzu bardzo trudne do wykrycia. Jeśli kontrabanda trafia w ręce polskich służb, to na ogół dlatego, że transport wylądował albo się rozbił (bo w balonie skończył się gaz, czasza zahaczyła o drzewa albo linie wysokiego napięcia), a planowych odbiorców uprzedzili przygodni świadkowie incydentu. Tomasz: – *Balon nie porusza się wytyczoną trasą. Jego kierunek, prędkość i dystans, jaki pokona, to właściwie zagadka. Umieszcza się w nich więc nadajniki lokalizacyjne, żeby ułatwić podjęcie ładunku.* Dariusz: – *Balony odnajdywaliśmy na całej długości podlaskiego pasa przygranicznego, od Mielnika po Sejny. Myślę, że przemytnicy mają wkalkulowane to, że część ładunku im przepadnie. Ale skoro proceder trwa, widocznie im się opłaca.*

Balon to prowizorka do kwadratu. Na chińskich portalach aukcyjnych jego wersja reklamowana jako meteorologiczna albo pogodowa kosztuje kilkadziesiąt złotych. Przemytnicy wypełniają go gazem, a następnie montują rurkę PCV, dokonują małych przeróbek (tu zaślepić, tam nawiercić), aby gaz mógł powoli uchodzić. – *Problem polega na tym, że nie wiemy, jaki gaz został użyty. Mówi się, że bywa to wodór, który przecież w zetknięciu z powietrzem tworzy mieszankę wybuchową. Profilaktycznie do balonów z nadmuchaną czaszą więc się nie zbliżamy i to samo radzę przypadkowym znalazcom. Wprawdzie o eksplozji nie słyszałem, ale lepiej dmuchać na zimne* – twierdzi oficer Dariusz.

Skala balonowego przemytu, podobnie jak dronowego, pozostaje pod znakiem zapytania. Obecny stan wysokiego napięcia w stosunkach polsko-białoruskich wyklucza pomoc i współdziałanie służb. Tomasz: – *Przed wybuchem kryzysu migracyjnego, a potem wojny kierunek białoruski angażował nas bez porównania mniej niż ukraiński. Białorusini dość dobrze pilnowali u siebie porządku, przekazywali nam informacje. Teraz mamy uzasadnione podejrzenia, że ułatwiają, a nawet inspirują przemyt. To element wojny hybrydowej, którą toczą z Polską.*

Pokój budzi niepokój

Z informacji pograniczników wynika, że w powietrzny przemyt grube ryby się nie bawią. Za mała skala, zbyt niski zysk, za duże ryzyko wpadki i utraty towaru. Oni organizowali nielegalne przerzuty zaplanowane od A do Z: hurtowe ilości, zhierarchizowana grupa, przekupieni funkcjonariusze, precyzyjny plan, sprzęt najwyższej jakości, gotowość do użycia broni. – *Drony i balony to domena tych, którzy wcześniej ukrywali towar w ściankach wagonów kolejowych albo w bakach samochodów i cztery razy dziennie wjeżdżali do Polski na zakupy. Wciąż mamy do czynienia z mrówkami, tyle że latającymi* – uważa Dariusz.

Mrówki znajdują się na końcu przemytniczego łańcucha, ale dzięki nim interes może się kręcić. Jedne kusi łatwy pieniądz, inne zmusza życiowa sytuacja, a nierzadko kombinacja tych czynników. Perspektywa dotkliwej kary jest dość iluzoryczna. Z akt Sądu Okręgowego w Lublinie: w 2022 r. M., któremu dowiedziono udział w zorganizowanej grupie przestępczej kierowanej przez D., otrzymał karę 10 miesięcy pozbawienia wolności. Oskarżona D. (z góry powzięty zamiar, stałe źródło dochodu, działając wspólnie i w porozumieniu, przechowywała i pomogła w zbyciu kilkudziesięciu tysięcy paczek papierosów przemyconych z Białorusi) została skazana na rok więzienia w zawieszeniu na trzy lata. Inny wyrok, listopad 2024 r.: członkom zorganizowanej grupy przestępczej zajmującej się szmuglem papierosów, przez co Skarb Państwa stracił kilkadziesiąt milionów złotych, wymierzono przede wszystkim grzywny, kary więzienia w zawieszeniu, prace społeczne, dozór kuratora, przepadek korzyści uzyskanych z procederu. Funkcjonariusze przyznają, że często w ich ręce wpadają dobrze im już znani ludzie.

Z punktu widzenia pograniczników nielegalne przerzuty drogą powietrzną mają jedną zaletę – minimalizują ryzyko bezpośredniej konfrontacji z przemytnikami łapanymi na gorącym uczynku. Jednak przyszłość rysuje się niepokojąco i niespokojnie. Jeśli w Ukrainie skończy się wojna, na tamtejszym czarnym rynku zaroi się od bezużytecznej broni. Będzie pokusa, by się jej pozbyć i zarobić. Poważna gangsterka nie przejdzie wobec tego obojętnie.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl acfe9a7195

Na każdy temat z każdej strony
tokfm

eprasa.pl acfe9a7195

Czyste Powietrze – trudna reaktywacja

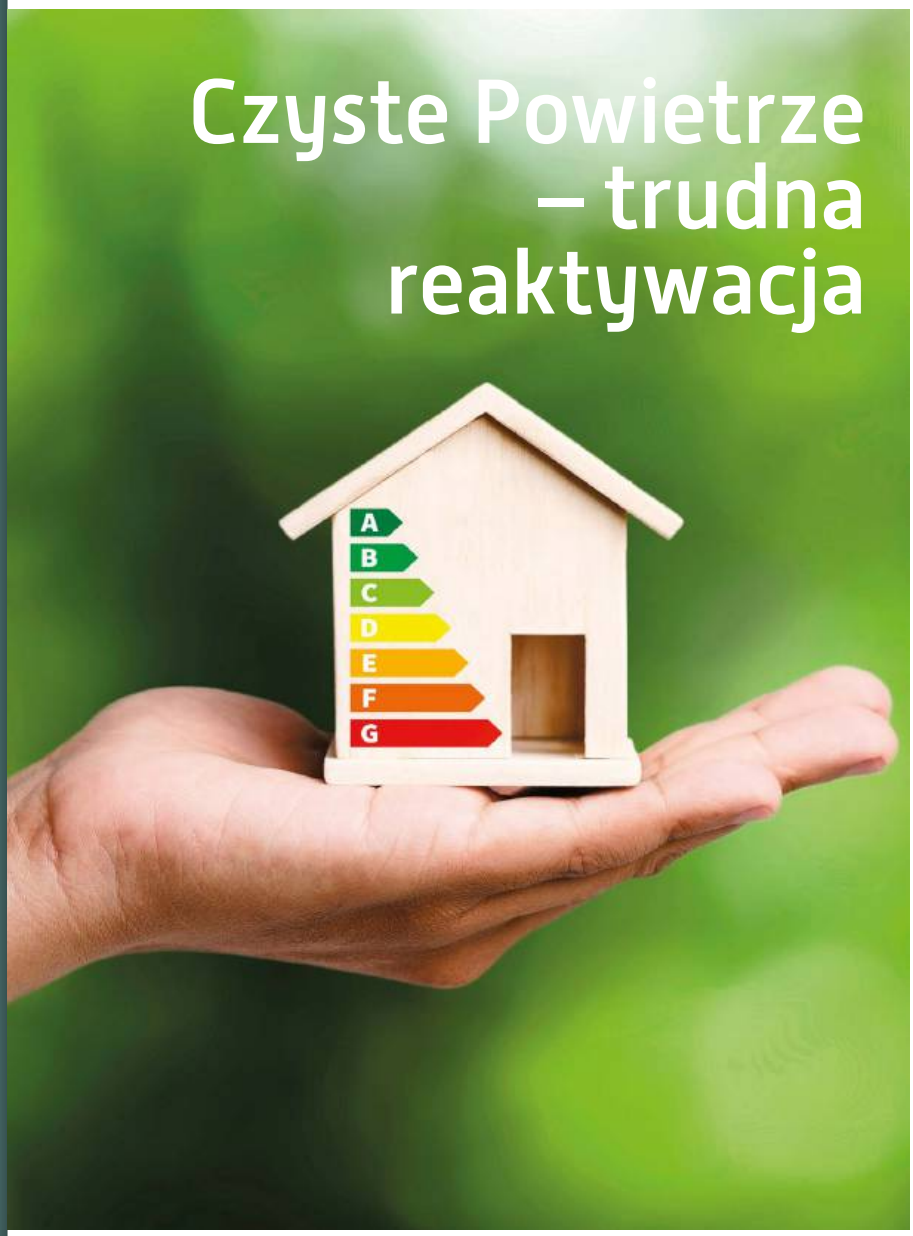

© SHUTTERSTOCK

Najpopularniejsza metoda dotacji do remontu domu i wymiany pieca działa na nowych zasadach. Mają lepiej chronić przed oszustami, ale zamieszanie wokół programu na razie zniechęca niektórych do składania wniosków.

Czyste Powietrze to nie tylko wielki projekt walki ze smogiem w Polsce, ale równocześnie droga do obniżenia wydatków na ogrzewanie domów i racjonalnego gospodarowania energią. Niestety, program przechodził ostatnio dość burzliwy okres. Przez zimowe miesiące przyjmowanie nowych wniosków było zawieszone, poza tym pojawiły się informacje o licznych nadużyciach. Zdarzały się firmy, które sztucznie zawyżały wartość wykonanych prac, aby uzyskać większe dofinansowanie. Niektórzy wykonawcy podpisywali umowy, inkasowali duże zaliczki, a potem znikali, zostawiając właścicieli domów z ogromnymi problemami. Z kolei przedsiębiorcy narzekali, że za wykonane prace przez

Dla kogo Czyste Powietrze?

	Podstawowy poziom dofinansowania	Podwyższony poziom dofinansowania	Najwyższy poziom dofinansowania
Maksymalny dochód beneficjenta	Roczny dochód: 135 tys. zł	Próg dochodu miesięcznego na jednego członka gospodarstwa domowego: • 2250 zł w gospodarstwie wieloosobowym, • 3150 zł w gospodarstwie jednoosobowym.	Próg dochodu miesięcznego na jednego członka gospodarstwa domowego: • 1300 zł w gospodarstwie wieloosobowym, • 1800 zł w gospodarstwie jednoosobowym.
Stopień pokrycia kosztów (do wysokości limitu)	40 proc.	70 proc.	100 proc.

Źródło: Czystepowietrze.gov.pl

eprasa.pl acfe9a7195

wiele miesięcy nie otrzymują refundacji z wojewódzkich Funduszy Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, które nie nadążają z rozpatrywaniem wniosków oraz traktują każdego wykonawcę jak podejrzanego.

W kwietniu nabór został wznowiony, ale po zmianach mających uszczelnić program i zmniejszyć ryzyko oszustw liczba wniosków jest znacznie mniejsza niż w poprzednich latach. Co prawda systematycznie rośnie, ale w dość wolnym tempie. Wynosi średnio 1,5–2 tys. wniosków tygodniowo, gdy rok temu było to dwa, a nawet trzy razy więcej. Być może niektórzy właściciele domów boją się korzystać z Czystego Powietrza, bo to na nich spadnie odpowiedzialność, jeśli wykonawca okaże się nieuczciwy. Na tym zresztą nie koniec barier. – *Na początku wymagany jest audyt energetyczny budynku. Można otrzymać zwrot jego kosztów do wysokości 1,2 tys. zł, ale tylko jeśli dom będzie miał parametry kwalifikujące go do programu. W przeciwnym razie właściciel sam musi ponieść koszty audytu. Taka obawa może zniechęcać do składania wniosków. Uważamy, że wydatki na audyt powinny być refundowane bez względu na jego wynik* – podkreśla Piotr Siergiej, rzecznik Polskiego Alarmu Smogowego.

Program Czyste Powietrze działa od września 2018 r., czyli już ponad siedem lat. Na razie planowany jest do końca 2030 r. Dotąd złożono w jego ramach ponad 1 mln wniosków na łączną kwotę aż 40 mld zł, a wypłacono beneficjentom niemal 18 mld zł. Jak wynika ze statystyk programu, do końca 2024 r. udało się dzięki niemu wymienić niemal 400 tys. nieefektywnych źródeł ciepła (najczęściej chodzi o tzw. kopciuchy, czyli bardzo szkodliwe dla środowiska, ale i dla samych mieszkańców piece węglowe), a także ocieplić ponad 450 tys. budynków. Jednak potrzeby są wciąż ogromne. Z danych Centralnej Ewidencji Emisyjności Budynków wynika, że w marcu tego roku w Polsce było wciąż ponad 1,3 mln kopciuchów.

Oznacza to, że program Czyste Powietrze powinien wciąż działać na pełnych obrotach. W ramach reformy wprowadzono specjalne rozwiązanie dla osób o najniższych dochodach, które mogą otrzymać zwrot nawet 100 proc. poniesionych wydatków na zmianę źródła ciepła oraz termomodernizację budynku. To właśnie tacy beneficjenci do tej pory najczęściej padali ofiarami oszustów. Teraz osoby ubiegające się o najwyższy poziom dofinansowania są objęte opieką operatorów programu. W tej roli występują przede wszystkim gminy, które biorą na siebie funkcję doradczą i pomagają – nieodpłatnie! – przy składaniu wniosków. Dzięki wprowadzeniu operatorów spaść ma ryzyko nadużyć. To ważne, bo znaczna część domów o najgorszych parametrach energetycznych zamieszkiwana jest właśnie przez osoby najuboższe.

Z programu mogą korzystać osoby fizyczne, które od minimum trzech lat są właścicielami lub współwłaścicielami budynku jednorodzinnego lub wydzielonego w takim budynku lokalu mieszkalnego z wyodrębnioną księgą wieczystą. Okres trzech lat posiadania

REKLAMA

REKUPERACJA
CZUĆ KLIMAT.

alnor®
systemy wentylacji

ALNOR SYSTEMY WENTYLACJI SP. Z O.O.

handlowy@alnor.com.pl
rekuperacja@alnor.com.pl
rekuperacja.alnor.com.pl
www.alnor.com.pl

eprasa.pl acfe9a7195

nieruchomości nie dotyczy tych, którzy otrzymali ją w spadku. Od tego roku wprowadzono dodatkowe obostrzenie. Wsparcie przysługuje tylko na jedną nieruchomość. Oznacza to, że wnioskować o dofinansowanie mogą tylko ci, którzy dotąd nie korzystali z programu Czyste Powietrze w jakimkolwiek posiadanym przez siebie domu czy lokalu. Wolno również wystąpić o pomoc dla nieruchomości, w której już przeprowadzono część prac objętych dotacją.

Chociaż Czyste Powietrze kojarzy się przede wszystkim z pozbywaniem się kopciuchów, zakres wsparcia może być bardzo szeroki. To ogromny atut tego programu. Środki można wykorzystać nie tylko na wymianę źródła ciepła, ale także na modernizację instalacji centralnego ogrzewania i ciepłej wody użytkowej, ocieplenie budynku, wymianę okien i drzwi oraz zakup rekuperacji, czyli wentylacji mechanicznej z funkcją odzysku ciepła. Maksymalna kwota dofinansowania zależy od dochodów właściciela, parametrów budynku i zakresu prac. Najwyższe wsparcie dotyczy termomodernizacji i jednoczesnej instalacji gruntowej pompy ciepła w budynku o zapotrzebowaniu na energię do ogrzewania (przed remontem) powyżej 140 kWh na m kw. W takim scenariuszu można dostać do 170 tys. zł w najwyższym poziomie dofinansowania, do 119 tys. zł w podwyższonym poziomie i do 68 tys. zł w podstawowym.

W przypadku podwyższonego i najwyższego poziomu dotacji możliwe jest prefinansowanie (tylko do 35 proc. przyznanej dotacji) wypłacane wykonawcy w formie zaliczki. Aby je otrzymać, trzeba do wniosku o dofinansowanie z Czystego Powietrza dołączyć maksymalnie trzy umowy z firmami na usługi, dostawy czy roboty budowlane przewidziane w ramach planowanego remontu. Miejmy nadzieję, że zmiany wprowadzone w tym roku z jednej strony uszczelnią ten bardzo potrzebny program (aby wydawanie ogromnych publicznych pieniędzy odbywało się w sposób efektywny i uczciwy), ale równocześnie nie zniechęcą tych wszystkich, którzy wciąż stoją przed kompleksowymi remontami swoich domów i potrzebują wsparcia na ten cel.

Cezary Kowanda

Okna piękne i ciche

Duże przeszklenia nie tylko wprowadzają naturalne światło, lecz także zmieniają optykę wnętrza. Towarzyszyć powinny im przesłony, które pozwolą nam kontrolować, ile słońca chcemy wpuszczać do naszych domów.

Zamiast o oknach coraz częściej mówimy o przeszkleniach. Standardem w przypadku nowoczesnych budynków – zarówno jednorodzinnych, jak i bloków mieszkalnych – stała się zamiana tradycyjnych okien i drzwi balkonowych na wielkoformatowe przeszklenia. Zacierają one granicę między tym, co w środku, i tym, co na zewnątrz. Panoramiczne drzwi przesuwne mają wiele zalet: powiększają i rozjaśniają przestrzeń, pozwalają na bliższy kontakt z naturą, stają się elementem kompozycji architektonicznej i nośnikiem emocji. Odpowiednio zaprojektowana stolarka czyni wnętrze nie tylko jaśniejszym, ale i optycznie bardziej przestronnym. Aby osiągnąć ten efekt, nowoczesne rozwiązania wykorzystują optykę, światło i technologię do tworzenia iluzji wizualnych.

Architekci coraz częściej projektują domy tak, żeby to okno stało się centralnym punktem pomieszczeń i stanowiło ramę dla krajobrazu, który wręcz wchodzi do wnętrza. Aby jednak osiągnąć w pełni taki imponujący efekt, potrzebne są rozwiązania minimalizujące fizyczną obecność konstrukcji drzwi przesuwnych. Wąskie profile, ukryte skrzydła i zerowe progi pozwalają architekturze wtopić się w otoczenie. Panoramiczne drzwi rozszerzają salon na taras, a wrażenie ciągłości i spójności przestrzeni wzmacnia wysokiej

© FAKRO

eprasa.pl arc e9a7195

FAKRO®

NOWA GENERACJA OKIEN DACHOWYCH **GREENVIEW**
z pakietem akustycznym

Poznaj moją pasję

Okna **GREENVIEW** powstały z pasji tworzenia i zmieniania świata. Przedstawiamy nową generację okien dachowych, które łączą najwyższe standardy funkcjonalne i estetyczne z wysoką energooszczędnością i wyjątkową akustyką.
Okna dachowe GREENVIEW z pakietem P50 o bardzo dobrym współczynniku izolacji akustycznej aż do Rw = 41dB to cisza na poddaszu kiedy oddajesz się swojej pasji, i w chwilach gdy potrzebujesz odpoczynku.

eprasa.pl acfe9a7195

© ALUPROF

jakości szkło, które nie zniekształca kolorów ani konturów. Ma chronić, ale równocześnie nie przeszkadzać – najlepiej, gdyby się wydawało, że w ogóle go nie ma.

Na popularności w ostatnich latach zyskały zwłaszcza aluminiowe rozwiązania o wąskich profilach, które umożliwiają stosowanie dużych przeszkleń przy jednoczesnym zachowaniu sztywności i izolacyjności. Minimalne konstrukcje, niewidoczne okucia i ukryte mechanizmy sterujące przekładają się na czystą formę i zapewniają maksymalne doświetlenie wnętrza. Zabudowa ościeżnic i progów pozwala stworzyć efekt jednej powierzchni łączącej pomieszczenie z tarasem. – *Najważniejsze jest dla nas to, żeby architekt nie musiał wybierać między jakością techniczną a estetyką. Kiedy projektujemy produkty, szukamy rozwiązań, które umożliwiają pracę światłem i przestrzenią tak, by wnętrze i otoczenie przenikały się naturalnie. Przykładowo, drzwi panoramiczne pozwalają tworzyć duże, przesuwne przeszklenia z niemal niewidoczną ramą, co wspiera ten efekt. Dzięki temu powstają wnętrza, w których technologia pozostaje w cieniu, a pierwszoplanową rolę odgrywa krajobraz* – mówi Marek Rudyk, dyrektor ds. rozwoju systemów architektonicznych w Aluprof SA.

Duże przeszklenia pozwalają w pełni wykorzystywać zalety naturalnego światła, które kształtuje postrzeganie przestrzeni – refleksy, cienie i przezierność szkła wpływają na nastrój wnętrza bardziej niż jego metraż. Minimalistyczne ramy i duże powierzchnie szkła pomagają budować głębię bez dodatkowych elementów wystroju. Perspektywa staje się narzędziem projektowym. Okno może optycznie poszerzyć pokój, „przedłużyć" salon w kierunku ogrodu albo stworzyć kontrapunkt dla bryły budynku. Nowoczesne rozwiązania, takie jak fasady słupowo-ryglowe czy drzwi podnoszono-przesuwne, umożliwiają pracę na dużych płaszczyznach szkła bez utraty parametrów izolacyjnych czy statycznych.

Jednak wykorzystywanie szkła na tak wielką skalę rodzi też nowe wyzwania. Otwarcie się na pełny kontakt z otoczeniem może powodować większe wychłodzenie czy nagrzewanie wnętrz. Tymczasem w europejskich budynkach aż 80 proc. całkowitego zużycia energii przypada na ogrzewanie i chłodzenie pomieszczeń. Z powodu ocieplenia klimatu zwłaszcza lato stało się poważnym wyzwaniem. W czasie fal upałów potrzebne są rozwiązania poprawiające komfort termiczny bez konieczności korzystania z bardzo kosztownych i szkodliwych dla środowiska systemów klimatyzacji. To dlatego coraz chętniej sięgamy po sprawdzone od dawna (szczególnie w krajach cieplejszych od Polski) pasywne rozwiązania, takie jak zewnętrzne osłony przeciwsłoneczne. Skutecznie ograniczają nagrzewanie się wnętrz i wspierają energooszczędne budownictwo, a przy tym nie oznaczają wyższych rachunków za energię elektryczną.

Ważny jest odpowiedni dobór takich rozwiązań. – *W ochronie przed przegrzewaniem wnętrz kluczowa jest lokalizacja osłon. Montowane na zewnątrz mogą skutecznie zatrzymać promienie słoneczne, zanim te dotrą do szyby. Dzięki temu znaczna część ciepła nie przenika do środka, co realnie przekłada się na niższą temperaturę i większy komfort mieszkańców* – wyjaśnia Paweł Wacławczyk, dyrektor rozwoju segmentu osłon przeciwsłonecznych w firmie Aluprof. Na skuteczność osłon przeciwsłonecznych wpływa zarówno ich położenie, jak również sposób, w jaki radzą sobie z promieniowaniem słonecznym.

W przypadku osłon takich jak rolety czy żaluzje montowane wewnątrz światło słoneczne przenika przez szybę i dopiero wewnątrz jest pochłaniane lub odbijane. W praktyce oznacza to, że nawet jeśli światło zostanie przytłumione, temperatura w pomieszczeniu i tak wzrośnie. Dlatego ważne jest zablokowanie czy zmniejszenie nagrzewania szyby. Pomóc mogą np. screeny, zwane także refleksolami. To nowoczesne osłony tekstylne, które działają, opierając się na zjawisku rozpraszania światła. Zamiast całkowicie blokować dostęp do światła dziennego, specjalne tkaniny filtrują je i rozpraszają, ograniczając bezpośrednie nasłonecznienie oraz ilość ciepła przenikającego do środka. Dzięki temu możliwe jest utrzymanie komfortu termicznego bez konieczności całkowitego zaciemniania wnętrz. Rozwiązanie to sprawdza się szczególnie w przestrzeniach z dużymi przeszkleniami – takich jak salony, biura czy budynki z przeszklonymi fasadami – gdzie przebywamy w ciągu dnia. Z tego powodu dostęp do naturalnego światła jest pożądany, ale jednocześnie chcemy uniknąć przegrzewania pomieszczeń. Odpowiednio dobrana osłona przeciwsłoneczna pozwala nie tylko ograniczyć wahania temperatury, ale też zapewnia lepszą jakość światła wewnątrz, co ma znaczenie zarówno dla komfortu mieszkańców, jak i dla wydajności pracy.

Co ważne, współczesne osłony przeciwsłoneczne wykorzystują często inteligentne rozwiązania, które można dostosować do stylu życia, pory dnia, a nawet pogody. Żaluzje fasadowe to przykład systemu, który umożliwia personalizację pod względem zarówno estetyki, jak i funkcjonalności. Aluminiowe lamele umożliwiają precyzyjną regulację kąta nachylenia, dzięki czemu użytkownik kontroluje ilość światła

eprasa.pl acfe9a7195

ŻALUZJE
pełna kontrola nad światłem i cieniem

selt by ALUPROF

- **Skuteczna ochrona przed słońcem** – precyzyjna kontrola światła w pomieszczeniu
- **Niższe rachunki za energię** – ograniczenie nagrzewania wnętrz latem i strat ciepła zimą
- **Większy komfort na co dzień** – optymalna temperatura i zapewnienie prywatności
- **Nowoczesny design** – minimalistyczny styl wpisujący się w nowoczesną architekturę
- **Pełna automatyzacja i wygoda** – sterowanie elektryczne i poprzez aplikacje mobilne

eprasa.pl acfe9a7195

i cienia w pomieszczeniu w ciągu całego dnia. Takie osłony mogą nawet współpracować z automatycznymi czujnikami pogodowymi. Dzięki temu mogą automatycznie reagować na zmiany nasłonecznienia, siły wiatru czy temperatury. W razie potrzeby osłona samoczynnie się opuści lub ustawi lamele pod odpowiednim kątem, by chronić wnętrze przed przegrzaniem.

Możliwość pełnej integracji z inteligentnymi systemami zarządzania budynkiem sprawia, że żaluzje stają się nie tylko osłoną, lecz także aktywnym elementem energooszczędnej architektury. Według danych European Solar Shading Organisation instalacja inteligentnych osłon przeciwsłonecznych w przypadku 75 proc. budynków objętych renowacją może przynieść do 22 proc. oszczędności energii i redukcji emisji dwutlenku węgla rocznie. Taka inwestycja szybko się zwraca, bo dzięki niej możemy zrezygnować z instalacji urządzeń klimatyzacyjnych albo znacząco ograniczyć czas ich pracy. Okresy letnie charakteryzują się także w Polsce zarówno intensywnym nasłonecznieniem, jak i coraz wyższymi temperaturami. O ile w pozostałych miesiącach roku chętnie zapraszamy słońce do środka naszych domów, o tyle latem musimy się przed nim raczej chronić. Dzięki screenom czy żaluzjom fasadowym nie musimy rezygnować z zalet dużych przeszkleń, a przy tym możemy w sposób inteligentny kontrolować ilość światła i ciepła wpuszczanego do pomieszczeń.

© ALUPROF

Eksperci podkreślają, że dobierając stolarkę okienną, warto zwrócić uwagę na różne aspekty: lokalizację okien i ich orientację względem stron świata, izolacyjność termiczną, akustyczną oraz uszczelnienia połączeń okien z elewacją. Orientacja okien ma szczególne znaczenie przy konstrukcjach wielkogabarytowych zorientowanych na stronę południową lub południowo-zachodnią. – *Należy dokonać odpowiedniego doboru oszklenia pod względem parametrów szyb, aby nie doprowadzić w okresie wysokiego nasłonecznienia do przegrzewania budynku. Izolacyjność termiczna zależy od konstrukcji ramowej okien i parametru Uf (współczynnik przenikania ciepła dla ramy okiennej), ale przede wszystkim od udziału szyby w całkowitej powierzchni okna. Dzisiejszy standard to oszklenie dwukomorowe o parametrze izolacyjności Ug wynoszącym 0,5 W/(m²·K). Prawidłowy montaż oraz odpowiednie uszczelnienie okien to najważniejszy warunek zachowania parametrów technicznych okien* – mówi Augustyn Zioło, doradca techniczny Związku Polskich Okien i Drzwi. Podkreśla, że dzisiejszy standard tzw. ciepłego montażu, czyli trójwarstwowego, ma szczególne znaczenie dla ograniczenia strat w strefie połączenia okien z murem. Prawidłowy montaż zapewnia kompleksowe uszczelnienie warstwy izolacyjnej w złączu okiennym, od strony zarówno zewnętrznej, jak i wewnętrznej budynku, co zabezpiecza przed powstawaniem mostków termicznych i stratami energii.

Obok chęci zachowania odpowiedniej temperatury jednym z najczęstszych wyzwań w naszych domach jest hałas dochodzący z zewnątrz. Wiele budynków znajduje się blisko ruchliwych dróg czy linii kolejowych, poza tym nieustannie rośnie ruch lotniczy. Coraz gęściejsza zabudowa sprawia, że domy – nawet jednorodzinne – stoją blisko siebie, więc dużo bardziej, niżbyśmy chcieli, słyszymy, co robią sąsiedzi. A przecież w domu potrzebujemy możliwości wyciszenia: w nocy, bo dobry sen to niezbędny element zdrowego stylu życia, ale także w dzień, gdy się uczymy, pracujemy zdalnie czy po prostu chcemy odpocząć. Dlatego warto zwracać uwagę na izolację akustyczną, jaką oferują okna.

Ta kwestia szczególnie istotna jest w przypadku okien dachowych, bo w budynkach jednorodzinnych to właśnie na poddaszu znajdują się często sypialnie czy pokoje do pracy. Taka lokalizacja umożliwia zachowanie prywatności i oddzielenie się od reszty domu. Tym bardziej należy zwracać uwagę na to, czy okna dachowe pozwolą ochronić nas przed dźwiękami dochodzącymi z zewnątrz. Dobrą izolację zapewniają produkty charakteryzujące się współczynnikiem Rw o wartości 40 decybeli lub wyższym. – *Trzyszybowy pakiet z podwójną folią dźwiękoizolacyjną skutecznie ogranicza przenikanie hałasu z zewnątrz, dzięki czemu przestrzeń poddasza staje się bardziej komfortowa i sprzyja zarówno odpoczynkowi, jak i pracy. Dla architektów to gwarancja, że proponowane rozwiązania nie tylko podnoszą komfort użytkowników, ale również wpisują się w trend projektowania domów zdrowych, funkcjonalnych i dostosowanych do wyzwań środowiskowych. Jest to szczególnie ważne w przypadku inwestycji realizowanych w gęstej zabudowie miejskiej, gdzie komfort akustyczny nabiera coraz większego znaczenia* – podkreśla Sławomir Kwarciak, starszy menedżer produktu FAKRO.

W przypadku wszystkich okien kluczowym parametrem jest oczywiście ich izolacyjność cieplna. Zwracamy na to uwagę przede wszystkim z powodu szybko rosnących kosztów ogrzewania. Stosowanie na poddaszu większej liczby okien dachowych, często o dużej powierzchni, oznacza ryzyko większej utraty ciepła. Na szczęście ogromny postęp technologiczny pozwala zminimalizować to ryzyko. Innowacyjne konstrukcje z wyższym profilem skrzydła i pakietem trzyszybowym znacząco wpływają na ochronę ciepła, co oznacza mniejsze zapotrzebowanie na energię, aby ogrzać poddasze. Warto wybierać pakiety szybowe o większej grubości (np. 44 mm), dzięki czemu można je głębiej osadzić w konstrukcji skrzydła i w ten sposób całe okno zyskuje lepszą termoizolacyjność. Współczynnik przenikania ciepła okien dachowych na poziomie 0,9 W/(m²·K) gwarantuje dobrą kontrolę nad rachunkami za ogrzewanie. A odpowiedni nawiewnik optymalizuje przepływ świeżego powietrza, minimalizując jednocześnie straty ciepła.

Cezary Kowanda

eprasa.pl acfe9a7195

ALUPROF
selt by ALUPROF
PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI
OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE
AMBASADOR
Szymon Marciniak
ALUPROF
GRAMY FAIR Z NATURĄ
www.aluprof.com/dom

© GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

Energia i elegancja

Panele fotowoltaiczne pozwalają znacznie obniżyć wysokość rachunków za prąd, chociaż budzą wątpliwości estetyczne. Jest na to rada – system integrujący ogniwa i pokrycie dachowe.

Liczba przydomowych instalacji fotowoltaicznych przekroczyła już w Polsce 1,5 mln. To przede wszystkim dzięki prosumentom (konsumentom będącym jednocześnie producentami prądu) energetyka słoneczna odgrywa istotne znaczenie w naszym kraju. W słoneczne dni w godzinach południowych zapewnia produkcję ponad połowy energii elektrycznej, dzięki czemu znacząco zmniejsza się emisja dwutlenku węgla w elektrowniach węglowych czy gazowych. A dzięki rosnącej liczbie magazynów energii lub ciepła, których instalacja w ostatnich edycjach programu Mój Prąd była wymagana do otrzymania dotacji, energia ze słońca może być wykorzystywana w gospodarstwach domowych przez całą dobę, w zależności od potrzeb.

W ten sposób udaje się też znacząco obniżać rachunki w przypadku przejścia na taryfy godzinowe. Wówczas magazyn energii lub ciepła jest wykorzystywany wieczorem, gdy stawki za kilowatogodzinę dostawców zewnętrznych okazują się najwyższe. Dobór odpowiedniego magazynu nie jest prosty, ale możemy liczyć na pomoc ekspertów. – *Po wielu analizach stworzyliśmy aplikację na stronie ieo.ovh, w której pokazujemy, jak dobrać magazyn ciepła (wodny, piaskowy lub z tzw. przemianą fazową). Aplikacja bierze pod uwagę profil generacji energii w instalacji fotowoltaicznej, profil godzinowy cen energii wraz z ich prognozą oraz profil godzinowy zapotrzebowania na energię elektryczną, ogrzewanie i ciepłą wodę. Skoro w grę wchodzi tak dużo czynników, prosumenci potrzebują wsparcia ze strony takiego programu* – podkreśla Grzegorz Wiśniewski, prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej.

A na co zwrócić uwagę, planując nową instalację fotowoltaiczną na dachu? – *Fundamentalne znaczenie ma wiedza, ile energii elektrycznej potrzebujemy. Następnie powinniśmy oszacować, czy nasz dach wystarczy do zainstalowania potrzebnej liczby paneli fotowoltaicznych. Najlepiej, aby panele były położone w stronę zbliżoną do geograficznego południa, gdyż tam uzyskamy najwięcej energii, Jednak warto mieć też na względzie to, w jaki sposób zużywamy energię – czy domownicy są obecni przez cały dzień? A może tylko rano, a następnie dopiero po południu i wieczorem? Obecne regulacje preferują zużycie energii bezpośrednio przez gospodarstwo domowe, a oddawanie jej do sieci jest coraz mniej korzystne. Dlatego może okazać się, że lepiej rozmieścić instalację na kilku połaciach, np. od strony wschodniej i zachodniej* – mówi Leszek Zamelczyk, doradca ds. systemów fotowoltaicznych swissporTON.

Dla efektywności funkcjonowania paneli fotowoltaicznych kluczowe znaczenie – oprócz jakości komponentów – mają też lokalne zacienienia mogące powodować czasowe spadki wydajności. Na tym etapie powinno się uwzględnić znajdujące się na dachu elementy, np. kominy, elementy komunikacji dachowej, a także obecność obiektów zacieniających połać, jak drzewa czy budynki w najbliższym sąsiedztwie. W przypadku istotnych zacienień warto rozważyć zastosowanie mikrofalowników. Bardzo istotna jest wydajność modułów fotowoltaicznych, która przekłada się bezpośrednio na ilość energii wygenerowanej przez instalację. Maleje ona wraz z upływem lat użytkowania i zazwyczaj po 25 latach wynosi 82–84 proc. Są jednak również dostępne moduły o lepszych parametrach – po 25 latach działania ich wydajność nie powinna spaść poniżej 90–92 proc. Warto wybierać właśnie takie produkty.

Pamiętajmy również, że panele wpływają na estetykę dachu. Tradycyjne systemy wyraźnie odcinają się wizualnie od połaci. Nie wpływa to na wydajność fotowoltaiki, ale z pewnością pogarsza estetykę budynku. Tego problemu unikniemy, jeśli zdecydujemy się na fotowoltaikę zintegrowaną z dachem. Wówczas panele tworzą jednolitą powierzchnię z dachówkami cementowymi czy ceramicznymi. Pełna integracja jest możliwa dzięki specjalnej podkonstrukcji paneli. W miejscach, gdzie się znajdują, nie ma dachówek, co sprawia, że koszt pokrycia jest niższy, a pod panelami nie zbierają się zanieczyszczenia, np. jesienne liście. Poza tym barwę ogniw fotowoltaicznych można dopasować pod kolor dachówki. Taka integracja ma jeszcze jedną zaletę. Instalacja paneli na wcześniej zbudowanym czy wyremontowanym dachu wiąże się również z ryzykiem uszkodzeń wskutek niefachowego montażu. W przypadku systemów zintegrowanych tego problemu nie ma, gdyż dachówki i fotowoltaikę montuje ta sama certyfikowana ekipa dekarska.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl acfe9a7195

P O Ł Ą C Z

KROPKI

TITANIA®, KODA®, SIMPLA®
mają nową markę

swissporton

Dachówki ceramiczne, znane dotąd jako CREATON,
łączą teraz **szwajcarską jakość, design i trwałość**.

swissporTON.pl

eprasa.pl acfe9a7195

© WIŚNIOWSKI

Ewolucja garażu

Kiedyś oddzielny budynek, dziś integralna część domu, do której wyglądu przywiązujemy coraz większą wagę.

Od 1989 r. polska architektura przeszła ogromne zmiany. Niczym w soczewce skupiły się w niej wszystkie nasze nadzieje, oczekiwania i obawy. Tak jak zmieniały się nasze domy, tak i ewoluowały garaże. Na ich przykładzie można prześledzić dynamiczny, ale i burzliwy rozwój Polski ostatnich ponad 35 lat.

Lata 90. to zachłyśnięcie się wolnością i plan szybkiego dogonienia Zachodu. Po długim okresie szarego i smutnego komunizmu Polacy musieli odreagować – świadectwem tego czasu są krzykliwe kolory i formy, najpierw uznawane za odważne, a potem często za kiczowate. W budownictwie jednorodzinnym pojawiła się moda na domy w stylu dworkowym – elementami ich fasad stały się kolumny, tralki czy gipsowe figury. Garaże pozostawały najczęściej osobnymi budynkami zlokalizowanymi obok domu. Nie komponowały się z jego bryłą, nie zwracano większej uwagi na ich estetykę. Dominowały proste bramy uchylne, zazwyczaj na jedno miejsce postojowe. Wówczas pojawiły się u nas pierwsze automatyczne bramy zdalnie sterowane.

Początek XXI w. przyniósł dynamiczny rozwój, zwłaszcza za sprawą wejścia Polski do Unii Europejskiej. Zaczęły się pojawiać odważne i ambitne projekty domów jednorodzinnych. Popularne stały się budynki parterowe z poddaszem użytkowym i garażem wkomponowanym już w bryłę. I to właśnie garaż przeszedł wtedy ogromne zmiany – przestał być wolnostojącą konstrukcją, stał się integralną częścią domu. Zyskał na znaczeniu także dlatego, że coraz więcej gospodarstw domowych miało już nie jeden, a dwa samochody. Pojawiła się zatem potrzeba bram dwustanowiskowych. Na tym nie koniec rewolucyjnych zmian – w pierwszej dekadzie obecnego stulecia zaczęły się upowszechniać bramy segmentowe. Zyskały szybko na popularności dzięki swoim atutom. Okazały się cieplejsze, szczelniejsze i bardziej komfortowe w użytkowaniu.

W latach 2010–20, czyli w trzeciej dekadzie transformacji, nadszedł czas na dialog architektury z historią i kontekstem miejsca, a także na coraz odważniejsze nowoczesne formy. Wpłynęło to również na budowę nowych domów i garaży. Standardem stały się bramy segmentowe o coraz lepszych parametrach energetycznych. Polacy postawili mniej na chęć wyróżniania się, a bardziej na stonowaną estetykę. Świadczy o tym projektowanie uwzględniające spójne kolory i faktury bramy garażowej, stolarki okiennej i ogrodzenia. Szczególnie popularną barwą stał się antracyt RAL 7016, symbol nowoczesności i dobrego smaku. Garaży nie ominęła także rewolucja technologiczna. Do powszechnego użytku weszły rozwiązania smart – od klasycznych pilotów po aplikacje mobilne pozwalające sterować bramą z dowolnego miejsca. W ten sposób garaż stał się integralnym elementem *smart home*, czyli inteligentnego domu.

Obecna dekada przynosi dalszy rozwój technologii domu inteligentnego, ale towarzyszą jej również skutki kryzysu energetycznego. To dlatego nowoczesne rozwiązania muszą być równocześnie energooszczędne. Rosnące wymagania prawne i bardzo niestabilne ceny prądu czy gazu sprawiają, że kluczowym parametrem uwzględnianym przy projektowaniu stała się izolacyjność cieplna. Dotyczy to zarówno budynków, jak i bram garażowych. Standardowymi rozwiązaniami są dziś kurtyny optyczne, fotokomórki czy czujniki przeciążeniowe, a kolejnym etapem rozwoju – synchronizacja z monitoringiem wizyjnym i możliwością podglądu bramy w czasie rzeczywistym z poziomu aplikacji.

Dziś bramy garażowe traktujemy jako istotny element fasady i stawiamy im wysokie wymagania estetyczne. Określenie „brama w elewacji" stało się rynkowym standardem. Wizualnie taka konstrukcja ma się zlewać z wykończeniem budynku (czyli niejako „znikać"), ale jednocześnie musi zachować pełną funkcjonalność. Najbardziej ambitne projekty umożliwiają wykończenie skrzydła ekskluzywnymi materiałami, takimi jak kamień naturalny. Takie realizacje uchodzą wręcz za symbol luksusu – garaż jest tu integralnym elementem estetyki domu.

W ten sposób garaż w ciągu zaledwie 35 lat przeszedł ogromną przemianę. Z wolnostojącego budynku z prostą uchylną bramą i często wątpliwą estetyką stał się integralną częścią domu, a w najbardziej ambitnym wariancie ma wręcz idealnie wkomponowywać się w elewację.

Cezary Kowanda

eprasa.pl acfe9a7195

eprasa.pl acfe9a7195

Do ostatniego zakładnika

Mijają dwa lata od ataku Hamasu na Izrael. Ale po tamtej tragedii, po ponad 66 tys. palestyńskich ofiar, coraz więcej Izraelczyków pyta, jak ma wyglądać zwycięstwo.

AGNIESZKA ZAGNER Z JEROZOLIMY

Pokonanie zaledwie 90 km między Jerozolimą i granicą ze Strefą Gazy zajmuje prawie dwie godziny. Im bliżej, tym więcej żółtych flag, wstążek, instalacji, banerów „Do ostatniego zakładnika", „Dlaczego jeszcze jesteście w Gazie?", „W głowie tylko zakładnicy". W porównaniu z Jerozolimą to inny świat. Z zachodniej części kibucu Kfar Azza można dostrzec zabudowania miasta Gaza, w linii prostej to jakieś 3 km. „Bum", „bum", „bum" – odgłosy dobiegających z tamtej strony eksplozji przeszywają powietrze. To izraelskie wojsko próbuje zdobyć „ostatni bastion Hamasu", co oznacza, że metodycznie wysadza budynek po budynku.

W zeszłym tygodniu żołnierze kończyli opanowywanie całego tzw. korytarza Necarim przecinającego enklawę na dwie części. Izraelski minister obrony Israel Kac przyznał, że to zamknie oblężenie miasta Gaza. A ci, którzy zdecydują się pozostać, to „terroryści lub zwolennicy terrorystów", choć mogą tam być przetrzymywani izraelscy zakładnicy.

eprasa.pl acfe9a7195

Palestyńczycy z miasta Gazy, niektórzy wielokrotnie już „przesiedlani", często nie mają ani siły, ani środków, żeby uciekać dalej. Przewiezienie skromnego dobytku może kosztować nawet kilkaset dolarów. Poza tym nie zachęcają ich do tego urągające przyzwoitości warunki w strefach humanitarnych na południu. Problem polega na tym, że miasto Gaza prawdopodobnie wkrótce przestanie istnieć, jak wcześniej Bajt Hanun czy Rafah.

Zza ogrodzenia kibucu Kfar Azza wojny może nie widać w szczegółach, ale słychać ją i czuć. Kibuc był jednym z 22 miejsc zaatakowanych przez komanda Hamasu i jego pomocników dokładnie dwa lata temu, 7 października 2023 r. Zabito tu wówczas 62 osoby, do niewoli trafiło 19, z których w Gazie wciąż pozostaje sześć, dwie zabili przez pomyłkę izraelscy żołnierze w grudniu 2023 r.

Liran Berman, którego dwaj 26-letni wówczas bracia bliźniacy Ziv i Gali zostali porwani, wzdryga się na odgłosy eksplozji: – *Każdy z tych wybuchów może być niebezpieczny dla moich braci* – przyznaje. – *Czas prowizorycznych umów się skończył, musimy odzyskać wszystkich 48 zakładników.* Ostatnie wiadomości o braciach pochodzą z początku roku, kiedy po 470 dniach niewoli do domu wróciła sąsiadka Ziva Emily Damari. 7 października napastnicy zastrzelili jej psa, a ją samą postrzelili. – *Droga do Gazy zajęła im mniej niż 10 minut, tam moi bracia trafili do szpitala Szifa, gdzie ich rozdzielono i umieszczono w tunelach. Od tamtej pory przerzucano ich z miejsca na miejsce, czasem byli przetrzymywani w budynkach szkół, mieszkaniach* – opowiada Liran.

Od wielu miesięcy nie pracuje, poświęca się sprawie uwolnienia braci. Spotyka się ze światowymi przywódcami, udziela wywiadów w mediach. Tak wygląda codzienność niemal każdej rodziny czekającej na powrót bliskich z Gazy.

Plan Trumpa

Uwolnienie wszystkich 48 zakładników przewiduje przedstawiony niedawno 21-punktowy plan prezydenta USA Donalda Trumpa. Miałoby to nastąpić w ciągu 72 godzin od zawarcia porozumienia Izraela z Hamasem. Wtedy też, zgodnie z planem, wojna zakończy się „natychmiast", izraelska armia zacznie się stopniowo wycofywać, a kontrolę nad Strefą Gazy przejmie międzynarodowa Rada Pokoju.

Plan Trumpa w pierwotnej formie jest na tyle niejednoznaczny, że każda ze stron może pozornie go zaakceptować, a następnie sabotować w czasie dalszych negocjacji, obwiniając drugą stronę za jego niepowodzenie. – *Odrzucając plan, Hamas naraziłby się Palestyńczykom, którzy obwiniają go o sprowadzenie katastrofy na ich głowę, a także sojusznikom, jak Katar czy Turcja, którzy poparli to porozumienie* – uważa Matti Steinberg, były doradca szefa izraelskiej agencji bezpieczeństwa wewnętrznego Szin Bet.

Husam z Hebronu prowadzi niewielki sklepik z tekstyliami na Starym Mieście. – *Plan mocno faworyzuje Izrael, praktycznie nie zapewniając żadnej ochrony Palestyńczykom, nie dając im żadnej nadziei na przyszłość* – uważa. Sam ma liczną rodzinę w Gazie, ale nigdy tam nie był. – *To Izrael rozdaje wszystkie karty w tej grze, Palestyńczycy są tylko pionkami.*

Dla radykalnych koalicjantów Netanjahu „ustępstwa" zawarte w planie Trumpa dotychczas nie wchodziły w grę. – *Nie możemy się zgodzić na żądania Hamasu i uwolnienie zakładników za każdą cenę. Jeśli teraz zakończymy wojnę, oni się przeorganizują i zrobią dokładnie to samo: wezmą kolejnych zakładników, zaczną odpalać rakiety* – uważa Joram Tedeski, który stoi przy placu Paryskim w Jerozolimie, trzymając ogromny baner przeciwko porozumieniu z Hamasem.

Kilkanaście metrów dalej, jak w każdy sobotni wieczór, z własnym protestem wyszli zwolennicy szybkiego zakończenia wojny: – *Netanjahu jest tchórzem, który dla własnych korzyści wyrzekł się zakładników. Zamiast dbać o interes kraju, dba jedynie o swój własny. Wojna powinna się zakończyć jak najszybciej i wszyscy zakładnicy powinni wrócić do domu* – uważa Szaj Badiczi, jeden z uczestników tego protestu.

Dla części Izraelczyków uwolnienie palestyńskich więźniów skazanych za najgorsze zbrodnie nie wchodzi w grę. Z prostego powodu – w 2011 r. w zamian za izraelskiego żołnierza Gilada Szalita ówczesny rząd Netanjahu wypuścił na wolność ponad tysiąc więźniów, w tym Jahiję Sinwara, głównego architekta zamachu 7 października, w którym zginęło 1,2 tys. osób w Izraelu, a do niewoli wzięto 251 zakładników.

Jeśli Hamas odrzuci plan, Izrael dostanie wolną rękę w Gazie – to obiecał Trump. Netanjahu osiągnąłby wszystko, na czym naprawdę mu zależy – kontynuacja wojny oznacza spokój w koalicji i odsunięcie groźby przedterminowych wyborów parlamentarnych, które mogłyby pozbawić go władzy. A wina za brak powrotu zakładników spadłaby na Hamas. Nawet zapewnienie Trumpa, że nie pozwoli Izraelowi na aneksję Zachodniego Brzegu Jordanu w reakcji na uznanie Palestyny przez szereg państw zachodnich, też jest po myśli Netanjahu. Bo to głównie cios dla koalicjantów premiera, których bazą wyborczą są żydowscy osadnicy. Netanjahu jest od nich politycznie uzależniony, w przeszłości wielokrotnie sprzeciwiali się jakiemukolwiek porozumieniu z Hamasem, uważając, że celem powinno być jedynie jego „całkowite pokonanie".

Wydaje się więc, że przynajmniej na razie Netanjahu może odetchnąć z ulgą. Zwłaszcza że w ostatnim czasie nie wszystko szło po jego myśli. Wprawdzie czerwcowa kampania i uderzenie na instalacje nuklearne w Iranie poprawiły nieco jego notowania, ale już zbombardowanie budynku w Katarze, gdzie zebrał się zespół negocjacyjny Hamasu, okazało się porażką – nie udało się zabić najważniejszych oficjeli tej organizacji. W dodatku Netanjahu naraził się Katarczykom, których musiał telefonicznie przepraszać, do czego go skłonił (przymusił?) prezydent Trump w Gabinecie Owalnym.

Obok rocznicy

– *Ta wojna z militarnego punktu widzenia nie ma już większego sensu. Absolutnie uzasadnione są obawy szefa sztabu, że ofensywa w mieście Gaza może narazić na niebezpieczeństwo zakładników* – uważa jeden z izraelskich generałów rezerwy. Zarówno on, jak i tysiące ludzi co sobotę wychodzących na ulice Tel Awiwu czy Jerozolimy uważają, że już dawno można było zawrzeć porozumienie. – *Bibi walczy o polityczne przetrwanie, żongluje życiem zakładników, bo nad głową wiszą mu procesy korupcyjne* – uważa Michal z Modiin, która wraz z dorosłym synem i mężem przyjechała na protest do Jerozolimy pod kancelarią premiera. To odczucie podziela większość Izraelczyków, którzy uważają, że rząd nie robi dostatecznie wiele, by uwolnić zakładników.

W Izraelu widać też zmęczenie wojną. Owszem, sporo osób wciąż nosi żółte wstążeczki, symbol solidarności z zakładnikami. Na sklepowych witrynach wiszą żółte tablice z hasłem „Bring Them Home". Jednak Izrael wraca powoli do normalnego trybu. W piątkowy wieczór trudno o stolik w Monie, jednej ▶

© CHRIS MCGRATH/GETTY IMAGES

eprasa.pl acfe9a7195

▶ z najbardziej ekskluzywnych i modnych jerozolimskich restauracji, kilkaset metrów od rezydencji premiera.

W tym roku 7 października przypada na początek Święta Szałasów, więc tego dnia w zasadzie nie mogą się odbywać żadne publiczne uroczystości – przesunięto je na kolejny dzień. Państwowe obchody zaplanowano według kalendarza żydowskiego dopiero na połowę października, czyli na okolice święta Simchat Tora, bo w tym czasie dwa lata temu zaatakował Hamas.

Tym samym rocznica mija w pewnym sensie „obok". – *Netanjahu doskonale adaptuje się do warunków. Przytłaczająca większość Izraelczyków uważa, że to on odpowiada za porażkę 7 października, ale od dwóch lat nie spadł mu włos z głowy. Skutecznie za to zrzucił winę na innych, pozbywając się byłego ministra obrony Joawa Galanta, szefa sztabu i szefa Szin Bet* – dodaje cytowany już wojskowy.

Izraelczycy mają jednak już dość tej wojny – wiele ich też kosztuje finansowo. Całkowite wydatki na wojnę liczone od 2023 r. wkrótce przekroczą 55 mld dol., co odbija się na gospodarce i jakości życia obywateli. Zniknięcie z rynku pracy setek tysięcy rezerwistów odczuło wiele sektorów, a blokada pozwoleń na pracę dla Palestyńczyków uderzyła w przemysł budowlany i rolnictwo. Brak rąk do pracy Izrael próbuje łatać, sprowadzając robotników z Indii czy Sri Lanki. Wszyscy jednak przyznają, że nie udało się odtworzyć stanu sprzed wojny.

Widać to także we wskaźnikach. Wprawdzie gospodarka wciąż jest na plusie, w tym roku może nawet osiągnąć 3,5-procentowy wzrost, ale to wciąż o wiele mniej niż w roku poprzedzającym wybuch wojny (6,5 proc.). Tylko w 2024 r. z rynku zniknęło 46 tys. firm i drobnych biznesów, co odbija się na życiu wielu rodzin. Nastroje nieco poprawia sytuacja na giełdzie: izraelskie koncerny polepszają swoje notowania, a główny indeks systematycznie rośnie. Także izraelska waluta coraz bardziej się umacnia.

Koszty wojny

Wojna wyrządziła jednak realne szkody w wizerunku Izraela i Izraelczyków za granicą. Symboliczny stał się fakt, że ostatnio Netanjahu w drodze do USA wybrał trasę o 600 km dłuższą, by uniknąć przelotu nad terytorium państw europejskich i nie narazić się na ewentualne aresztowanie zgodne z nakazem Międzynarodowego Trybunału Karnego. Również zwykli Izraelczycy z coraz większą obawą myślą o podróżach do Europy. – *Na porządku dziennym są ataki antyizraelskie i antysemickie, wiele państw coraz głośniej mówi o nałożeniu sankcji i wiz dla nas* – przyznaje Itaj, czterdziestoparolatek z Bet Szemesz w centralnym Izraelu.

Do tego dochodzą próby bojkotu Izraela na rozmaitych imprezach kulturalnych czy sportowych, z Eurowizją włącznie. – *Wciąż jesteśmy w żałobie, opłakując swoich bliskich, ale to Izrael musi się tłumaczyć, dlaczego ma prawo do obrony* – mówi Sigal Manzuri, matka 25-letniej Norell i 22-letniej Roji, które 7 października zginęły w schronie niedaleko miejsca, gdzie odbywał się festiwal Nova. Palestyńscy zamachowcy zabili tam prawie 400 osób, a 40 uprowadzili do niewoli.

Koszty tej wojny codziennie odczuwają również żołnierze i dziesiątki tysięcy rezerwistów. Na początku września nakazano im stawić się w jednostkach z związku z planowaną ofensywą na miasto Gaza. Wprawdzie wojsko nie podaje oficjalnych statystyk, ale izraelskie media rozpisują się o coraz częstszych odmowach służby i brakach w oddziałach, co zmusza dowódców do niekonwencjonalnych rozwiązań. Na przykład szukania medyków czy snajperów przez konta na WhatsAppie. Oddzielnym problemem jest 80 tys. ultraortodoksów w wieku 18–24 lat, kwalifikujących się do służby wojskowej, którzy nie zgłosili się do jednostek.

– *Dla mnie to oczywiste, że muszę tam być, tylko w ten sposób mogę bronić Izraela i Izraelczyków* – mówi J., jeden z żołnierzy służących obecnie w Strefie Gazy. Ostatnio wśród znajomych chwalił się zdjęciem przedstawiającym wysadzanie jednego z tuneli w Gazie z podpisem: „Jestem dumny, że mogę brać udział w czymś tak znaczącym". Przybywa jednak przypadków odmowy wykonania rozkazów. Ostatnio czterech żołnierzy Brygady Nahal miało odmówić przejazdu w ciągu dnia niebezpieczną trasą w nieopancerzonym pojeździe.

Coraz więcej żołnierzy zmaga się też z osobistymi kosztami tej wojny – z 20 tys. rannych aż co trzeci cierpi na zespół stresu pourazowego, co najmniej 50 popełniło samobójstwo. Kilka tygodni temu weterani wojenni rozsypali antydepresanty na posiedzeniu jednej z komisji w Knesecie, próbując zwrócić uwagę na to, że państwo w niedostateczny sposób pomaga im wyjść z kryzysu psychicznego wywołanego udziałem w wojnie.

Jak z Orwella

Bez względu na przyszłość planu Trumpa Netanjahu jest gotów kontynuować wojnę w Strefie Gazy, nie oglądając się na koszty, a nawet ocierając o śmieszność. Jego ostatnie przemówienie przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ było transmitowane przez głośniki rozstawione przez wojsko wzdłuż granicy z Gazą, armia miała też w tym celu zhakować telefony Palestyńczyków. O ile jakoś uzasadnione było zwrócenie się po hebrajsku do zakładników z zapewnieniem, że Izrael ich nie opuści, o tyle dość osobliwym pomysłem jest przemawianie do Palestyńczyków w Gazie po angielsku, gdyż większość z nich nie zna tego języka. – *To trochę jak z Orwella* – uważa Michal z Modiin.

Uwadze izraelskich mediów nie uszło nawet, że lecąc do USA, premier Netanjahu i jego żona Sara mieli na sobie ubrania w kolorach palestyńskiej flagi. Zostało to odebrane jak stylistyczna wpadka i natychmiast wyśmiane w mediach społecznościowych. „Czy Netanjahu to teraz Hamas?" – pytał jeden z internautów. Internetowy humor umiera ostatni.

AGNIESZKA ZAGNER

W ramach Igrzysk Wolności odbywających się 24–26 października w Łodzi zapraszamy na poświęcony przyszłości Bliskiego Wschodu panel Pax Hebraica, w którym udział wezmą nasi autorzy: Agnieszka Zagner, Agnieszka Bryc i Mariusz Zawadzki. Dyskusję poprowadzi Łukasz Wójcik, kierownik działu zagranicznego POLITYKI.
Dla pierwszych 100 czytelników mamy specjalny kod rabatowy umożliwiający 40 proc. zniżki przy zakupie karnetu na wszystkie wydarzenia Igrzysk Wolności.
Aby skorzystać ze zniżki, należy:
- Wejść na stronę: **igrzyskawolnosci.pl**
- Wybrać opcję: Last call – Trzydniowy karnet
- W wyznaczonym polu wpisać kod rabatowy: **40POLITYKA_IW**

eprasa.pl acfe9a7195

To idzie przyszłość

W Rosji znów pojawiła się ultraprawica. Ale nie działa już w kontrze wobec systemu, tylko razem z nim. Jej działacze trenują, kibicują, ganiają obcych, rozwijają się kulturalnie – i czekają na powrót weteranów.

Członkowie Północnego Człowieka idą w procesji w Sankt Petersburgu

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

Na sali czuć potem i drewnianą podłogą. Mężczyźni w ciemnych dresach, z patriotycznymi tatuażami, przerzucają ciężary. Kobiety ćwiczą z taśmami. W kącie grupa nastolatków pod okiem weterana uczy się opatrywać rany. To cotygodniowy trening Północnego Człowieka. Może to być Jekaterynburg, Nowosybirsk, Bałaszycha. A po zajęciach – dyskusja o literaturze...

Rosyjska scena nacjonalistyczna, zdziesiątkowana przed laty jako niebezpieczna dla władzy, przeżywa renesans. W 2020 r. powstały Rosyjska Wspólnota (Russkaja Obszczina) i Społeczność. Przyszłość (Obszczestwo. Buduszczeje). Pierwsza organizacja działa jak nieformalna policja, słynie z rajdów wymierzonych w migrantów i mniejszości oraz z bezpośrednich akcji „porządkowych".

Druga to ruch kanapowy i dość egzotyczny, nacjonalno-demokratyczny. Skupia się na debatach, promocji rosyjskiej kultury i legitymizacji istniejącego systemu. W praktyce obie organizacje często się uzupełniają – jedna daje pół miliona obserwatorów w sieciach społecznościowych i kilkadziesiąt tysięcy pięści, druga przekuwa to w „szacowne" oblicze nacjonalizmu.

W 2022 r. pojawiła się kolejna, dziś już najważniejsza organizacja tego nurtu, Północny Człowiek (Siewiernyj Czełowiek). Oferuje nowoczesny branding, promuje aktywny styl życia, ale też – jeśli potrzeba – jej członkowie wyremontują korytarz w szkole, zaniosą ubrania do domu dziecka, zorganizują rodzinne pikniki i – uwaga! – „pojedynki poetyckie". Szacuje się, że Północny Człowiek ma już w Rosji 200 tys. członków.

Razem z systemem

Wiera Ałperowicz, ekspertka Sowy, moskiewskiej instytucji badającej ruchy nacjonalistyczne, podkreśla, że ultraprawica odrodziła się w Rosji w całym bogactwie form, ale ze zmienionym wektorem. – *W przeszłości podstawę ultraprawicowego ruchu stanowiły organizacje walczące* ▶

© ANDREI BOK/SOPA IMAGES/SHUTTERSTOCK

eprasa.pl acfe9a7195

▶ *z systemem, a nie współpracujące z nim, tak jak teraz* – zwraca uwagę badaczka. – *Ale to mówi więcej o samym reżimie politycznym niż o nacjonalistach.*

Pytamy o różnice między oboma ruchami, bo np. Społeczność. Przyszłość nie ma dużego przełożenia na społeczeństwo. – *Robią mniej więcej to samo, rozkręcają projekty, inwestują w drużyny, prowadzą treningi, zloty, spotkania, wypady i tak dalej* – mówi Ałperowicz. – *Różnica między nimi jest w określonej stylistyce i w tym, że Rosyjska Wspólnota bardziej orientuje się na starszą publiczność, a Północny Człowiek raczej na młodzież.*

Badaczka dodaje, że wszystkie te struktury czasem ze sobą współdziałają. Nie wchodzą sobie w drogę, wręcz przeciwnie – dość regularnie przeprowadzają wspólne rajdy z policją, m.in. na migrantów. – *Wszystko to było i wcześniej, tylko w zupełnie innej skali i bez policji* – mówi Ałperowicz.

Dla przykładu: ubiegłoroczny rajd na podmoskiewskim Odincowie. Rzekomo pojawia się tam „podejrzany osobnik niekorzennej (nierosyjskiej – przyp. red.) narodowości" i nagrywa dzieci na placach zabaw. Członkowie miejscowego oddziału Północnego Człowieka natychmiast organizują się i łapią „sprawcę", a następnie wspólnie z policją przeprowadzają rewizje wśród okolicznych migrantów.

Nagrania z akcji krążą potem w mediach społecznościowych, budując legendę ruchu. Pod wideo z Odincowa burza komentarzy. Wyraźna większość użytkowników chwali aktywistów, którzy „oczyszczają ojczyznę z padliny". Tylko nieliczni kwestionują legalność patroli i pytają, dlaczego ukrywają twarze, skoro przejmują prerogatywy państwa.

Na meczu kiły

„We Władywostoku odbyło się duże spotkanie Północnego Człowieka Primorie – pisze na Telegramie Misza Mawaszi, założyciel organizacji. – Zjechało niemało kierowników z różnych regionów Rosji. Władywostok jest cudowny!". Przy okazji Mawaszi opisuje rozwój ruchu: „Wyrośliśmy do poziomu konstruktywnej i opartej na zaufaniu współpracy z siłami bezpieczeństwa. To dialog oparty na wzajemnym szacunku i wspólnym celu – umacnianiu społeczeństwa".

Wymienia też kluczowe projekty: Siewieranoczki (Północnianki) – to dla dziewczyn. Siewiernaja Trybuna (Północna Trybuna) – platforma dla aktywnych i sportowych chłopaków. Siewiernaja Siemia (Północna Rodzina) – projekt rodzinnego lokalnego wypoczynku. I dalej: „Zaczęliśmy pracę nad własną aplikacją Północny Człowiek. To będzie wygodna platforma do konsolidacji, komunikacji i organizacji spotkań z ważną funkcją – przyciskiem SOS".

Na koniec wspomina o tradycyjnych rosyjskich grach: „Osobny powód do dumy – we Władywostoku otwarto kierunek sportowy, gdzie (...) uczą gry w kiłę – starożytną rosyjską grę zespołową".

Kiła korzeniami sięga średniowiecznej Republiki Nowogrodzkiej; tylko w polszczyźnie słowo to oznacza chorobę. A chodzi o połączenie futbolu, rugby i zapasów, gra się zarówno rękami, jak i nogami, a celem jest przeniesienie spłaszczonej piłki za linię końcową przeciwnika. Gra zawiera elementy siłowe, dozwolone są chwyty i niskie rzuty, zabronione – podcięcia i ciosy.

Mawaszi, promując kiłę, odwołuje się do etosu wojownika i tradycji słowiańskiej, co idealnie wpisuje się w ideologię ruchu i jednocześnie przyciąga kolejnych chętnych.

Na polu rekrutacji różnicę między ruchami dostrzega anonimowy aktywista cytowany przez działający w Rydze rosyjski portal Meduza: „Północny Człowiek to często środowiska okołokibolskie, wysportowani, dobrze ubrani. Z kolei Rosyjska Wspólnota jest raczej dla skufów", a więc mężczyzn po 35. roku życia, którzy wyglądają na zaniedbanych, mało zarabiają i wolny czas spędzają przed telewizorem z piwem.

Jak relacjonuje białoruska „Nasza Niwa", Mawaszi otwarcie deklaruje: „Przeciwko (państwowej) maszynie iść nie ma sensu". Ma świadomość, że oponentów „głównie się zamyka". Jednocześnie buduje sieć jawnie wspieraną przez lokalne władze, jak w Wołogdzie, gdzie gubernator Gieorgij Filimonow, prywatnie dobry znajomy córki Władimira Putina, miłośnik chińskich sztuk walki i rodzimowierca, sam promuje inicjatywy ruchu.

Jeden z aktywistów cytowanych przez Meduzę tłumaczy: „Rosyjska Wspólnota zaczęła sprawiać kłopoty, pojawiły się problemy z władzami. Północny Człowiek jest bardziej koniunkturalny: sport, trzeźwość, wartości rodzinne". Dlatego – jak zauważa – „gubernator lub mer może wziąć (regionalny oddział) pod skrzydło w temacie patriotycznym – i nikt nie zadaje pytań. Przynajmniej na razie".

Z półobrotu

Wspomniany Mawaszi, lat 40, jest założycielem i liderem ruchu. W przeszłości był raperem, który w tekstach promował zdrowy tryb życia. Po okresie osobistego kryzysu i problemów z narkotykami założył zespół Mawaszi Group. Dla niego punktem zwrotnym była rosyjska inwazja na Ukrainę w 2022 r.

Ta przemiana Mawasziego jest zresztą symptomatyczna. W utworze „4 uncje" (2021 r.) śpiewał jeszcze: „Wszyscy jesteśmy ludźmi". A już rok później w kawałku „Russkij stiag" („Rosyjski proporzec"): „Rosyjski charakter, rosyjski hardcore/ To nie chrupanie francuskiej bułki./ Kaukaziec zrozumie, nie zrozumie czurka". Ten pierwszy to według jeszcze sowieckiej nacjonalistycznej nomenklatury chacz, ochrzczony, np. Ormianin. Czurka zaś to „tępy i niewykształcony członek mniejszości narodowych", nie-Rosjanin.

To ważne, bo odsłania paradoks założyciela Północnego Człowieka. Mawaszi to pseudonim i pochodzi od japońskiego „cios z półobrotu" (*mawashi geri*), co jest hołdem dla jego fascynacji sztukami walki. Jednak nie zawsze tak było. Mawaszi urodził się jako Michaił Fiodorowicz Nic w kazachskim mieście Kustanaj. Po szkole średniej wyjechał do Czelabińska, gdzie skończył studia prawnicze. Ponadto, jak donoszą media, rodzina Niców ma korzenie żydowskie.

Na tym przykładzie Ałperowicz zwraca uwagę na nowy rosyjski szowinizm, który nie jest czysto etniczny – raczej cywilizacyjny i imperialny. Nieważne, jakie masz pochodzenie, ważne, czy identyfikujesz się z projektem ruskiego miru. W tym świetle postać lidera o żydowskich korzeniach głoszącego słowiańską chwałę nie jest sprzecznością, ale znakiem czasu.

Mawaszi współgra z inną barwną postacią rosyjskiego nacjonalistycznego undergroundu początków XXI w. – Maksimem „Tesakiem" Marcinkiewiczem, który miał polskie korzenie. Tesak zasłynął m.in. z akcji „Okupaj Pedofilaj", w ramach których doprowadzał do wyreżyserowanego spotkania faktycznego pedofila z dzieckiem-wabikiem, a potem nagrywał, jak dewiant zostaje zdekonspirowany i upokorzony.

Czy mamy więc do czynienia z historyczną kontynuacją? – *Związki na poziomie aktywistów na pewno są. Formalnie Północny Człowiek odżegnuje się od rosyjskiej ultraprawicy z przeszłości.*

eprasa.pl acfe9a7195

Ale zaprasza do siebie ludzi o ultraprawicowych poglądach, choćby i byłego zwolennika Tesaka, jeśli ten od neonazizmu się odżegna – ocenia Ałperowicz. – *Ludzie z Północnego Człowieka oczywiście podkreślają, że nie są nacjonalistami. W ogóle, że im się nie podoba to słowo. Że nacjonaliści, faszyści to np. Polacy i Ukraińcy. A oni są po prostu rosyjskimi patriotami.*

Trzy filary

Północny Człowiek promuje system wychowawczy oparty na trzech filarach: sporcie, pracy kulturalnej i przygotowaniu militarnym. Sam Mawaszi podkreśla znaczenie treningu, czyli pierwszego filaru: „Trenujemy z rodzinami, to ważne. Chłopcy trenują z mężczyznami, dziewczyny trenują z kobietami w jednej sali. (...) Mężczyźni powinni uprawiać sporty kontaktowe i być w formie". Ten model – boks, zapasy, MMA – ma budować „męską wspólnotę".

Drugi filar, „praca kulturalna", ma kształtować świadomość. Cotygodniowe spotkania „klubów literackich" służą omawianiu książek, zajmowaniu się muzyką i organizowaniu wykładów „profesorów" o podobnych poglądach. Co kwartał oddział musi zorganizować oficjalne wydarzenie, uzgodnione z lokalną administracją.

Trzeci filar już bezpośrednio łączy ruch z wojną. Oddziały organizują treningi początkowego przygotowania wojskowego (strzelanie) i szkolenia z medycyny pola walki. Jak to ujął jeden z aktywistów: „My sami uprawiamy sport, budujemy boiska, organizujemy imprezy. (...) No i wspieramy chłopaków na SWO (to skrót określający rosyjską agresję na Ukrainę)".

W ramach tych filarów propagowane są treści, które bezpośrednio lub pośrednio odnoszą się do walki z migracją. Migranci są demonizowani jako „żerujący na rosyjskim socjalu" i odpowiedzialni za przestępczość. Ałperowicz: – *Aktywiści nie ograniczają się już do roli obserwatorów-krytyków, sami zaczęli tworzyć kanały informacyjne. Włączają się w walkę w imieniu miejscowych: robią reportaże z miejsc zdarzeń, angażują policję do karania przyjezdnych, opłacają prawników.*

Od innych grup ultraprawicowych Północnego Człowieka wyróżnia świadome dystansowanie się od prawosławnego klerykalizmu. Bywa to zaletą, bo dzięki temu ruch przyciąga przedstawicieli szerokiego przekroju społecznego: młodych mężczyzn ze środowisk kibicowskich, weteranów szukających miejsca po powrocie z frontu oraz drobnych przedsiębiorców z branży ochroniarskiej czy fitness. – *Ale kluczowa jest infiltracja kibiców, którym Północny Człowiek oferuje strukturę i cel wykraczający poza świąteczno-klubowe chuligaństwo* – mówi anonimowy komentator.

Nowa Rosja

A wszystko to pod patronatem władz. Gubernatorzy współpracują z ruchem, dają granty, darmowe pomieszczenia, a jego liderzy bywają zapraszani na oficjalne uroczystości. Ta symbioza jest na rękę obu stronom. Powstaje nowy model, w którym państwo świadomie oddaje część funkcji porządkowych i ideologicznych w ręce zradykalizowanej, ale lojalnej grupy. I to jeszcze nie koniec.

Co jakiś czas media obiegają doniesienia tłumaczące mechanizm działania Putina. Niedawno modne było przekonywanie, że Kreml nie zakończy konfliktu, bo obawia się powrotu weteranów z ukraińskiego frontu do kraju. Jak się zdaje, głoszący to analitycy nie uwzględniali właśnie Północnego Człowieka i Rosyjskiej Wspólnoty, bo te organizacje ewidentnie są szykowane do przyjęcia dziesiątek, jak nie setek tysięcy weteranów.

W rezultacie, jeśli Rosja wygra w Ukrainie, ruch może się stać odpowiednikiem irańskich Basidżów lub tureckich Szarych Wilków – zhierarchizowaną milicją społeczną. Wzmocniony jeszcze o zdemobilizowanych żołnierzy, zabetonuje mury Kremla. Jeśli Rosja przegra, może zostać wykorzystany jako wewnętrzny straszak. A jeśli do gry wejdą np. Chińczycy, może się okazać narzędziem do „ochrony rosyjskiej etniczności". Może też zostać zmarginalizowany – Kreml robił to już wielokrotnie.

Podsumowując: Północny Człowiek oraz policyjna Rosyjska Wspólnota to nie ideologiczna rewolucja, lecz pragmatyczna adaptacja do autorytaryzmu. Czy to zagrożenie dla Putina? Nowi nacjonaliści nie kwestionują jego władzy. Jak stwierdza jeden z komentatorów pod postem Mawasziego, Północny Człowiek to „drużyna Putina na poziomie miejskim". A jeden z rosyjskich spin doktorów dorzuca, że to już nie jest nacjonalizm – to po prostu nowy model rosyjskiego państwa.

MARTA PANAS-GOWORSKA
ANDRZEJ GOWORSKI

REKLAMA

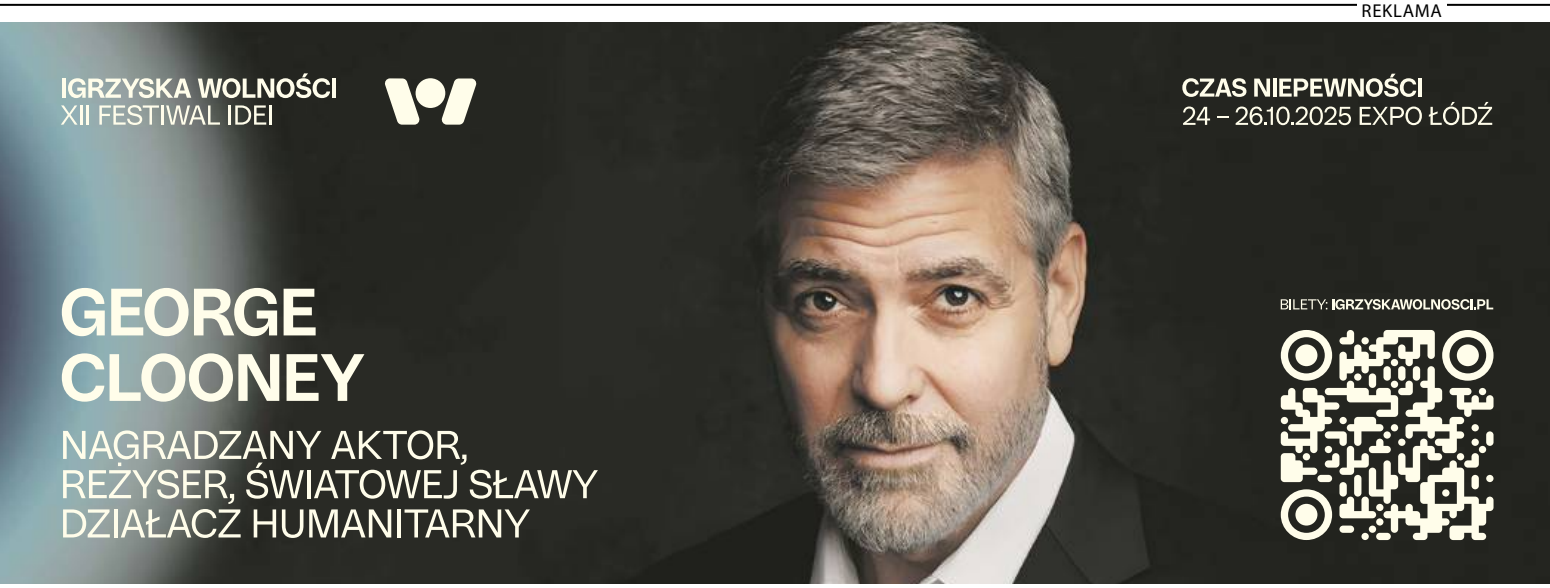

ORGANIZATOR
LIBERTÉ!
PARTNERZY STRATEGICZNI
STRATEGICZNI PATRONI MEDIALNI
AGORA
TVP info
PARTNER PREMIUM PLUS

eprasa.pl acfe9a7195

Na wielu polach

JĘDRZEJ WINIECKI

Jeśli chcesz dłużej utrzymać uwagę prezydenta USA, zagraj z nim w golfa. To nowa fundamentalna zasada polityki międzynarodowej w czasach Donalda Trumpa.

Europa zdobyła właśnie Puchar Rydera. Pod koniec września wygrała odbywający się co dwa lata golfowy mecz ze Stanami Zjednoczonymi. „Oglądasz, Donaldzie Trumpie?" – śpiewali z niekrytą satysfakcją europejscy zawodnicy. „Tak, oglądam. Gratulacje!" – odpisał w serwisie społecznościowym prezydent USA.

Trump rzeczywiście na chwilę zajrzał na rozgrywane pod Nowym Jorkiem zawody, gdzie wrogo nastawiona publiczność buczeniem i obelgami starała się zastraszyć Europejczyków. W pewnym momencie do wyśmiewania Irlandczyka Rory'ego McIlroya dołączyła nawet konferansjerka prowadząca mecz. Zawodnik nie pozostał dłużny, zwrócił się do trybun, by się „zamknęły", co poparł soczystym przekleństwem.

„To był najbardziej brutalny mecz Pucharu Rydera od prawie stu lat" – zawyrokowała brytyjska telewizja Sky News. Obniżony poziom kibicowania, obcy golfowi, komentatorzy powiązali z grubiaństwem politycznego sporu w Ameryce i z polityczną wagą tej ulubionej dyscypliny Donalda Trumpa.

„Czy Trump grał dziś w golfa?" – pyta regularnie pewna strona internetowa i publikuje licznik. Do końca września na 250 dni drugiej kadencji prezydent był na polu 61 razy. Amerykańscy podatnicy zapłacili za to 85,4 mln dol. Tyle mają kosztować m.in. przeloty prezydenckiego orszaku. Na każdy wyjazd do florydzkiej rezydencji Trumpa Mar-a-Lago idzie przynajmniej milion dolarów. Do tego dochodzi m.in. wynajem wózków golfowych dla agentów ochrony i przeznaczonych dla nich przenośnych toalet.

Podczas ostatniej wizyty w Białym Domu Wołodymyr Zełenski sprezentował prezydentowi USA kij należący do weterana, który na wojnie z Rosją stracił nogę. „Wiem dużo o golfie" – zaczął podziękowania Trump. Po czym obiecał, że ilekroć będzie grał, pomyśli o Ukraińcu. Kilka dni później do Białego Domu zawitał prezydent Korei Płd. Lee Jae-myung. Zasugerował, by Trump zaprosił na dyplomatyczną partyjkę i jego, i Kim Dzong Una, satrapę z Korei Płn. W maju prezydent Cyril Ramaphosa przywiózł do Waszyngtonu album o golfie południowoafrykańskim, w skład jego delegacji weszli też czołowi zawodnicy kraju.

Inni przywódcy z zazdrością patrzą na Alexandra Stubba z Finlandii, który pielęgnuje zażyłość z Trumpem właśnie podczas gry w golfa. Stubb chciał kiedyś grać zawodowo, należał do młodzieżowej reprezentacji, dzięki golfowi dostał stypendium na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Potem był m.in. wziętym publicystą, szefem MSZ i premierem. Doświadczenia z wszystkich tych pól zaowocowały m.in. tym, że w sierpniu znalazł się wśród liderów najważniejszych państw europejskich udzielających w Waszyngtonie wsparcia Zełenskiemu w konfrontacji z Trumpem.

Bo Trump stale przeplata golfa z polityką. Latem otwierał swoje wyremontowane pole w szkockim Balmedie. Zwracano uwagę, że wykorzystanie prezydenckiej podróży do prywatnych celów rozmywa granicę między polityką i pilnowaniem rodzinnego biznesu. Świta prezydenta objaśniała, że nie ma mowy o jakimkolwiek konflikcie interesów. Pola ich szefa są najwyższej klasy, odbywają się na nich prestiżowe turnieje, a prezydent USA przy okazji spotyka się z brytyjskim premierem.

Trump ma w USA 11 pól golfowych, w Wielkiej Brytanii – dwa, kilka kolejnych dzierżawi. Przymierza się do uruchomienia przybytków w Katarze, Omanie, Wietnamie i Indonezji. Nie zawsze są to dochodowe przedsięwzięcia. W 2023 r.

Balmedie było milion funtów pod kreską, stratę przyniosło 11. rok z rzędu. W dodatku akurat szkockie pola poważnie ingerują w środowisko, ich rozbudowa niszczy wydmy. Ale Trump lubi tamtejszą okolicę i narzeka, że pobliskie wiatraki – obce mu ideologicznie – zapaskudziły widok.

Golf – jak po części Trump – ma szkockie korzenie. A to nie koniec podobieństw: choć sport ten szybko się demokratyzuje, to nadal uchodzi za rozrywkę elit. Jest drogi (gra na jednym z amerykańskich pól Trumpa kosztuje 1,3 tys. dol. za dzień) i pozostaje wyznacznikiem statusu czy aspiracji. Cieszy się popularnością w Europie Zachodniej, USA, szaleją za nim w Korei Płd. i Japonii. Także odwiedzanie pól w różnych częściach świata stało się ważną częścią globalnej branży turystycznej.

Jak tłumaczy Ahmad Alnajadah, ekonomista z Northeastern University, nie ma paradoksu w tym, że zapracowani liderzy oddają się tak czasochłonnej aktywności. Golf „to jeden z niewielu społecznie akceptowalnych sposobów na uzyskanie czyjejś niepodzielnej uwagi przez wiele godzin". Nadaje się m.in. do uprawiania dyplomacji. Trump kilka razy grał z premierem Japonii Shinzō Abe. Podobnie robili jego poprzednicy, umawiający się z premierami Wielkiej Brytanii: George W. Bush rywalizował z Tonym Blairem, a Bill Clinton z Davidem Cameronem.

Dawniej podobną rolę odgrywały polowania. Były uniwersalnym językiem elit w XIX i XX w., gdy osobiste kontakty między władcami wciąż decydowały o przymierzach. Stąd Hohenzollernowie, Romanowowie, Habsburgowie i Windsorowie spotykali się w pałacach i dworach myśliwskich od Kaukazu, przez Alpy i m.in. leżącą obecnie częściowo w Polsce Puszczę Romincką, po wrzosowiska Szkocji. Strzelanie z jedno- i dwururek towarzyszyło kongresom w Wiedniu w 1815 r. i w Berlinie 1878 r. Z czasem łowieckie ceremonie przejęli politycy republikańscy.

Później nauki społeczne dopowiedzą, że popularność wspólnego zabijania zwierząt niesie – czy też może niosła, bo moda ta zdaje się w odwrocie, robiąc miejsce właśnie golfowi – spory ładunek symboliczny. Tamte polowania były wyreżyserowanymi spektaklami i demonstracją zdolności do ujarzmiania natury. A w konsekwencji do realizowania tego, co Michel Foucault nazywał biowładzą: kontrolowania społeczeństw i rozstrzygania, co jest zdrowe, pożyteczne i produktywne, a co chore, szkodliwe i przeznaczone do eliminacji.

Podobne warunki oferuje golf, co tym cenniejsze w obliczu kryzysu multilateralizmu, gdy wraca znaczenie kontaktów osobistych. No i w przypadku Trumpa liczą się jeszcze jego osobiste sympatie lub antypatie, dlatego tak wielu stara się wkradać w jego łaski.

Trump nie jest pierwszym golfistą w Białym Domu. Ich pochód otwierał William Taft. Jego schorowanemu następcy Woodrowowi Wilsonowi grę zalecił lekarz. Wilson tak się przejął terapią, mającą go chronić przed atakiem serca, że niezależnie od pogody grywał co ranek, z wyjątkiem niedziel, aż do dwóch udarów z 1919 r., które przykuły go do łóżka. Agenci z prezydenckiej ochrony Secret Service specjalnie malowali piłki, by Wilson mógł je znajdować nawet na śniegu. Piłki Warrenowi Hardingowi i Bushowi juniorowi nosiły ich psy. Technikę golfowego zamachu Lyndona Johnsona porównywano do próby zamordowania grzechotnika.

Dwight Eisenhower urządził miejsce do gry w ogrodach Białego Domu – grał co dwa–trzy dni, w sumie 800 razy w czasie prezydentury. I to pewnie on kolcami butów do golfa uszkodził podłogę w Gabinecie Owalnym. Richard Nixon kazał zlikwidować ogrodową instalację Eisenhowera, przywrócił ją dopiero Clinton. Barack Obama (333 partie w okresie prezydentury) zainstalował symulator do gry, który w rzadkim akcie kontynuacji inicjatyw znienawidzonego poprzednika został zmodernizowany przez Trumpa za pierwszej kadencji.

W zeszłorocznej kampanii prezydenckiej ważnym tematem była kondycja leciwych kandydatów i ich predyspozycje zdrowotne do sprawowania urzędu. Zeszło także na golfa. Podczas jedynej debaty Trump wyzwał Joe Bidena na pojedynek. Zarzucił mu, że „nie potrafi uderzyć piłki na 50 jardów", czyli jakieś 45 m. Co, gdyby było prawdą, świadczyłoby o znacznej nieporadności, skoro kilkuletnie dzieci bez trudu posyłają piłki na dystans dwukrotnie dłuższy.

Ci, którzy mieli okazję rywalizować z Trumpem, potwierdzają, że skupia się przede wszystkim na rywalizacji. Gra szybko i tego wymaga od partnerów. Kto się ślamazarzy, nie zostanie ponownie zaproszony. Niemniej po zejściu z trawy pojawia się możliwość pogawędek. Właśnie gdzieś między dołkami a zapleczem klubów meandrowała deweloperska kariera Trumpa. Grywał choćby z Steve'em Witkoffem, nowojorskim miliarderem z branży budowlanej, a dziś jego pośrednikiem w rozmowach z Władimirem Putinem.

Amerykański dziennikarz sportowy Rick Reilly w książce z 2019 r. „Naczelny oszust. Co golf mówi o Trumpie" dowodzi, że jego bohater (i znajomy, którego Reilly ogrywał) oszukuje i hańbi tę dyscyplinę. W golfie nie ma sędziów – podobnie jak w stosunkach między państwami. Wszystko sprowadza się więc do zaufania, zawodnicy mają pilnować przede wszystkim siebie, a nie stojących rywali.

Luźne zasady golfa niestety sprzyjają szachrajstwom. Można więc niezauważenie kopnąć swoją piłkę, by poturlała się bliżej dołka, a przeciwnika – w odwrotną stronę lub w krzaki. Z jakiegoś powodu Trump wśród osób podających mu kije zapracował na przezwisko Pelé. Podrzucał piłki, gdy uderzone przez niego wpadały do wody. Jeździ szybkimi wózkami, by wyprzedzać innych graczy i zachachmęcić, zanim dotrą na miejsce. Udaje uderzenia, ale piłkę trzyma w ręce – po to, by za chwilę z triumfem wyciągnąć ją z dołka.

Reilly cytuje psychiatrów, którzy postępowanie Trumpa objaśniają m.in. potrzebą wygrywania wynikającą z braku empatii i narcystycznego zaburzenia osobowości. Stąd m.in. rozpowiadane przez niego opowieści o triumfach w turniejach, w których nawet nie brał udziału. W sumie to jednak tylko golf, niewiele znacząca gra dla przyjemności, powtarza Reilly. ■

© JANE BARLOW/PA IMAGES/GETTY IMAGES

eprasa.pl acfe9a7195

Nacjonalista widowiskowy

Chorwacki muzyk **Marko „Thompson" Perković** zorganizował największy koncert w historii ludzkości. I choć wciąż chce ją dzielić na „swoich" i „obcych", to ważniejsza jest wpadająca w ucho piosenka.

ZIEMOWIT SZCZEREK

Znów to zrobił – pobił własny rekord i w samym środku minionego lata zgromadził pod Zagrzebiem ponad pół miliona fanów, co w czteromilionowej Chorwacji musiało zrobić wrażenie. Był to prawdopodobnie największy biletowany koncert w dziejach. A w samym finale znany ze swych prawicowych przekonań piosenkarz wezwał Europę do „powrotu do swoich tradycji, swoich chrześcijańskich korzeni". „To jedyny sposób, aby Chorwacja znów była silna" – apelował.

Serbskie media zareagowały oburzeniem, bo Thompson, a właściwie Marko Perković – w latach 90. żołnierz walczący z Serbami – nadal śpiewa o tych walkach z dumą. „Skończyła się ustaszowska awantura w Zagrzebiu, policja reagowała, karetka jeździła całą noc" – grzmiał po zakończeniu koncertu serbski portal Blic.

Ustasze byli chorwackimi nacjonalistami z czasów drugiej wojny światowej, pod auspicjami Hitlera utworzyli quasi-niepodległe chorwackie państwo, w którym dokonywali czystek etnicznych i mordowali Żydów, Serbów i Romów, a także przeciwników politycznych. Ustasze pozdrawiali się hasłem „Za dom spremni", czyli „Jesteśmy gotowi (do walki/na śmierć) za ojczyznę". I tym samym hasłem posługiwał się zarówno w wojsku, jak i kilka tygodni temu na scenie Thompson.

Przed rekordowym koncertem rząd Serbii sugerował więc, by obywatele tego kraju powstrzymali się na jakiś czas od wyjazdów do Chorwacji, a prezydent Aleksandar Vučić wydał serię dramatycznych oświadczeń, nazywając imprezę „największym faszystowskim zgromadzeniem, jakie miało miejsce od czasów drugiej wojny światowej" oraz „promocją ustaszowskiej ideologii" i „kulminacją chorwackiego szowinizmu".

Warto tu przypomnieć, że prezydent Vučić sam wywodzi się z nacjonalistycznych kręgów – za rządów Slobodana Miloševicia był naczelnym propagandystą kraju, a jego mentorem jest Vojislav Šešelj, skrajny nacjonalista skazany za zbrodnie wojenne oraz zwolennik czetników, serbskich odpowiedników ustaszy.

Na samym koncercie Thompsona, ku zaskoczeniu wielu, trudno było jednak znaleźć złowrogą atmosferę. Do Zagrzebia, mimo rządowych zaklinań, wybrała się na przykład – ze ściśniętym z niepokoju gardłem – ekipa serbskiego tabloidowego portalu telegraf.rs, spodziewając się najgorszego ze strony fanów Thomsona, który w swoim największym hicie „Bojna Čavoglave" zapowiada przecież, że chorwacka ręka „dosięgnie czetników nawet w Serbii".

Serbscy tabloidziarze zmuszeni byli jednak przyznać, że nie tylko nie spotkało ich nic złego, ale nawet że „zaznali życzliwości". „Taksówkarze, kelnerzy, sprzedawcy i przechodnie w żaden sposób nie sprawiali wrażenia, że bycie Serbem w Zagrzebiu jest dziwne czy niepożądane" – pisali dzień po koncercie Thompsona zdziwieni, a może i nawet trochę zawiedzeni dziennikarze.

Nieustająca popularność Marka „Thompsona" Perkovicia od lat rozgrzewa pojugsłowiańską debatę publiczną. Jednym z większych skandali była jego obecność na uroczystości zorganizowanej w Zagrzebiu dla chorwackiej

© DAVOR PUKLAVEC/PIXSELL/PAP

eprasa.pl acfe9a7195

reprezentacji w piłce nożnej, która w 2018 r. zdobyła tytuł wicemistrzów świata. Thompson pojawił się między piłkarzami, bo jedna z jego piosenek, „Ljepa li si", prosta, chwytliwa i niby po prostu opiewająca piękno poszczególnych regionów Chorwacji, była już od dawna nieoficjalnym hymnem chorwackich piłkarzy.

Wywołało to skandal, bo część opinii publicznej uznała, że pojawienie się artysty kojarzonego z nacjonalistyczną retoryką na imprezie, która miała być świętem ponad politycznymi podziałami, było co najmniej nie na miejscu. A poza tym – dodawali lewicowcy i liberałowie – pomiędzy te regiony Chorwacji, owszem, piękne, Thompson wstawił również Herceg-Bośnię, należącą obecnie do innego państwa: Bośni i Hercegowiny.

Thompson śpiewa zresztą nie tylko o „gonieniu czetników" czy „podpalaniu Krajiny aż po Knin" albo o chorwackich „genach – kamieniach". Jak donosiły m.in. serbskie i izraelskie media (oraz chorwackie, ale nie prawicowe), zdarzyło mu się wykonać również utwór „Jasenovac i Gradiska Stara", w którym gloryfikowane są ustaszowskie zbrodnie dokonywane w tych dwóch obozach koncentracyjnych.

Im bardziej jednak liberalne i lewicowe media jadą po Thompsonie, tym bardziej jest popularny. Jego stare piosenki wciąż śpiewa się po knajpach, weselach i imprezach, bo są chwytliwe i dobrze współbrzmią ze stanem patriotyzmu po dwóch–trzech rakijach, mimo kaznodziejskiego nieco wajbu, w który czasem wpada Perković, dewocyjny katolik.

Weterańska historia, której przejawem jest jego pseudonim, też robi swoje: Thompson to marka amerykańskiego karabinu maszynowego z drugiej wojny światowej. Perković korzystał z niego podczas walk o rodzinną wieś w chorwackiej Krajinie („Gdy wróciłem do jednostki, cała broń była już rozdysponowana, a mnie został tylko ten Thompson – opowiada w wywiadach. – Przy pierwszej możliwej okazji się go pozbyłem na rzecz czegoś nowszego, ale ksywa pozostała").

Ten symboliczny nacjonalizm Thompsona przypomina to, co dzieje się z nacjonalistyczną symboliką, m.in. dziś w Ukrainie. To coś w rodzaju wietrzenia czy blaknięcia tej skrajnej retoryki i pozbawiania jej faszystowskiego jadu. Wiszące po całej Ukrainie (szczególnie zachodniej) portrety Stepana Bandery czy nawet Romana Szuchewycza są już głównie pustymi symbolami, jakoś tylko ogólnie kojarzącymi się Ukraińcom, szczególnie młodym, z walką o wolność. A znany z wykorzystywania faszystowskiej retoryki i symboliki Azow już od dawna nie jest tak „hardlajnowy" jak dawniej i stał się przede wszystkim symbolem oporu i obrony Azowstali (co nie znaczy, że w Ukrainie faszyzmu w ogóle nie ma).

Na tej samej zasadzie utwory Thompsona odbierane są przede wszystkim jako wyjątkowo dobrze wpadające w ucho pieśni, być może zahaczające o coś złowrogiego (a więc fascynującego), jednak po prostu podbijające bębenka dumy narodowej. Bo przecież nie nazwiemy pół miliona ludzi – w większości młodych i formujących raczej imprezowo-kibicowski, ale niegroźny i radosny w gruncie rzeczy tłum, a nie masę z parteitagu – faszystami.

Cały ten thompsonowski chorwacki zryw jest raczej powierzchowną manifestacją potrzeby posiadania czegoś, czego Chorwatom (a pewnie i wielu innym krajom Europy Środkowo-Wschodniej) najwidoczniej brakowało: zadowolenia i dumy z siebie.

Po rekordowym koncercie połowa bałkańskiej prasy rozpisywała się o przyczynach tak wielkiego wzrostu popularności Thompsona, i o ile ta serbska nie miała raczej wątpliwości („Chorwaci to nacjonaliści"), o tyle już chorwacka pisała banały, że uczestniczenie w koncercie Thompsona ma posmak „zakazanego owocu" (może kiedyś...), że daje ludziom „poczucie zjednoczenia", a jego przekaz jest „prosty i skutecznie podbijający najprostsze emocje".

I może nie ma sensu szukać wyjaśnienia innego niż banalne właśnie? Może faktycznie było to coś w rodzaju celebracji jedności i radości oraz dumy z pielęgnowania własnej tożsamości. A to, że Thompson i jego poglądy są dewocyjne i faszyzujące (w wywiadzie dla niemieckiej gazety „FAZ" na pytanie dziennikarza o jego opinię na temat przywódcy prohitlerowskich ustaszów Ante Paveliciu, odpowiedział, że „zachowa ją dla siebie"), to jednak nieco inna sprawa.

My tu, w Europie Środkowej, przez dekady wychowywania w ramach „przysposobienia do życia na Zachodzie" musieliśmy słuchać o ciemnych stronach naszej historii, z dopiskiem: „żeby się nie powtórzyła". I może popularność Thompsona i jemu podobnych jest jednym z przejawów buntu przeciwko – jak to kiedyś nazwano – „pedagogice wstydu" – choć w wersji bardzo *light*.

Od trzech dekad nasz region zdaje sobie sprawę z własnej „gorszości" wobec Zachodu – to tam przecież aspirowaliśmy i jeździliśmy do pracy (ojciec Thompsona był prawie nieobecny w domu, bo pracował na budowie w Niemczech), podczas gdy Zachód być może nie tyle pławi się w samozadowoleniu, ile czerpie satysfakcję ze zwycięstwa w zimnej wojnie czy statusu tej części świata, która jest podziwiana i naśladowana przez tę drugą, „gorszą" Europę.

I nawet jeśli to zachodnie samozadowolenie jest naddarte poczuciem winy za kolonializm i inne niezbyt jasne karty swojej historii, to jednak to Zachód był tej historii zwycięzcą. My, „gorsza" Europa, mogliśmy na to zwycięstwo tylko patrzeć, mając po kawałku wydzielane nagrody pocieszenia: wejście do NATO, do Unii, do Schengen.

Poza tym, gdyby Thompson był dla przykładu Serbem, to z takimi jak on wartościami – rodzina, Bóg, ojczyzna itd. – byłby pewnie swoim własnym największym przeciwnikiem: serbskim nacjonalistą. Bowiem tak samo jak choćby w przypadku wojenki polsko-ukraińskiej, tak i w relacji między Serbią i Chorwacją największymi wrogami nacjonalistów są ich lustrzane odbicia z drugiego kraju.

Bo przecież Chorwaci mają Thompsona, ale Serbowie, którzy widzą w nim wyłącznie faszystowskie zagrożenie, wcale nie są „lepsi". Mają nie tylko słynną Cecę, która w latach 90. wyszła za zbrodniarza wojennego i przestępcę Arkana przy szerokim aplauzie serbskiej opinii publicznej, czy cały patriotyczny turbofolk, ale i Mirko Pajčina, znanego jako Baja Mali Knindža, który popularność również zdobył w latach 90., wychwalał Radovana Karadžicia, modlił się o powrót do Serbii czetników i wciąż zdarza mu się muzykować dla prezydenta Vučicia.

I tak jest wszędzie tu u nas. Węgrzy mają swój nacjonalistyczny „nemzeti rock", a Ukraińcy swoje patriotyczne (choć głównie antyrosyjskie) pieśni, ale lubią też Thompsona: powstała np. ukraińska wersja „Bojna Ćavoglave", utworu, w którym pojawia się ustaszowskie hasło „za dom spremni". I to właściwie dziwne, że w Polsce jeszcze nie zaobserwowano podobnego fenomenu. ■

eprasa.pl acfe9a7195

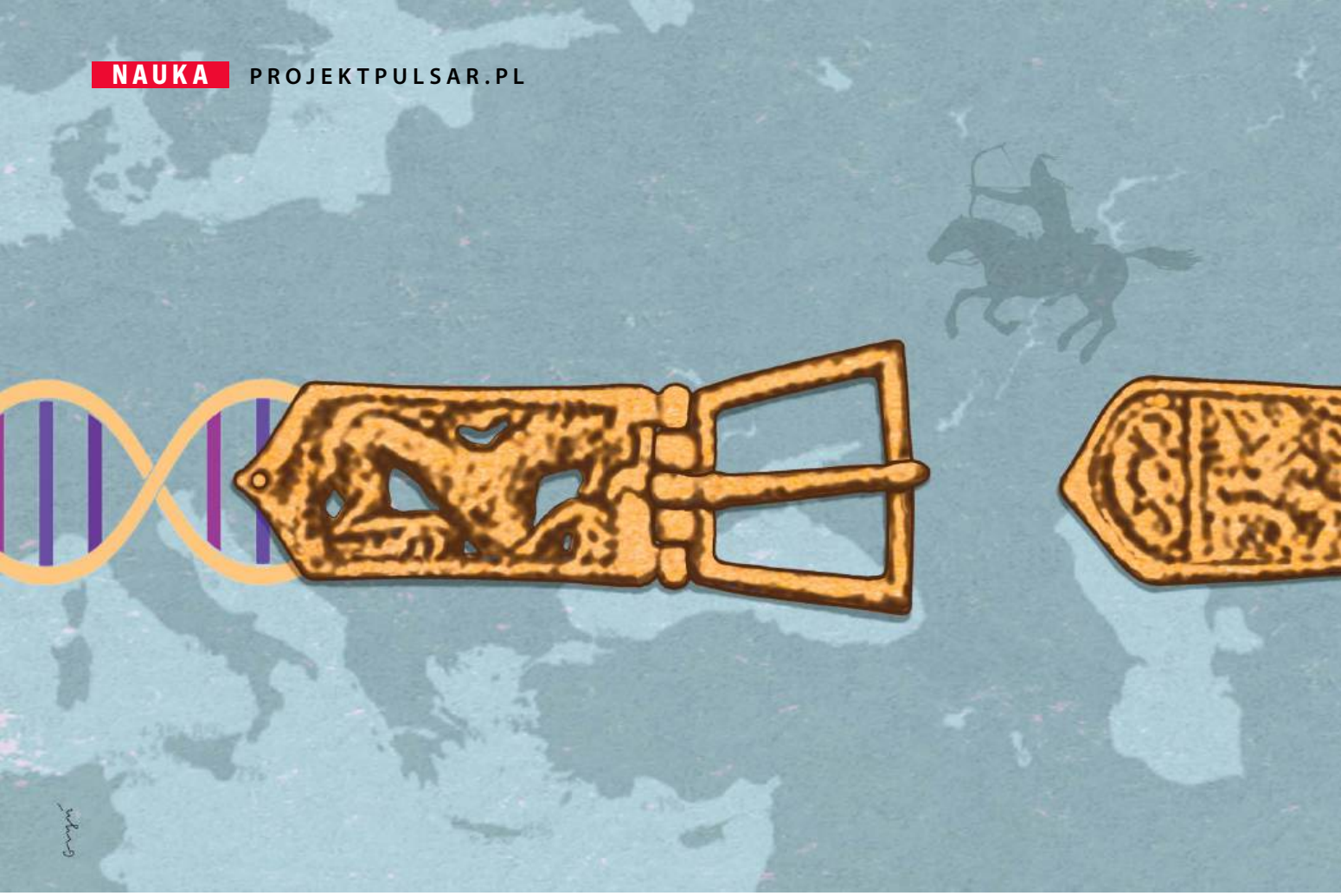

Od cmentarzysk Awarów po fenickie kolonie i neandertalskie jaskinie – archeogenetyka burzy proste wyobrażenia o tym, czym są narody, etnosy i tożsamości. A także o tym, ile znaczy biologia, a ile kultura.

MARCIN RYSZKIEWICZ

Milczenie genów

Co to jest etnos lub – wedle dzisiejszej nomenklatury – naród? Nie ma dobrej definicji, ale głęboko zakorzenione, choć rzadko werbalizowane jest przekonanie, że to wspólnota ludzi złączonych przez „ziemię i krew". Dziś kojarzy się to fatalnie, właśnie dlatego, że jako coś dla wielu oczywistego, a głęboko fałszywego, może prowadzić do tragicznych konsekwencji. I choć post factum odrzucamy ze wstrętem hasło „Blut und Boden", to zarazem ochoczo powtarzamy „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród" i „Polski my naród, polski lud, królewski szczep piastowy", choć znaczy to niemal to samo. O tym, jak mało może to mieć wspólnego z rzeczywistością, świadczy seria niedawnych odkryć.

Awarowie: podwójna lojalność

Wielki Step, rozciągający się od Mongolii aż po przedpola centralnej Europy, kończy się definitywnie u podnóży Alp, w pobliżu dzisiejszego Wiednia. Przez tysiące lat to stamtąd przychodziły do Europy fale koczowniczych ludów, które łupiły miejscowych rolników, ale rzadko zapuszczały tu głębiej korzenie – już choćby dlatego, że oznaczałoby to całkowitą zmianę sposobu życia. Owszem, kilkakrotnie się to udało, zwłaszcza wraz z pierwszą i ostatnią falą – ta pierwsza, ludu Yamnaya, czyli „jamowców", dała początek indoeuropejskiej Europie, ta druga – Madziarów – osiadła

eprasa.pl acfe9a7195

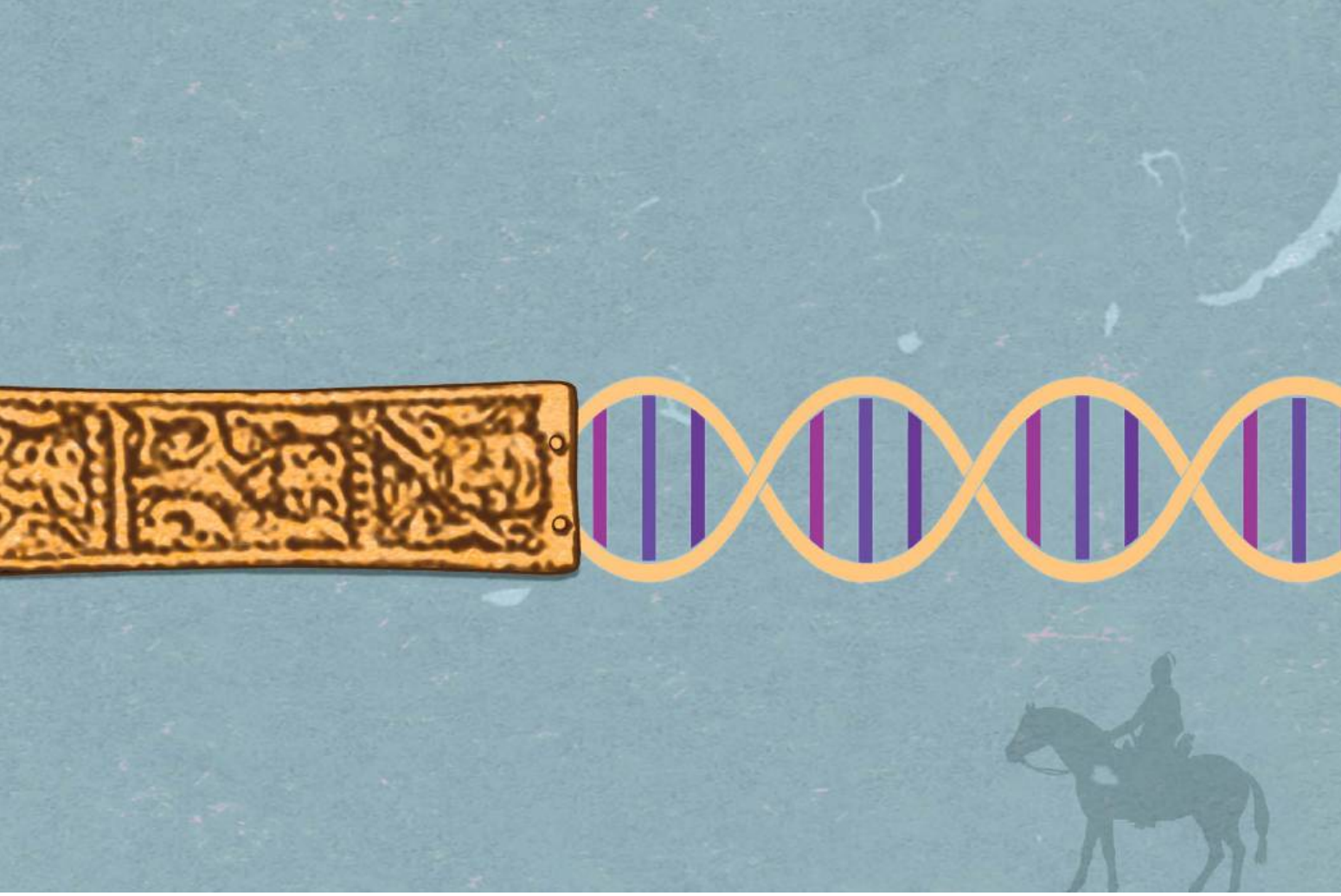

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

na terenie Panonii i wkrótce przerodziła się w jak najbardziej europejski naród Węgrów. Pomiędzy były liczne, lecz bardziej krótkotrwałe fale podbojów i przemijających państwowości.

Awarowie przybyli na teren Panonii z Wielkiego Stepu, a ich przynależność etniczną najczęściej łączy się z ludem Rouranów z terenów dzisiejszej Mongolii, którzy po rozbiciu ich państwa w 555 r. uciekli na zachód. Musieli być bardzo zmotywowani, bo już trzy lata później pojawili się w Europie, nad Morzem Czarnym. A w 568 r. utworzyli na terenie Panonii dużą i stabilną strukturę państwową, zwaną kaganatem awarskim, który przetrwał 300 lat. Te tereny nie były wówczas puste – zamieszkiwali je Bułgarzy (też przybysze ze stepów), Gepidzi, Słowianie i inne grupy etniczne. Co stało się z ludnością, która znalazła się w granicach ich panowania? Na to frapujące pytanie odpowiada praca międzynarodowego zespołu ze stycznia tego roku. Autorzy przebadali dwa bogate, położone zaledwie 20 km od siebie cmentarzyska w okolicach Wiednia, a więc na kresach ich państwa – w Mödling i Leobersdorf – gdzie Awarowie grzebali swoich zmarłych. Co się okazało?

Po pierwsze, dane archeologiczne z obu cmentarzysk, datowanych na VII do IX w., są niezwykle podobne i niedwuznacznie wskazują, że pochowano tam najprawdziwszych Awarów. Groby pełne są utrzymanych w jednorodnym stylu awarskich sprzętów: zdobionych pasów, zapinek, wisiorków, naszyjników, końskich uprzęży. Również ciała pochowano w bardzo podobny sposób: na boku, w pozycji płodowej, w tym samym geometrycznym ułożeniu względem stron świata. Choć Awarowie mieli reputację groźnych wojowników, w grobach brak broni, a na szkieletach nie widać śladów walk ani ciężkich obrażeń. Wszystko wskazuje na spokojną egzystencję dwóch bliskich sobie społeczności wspólnie wyznających te same kody kulturowe.

Tyle mówi archeologia. Genetyka komunikuje zaś coś zupełnie innego – populacja z Leobersdorf miała w zdecydowanej większości wschodnioazjatyckie pochodzenie, mieszkańcy Mödling – miejscowe. Awarowie o europejskich genotypach najwyraźniej wybierali europejskich partnerów, ci o genach dalekowschodnich – swoich ziomków. Na cmentarzu Leobersdorf, gdzie pochowano kilkuset osobników, tylko trzech mężczyzn miało dzieci z europejskimi kobietami, a i tak z tej trójki dwóch było braćmi.

Obie populacje, choć tworzyły tę samą wspólnotę i zapewne uważały się za równych sobie „prawdziwych Awarów", rzadko wymieniały się genami. I co ciekawe, musiało to trwać bardzo długo – przez dziesiątki, jeśli nie setki lat – gdyż oba cmentarzyska pochodzą ze schyłkowego okresu państwa Awarów, gdy dopływ świeżej krwi ze wschodu od dawna był już znikomy. Niebywałe. Wymiana memów bez wymiany genów może świadczyć z jednej strony o oderwaniu kultury od biologii, ale z drugiej – o głęboko zakorzenionych instynktach, których kultura nie była w stanie przełamać.

Cały ten system podwójnej lojalności (biologicznej – przy doborze partnerów; kulturowej – związanej ze stylem życia) rozpadł się jak domek z kart, gdy w początkach IX w. państwo Awarów runęło pod naporem Franków, a geny z mongolskich stepów roztopiły się w europejskim oceanie. ▶

eprasa.pl acfe9a7195

▶ Fenicjanie: serce bez krwiobiegu

Fenicjanie znani są głównie z tego, że wynaleźli alfabet, z którego później wyewoluowało pismo greckie, rzymskie i cyrylica, co samo w sobie powinno wystarczyć, by uznać ich niepodważalny wkład w powstanie europejskiej cywilizacji. Europejczykami jednak nie byli. Ich kolebka to tereny Lewantu, dziś zajmowane przez Liban oraz po części Syrię i Izrael. Na pytanie, kim byli i gdzie właściwie umieścić ich na mapie, odpowiedź jest zaś niezwykle trudna i dopiero niedawne badania (paleo)genetyczne rzucają na ten problem zupełnie nieoczekiwane światło.

Już samo nazewnictwo stwarza trudne do rozwiązania problemy. Nie używali nazwy Fenicja, uważali się za Kananejczyków – od ziemi Kanaan, z której się wywodzili. O Fenicjanach rozsianych po ogromnym obszarze Morza Śródziemnego mówi się raczej Kartagińczycy, a toczone przez nich wojny, podobnie jak język, określane są jako punickie. Choć ich ojczyzną był niewielki skrawek lewantyjskiego wybrzeża, od ok. X w. p.n.e. zakładali kolonie wzdłuż południowych wybrzeży Morza Śródziemnego, aż po Słupy Herkulesa i – po drugiej stronie Cieśniny Gibraltarskiej – na atlantyckim brzegu Iberii. A także na wszystkich większych jego wyspach: Cyprze, Sycylii, Sardynii, Balearach. To oni, przed Rzymianami, mogliby nazwać ten basen swoim *Mare Nostrum*.

Choć wszyscy mieszkańcy fenickich kolonii w Afryce zachowali przyniesione z Lewantu język, religię i zwyczaje, dotyczyło to tylko owych ściśle wyodrębnionych miast-państw, niesięgających dalej w głąb lądu (można je porównać z dzisiejszymi Ceutą i Melilą w Maroku czy angielskim Gibraltarem).

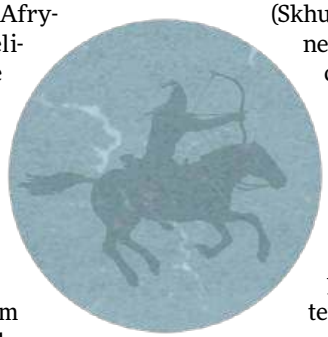

Do interioru rzadko się zapuszczali i nigdy tam się nie osiedlali. Ich głównym ośrodkiem handlowym od X w. stała się Kartagina, na wschodnim wybrzeżu dzisiejszej Tunezji. Pod względem kulturowym była ona *par excellence* fenicka. Język, religia, architektura, styl życia – wszystko to niemal żywcem przeniesione było z ojczyzny. Czy jednak Kartagińczycy byli feniccy również pod względem biologicznym? Na to pytanie odpowiada w kwietniowym numerze „Nature" zespół badaczy z Instytutu Maxa Plancka i Uniwersytetu Harvarda, którym udało się wyekstrahować DNA dawnych mieszkańców fenickich kolonii z 14 stanowisk archeologicznych i 210 osobników. Najprostsza odpowiedź to wielkie i nieoczekiwane „nie!". Fenicjanie z zachodnich wybrzeży Śródziemnomorza prawie w ogóle nie mieli fenickich genów! Dawne poglądy, że to Fenicjanie przynieśli swą kulturę wraz z kolonizacją, legły w gruzach. Fenickość okazała się ideą, a nie towarem. W Tyrze i Sydonie biło serce Fenicjan, ale fenicki krwiobieg nie był z nim złączony.

Choć miasta fenickie ograniczały się do wybrzeży, to najwyraźniej działały na tubylców jak magnes, a proces akulturacji zachodzić musiał szybko i skutecznie. „To była kultura, która nieustannie integrowała ludzi, promując małżeństwa mieszane z sąsiednich kultur" – mówi jeden z autorów pracy, David Reich z Harvardu.

Choć wielką siłą Fenicjan okazała się ich *software*, to militarnie zaczęli mieć coraz większe kłopoty z rosnącą potęgą Rzymian i ich ekspansywną republiką. Morze Śródziemne okazało się za małe dla dwóch ludów, z których każdy uważał je za własne. „Kartagina musi zginąć" – to zdanie, obsesyjnie powtarzane przez Katona Starszego, znalazło posłuch w Rzymie i w końcu doszło do śmiertelnej konfrontacji.

Trzy wojny punickie zakończyły się w 146 r. p.n.e., gdy po długim oblężeniu Kartaginy Rzym zniszczył całe miasto, w tym wszystkie biblioteki, a wedle często powtarzanego mitu grunt przysypano solą, by nic już na tym miejscu nie wyrosło. Choć Fenicjanie wynaleźli alfabet, nie zachowało się nic z ich literatury. Kartagina została zniszczona, a idea fenickości niemal wymazana z pamięci. O tym, czym była, przypomina dziś kopalne DNA.

Neandertalczycy: zgodne sąsiedztwo

W marcu w „Nature Human Behaviour" ukazał się tekst grupy archeologów z Izraela prezentujący wyniki badań licznych szczątków praludzkich z okresu 120–80 tys. lat temu z położonej w środkowym Izraelu jaskini Tinshemet. Tereny dzisiejszego Izraela były w okresie ostatniego zlodowacenia kluczowe dla ewolucyjnej historii człowieka, bo na tym niewielkim skrawku ziemi spotkały się wówczas – zapewne po raz pierwszy w dziejach – dwie zupełnie odmienne populacje lub gatunki: przybywający z północy neandertalczycy i wędrujący z Afryki przedstawiciele *Homo sapiens*.

Pytanie, jak to zderzenie światów wyglądało, nurtuje archeologów od lat 20. XX w., kiedy to w kilku jaskiniach na górze Karmel (Skhul, Tabun, Kebara, Qafzeh) odkryto dobrze zachowane szczątki obu tych gatunków. Datowanie było wówczas w powijakach, ale było oczywiste, że szczątki te należały do dwóch zupełnie różnych populacji, że pochodziły z czasów po zakończeniu ostatniego ciepłego interglacjału (który ustąpił ok. 115 tys. lat temu) i – co było zupełnie nieoczekiwane – że obie grupy zachowywały się podobnie, stosowały takie same narzędzia kultury mustierskiej, w Europie przypisywanej neandertalczykom. W czasach, gdy ten gatunek utożsamiano z brutalnością i prymitywizmem, było to szczególnie zadziwiające.

Jeszcze większe zaskoczenie przyniosło udoskonalenie technik geochronologii, bo okazało się, że w Izraelu, dokładnie na odwrót niż w Europie i niż się powszechnie wydawało, ludzie współcześni pojawili się przed neandertalczykami co najmniej 100 tys. lat temu. Ci drudzy zjawili się później i przetrwali tam dłużej, aż do ok. 40 tys. lat temu, kiedy kolejna fala *Homo sapiens* z Afryki ostatecznie przypieczętowała ich los. Wygląda na to, że pierwsze „wyjście z Afryki" naszego gatunku było falstartem, a finał pierwszego kontaktu obu gatunków można uznać za „naszą" porażkę.

Znaczenie obecnych badań w jaskini Tinshemet polega na tym, że są tam obecne szczątki obu gatunków, podczas gdy na górze Karmel jedne z jaskiń (Tabun, Kebara) gościły neandertalczyków, a inne (Skhul, Qawzeh) *Homo sapiens*, lecz nie oba gatunki naraz. Mimo więc, że znajdują się tuż obok siebie, nie pozwalają stwierdzić, czy do takich sąsiedzkich odwiedzin dochodziło.

Jednym z niezwykłych odkryć jest fakt, że zachowane szczątki wykazują ślady intencjonalnych pochówków i zapewne jakichś rytuałów pogrzebowych. „Ślady pigmentów (ochry) na kościach sugerują, że obie te grupy dzieliły przekonania na temat śmierci, tożsamości, a może i zaświatów" – mówi Marion Prévost z Uniwersytetu Hebrajskiego współkierująca pracami wykopaliskowymi. Zarówno wcześniejsze pochówki, liczące sobie ok. 100 tys. lat i łączone z *Homo sapiens*, jak i te młodsze, przypisywane

eprasa.pl acfe9a7195

neandertalczykom z jaskiń Tabun, Amud i Kebara (wiekowo bliższe 70–80 tys. lat), wskazują nie tylko na wspólnotę praktyk grzebalnych przekraczającą bariery gatunkowe, lecz także na długotrwałość ich utrzymywania się przez dziesiątki tysięcy lat.

Pochówkom towarzyszą kości zwierzęce i narzędzia kamienne, które – zdaniem odkrywców – jako dary grobowe mogą świadczyć o tym, że jaskinia Tinshemet służyła jako miejsce wspólnych pochówków obu grup. Jeśli tak, byłoby to jedno z niezwykle rzadkich świadectw wspólnego bytowania na bardzo ograniczonej przestrzeni. A poza tym – wspólnoty tradycji i sposobu życia (a może i intymnych relacji) dwóch nie tylko bardzo odmiennych pod względem wyglądu, ale też pochodzących ze skrajnie różnych i oddalonych terytoriów populacji. Może to sugerować jakiś rodzaj transmisji wiedzy i doświadczeń, choć nie jest jasne, czy którakolwiek z tych grup była już zdolna do posługiwania się złożoną mową artykułowaną. Skądinąd współgrałoby to z przeprowadzoną w tym roku analizą kości czaszki dziecka z jaskini Skhul sprzed ponad 140 tys. lat, które określono jako najstarszą znaną hybrydę neandertalczyka i *Homo sapiens*.

Szympansy: spadek doświadczeń

Czy o podobnych zderzeniach kultury z biologią można mówić w kontekście zwierząt? Mnożą się artykuły i odkrycia różnych populacji o odmiennych „kulturach" u szympansów, orangutanów, humbaków i innych, które w życiu posługują się nie tylko wrodzonymi instynktami, ale i wyuczonymi za życia i przekazywanymi poziomo innym osobnikom w grupie zachowaniami. Oczywiście takie „kultury" nie są tożsame z tymi opartymi na języku. Jeśli jednak w różnych przypadkach sukces ewolucyjny zależy nie tylko od genów, ale także od memów, to rozróżnienie może nie być tak oczywiste.

Wyobraźmy sobie sytuację, gdy na jednym terenie szympansy łupią orzechy, ale nie łowią termitów, a na drugim jest odwrotnie – to przykład realny, nie wyimaginowany. Genetycznie te grupy się nie różnią, są tym samym gatunkiem, a nawet należą do tej samej populacji. Wedle międzynarodowych regulacji ochrona obejmuje całe gatunki, czasem populacje, ale nigdy zachowania czy zwyczaje. Tymczasem sytuacja, gdy zniknie niechroniona grupa „rozbijaczy orzechów", oznacza praktycznie to samo, co ostateczna zagłada jakiegoś języka wśród ludzi. A przecież wymarły język można – choć to trudne – przywrócić do życia. Coś podobnego w przypadku szympansów (czy jeszcze bardziej humbaków, które posługują się odmiennymi wokalnymi „dialektami") może okazać się niewykonalne, zwłaszcza że nie wiadomo, jak dany obyczaj się narodził i upowszechnił.

Problem ochrony kulturowo przekazywanych zachowań (memów), a nie tylko gatunków czy populacji (genów) zaczyna być na porządku dziennym nie tylko wśród naukowców. W marcu Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody (IUCN) powołała zespół do zbadania tego zagadnienia. W maju Royal Society wydało numer specjalny swojego czasopisma – o zachowaniach, które mogą stanowić podstawy do podjęcia konkretnych kroków prawnych. „Musimy mieć pewność, że gdy podejmujemy decyzje na rzecz ochrony różnych aspektów przyrody, czynimy to ze świadomością całej złożoności zagadnienia. A przekazywane w społecznościach doświadczenia stanowią istotny czynnik" – pisze we wstępie ekolożka Philippa Brakes z Massey University.

Wyzwań jest dużo. Dlaczego na przykład chronić te, a nie inne zachowania – wśród samych szympansów opisano ich około setki, a wśród kaszalotów we wschodnim Pacyfiku wyszczególniono cztery „akustyczne klany". Zagadnienie jest poważne i warto się nim zająć. W kwietniu w „Science" ukazał się artykuł wskazujący na dowody, że złożone i przekazywane kulturowo zachowania mogą w istotny sposób wpływać na szansę przeżywania danych populacji. „Zwierzęta wykazujące bogaty repertuar kulturowy mają większy potencjał do innowacji i adaptacji – piszą autorzy. – Zróżnicowanie kulturowe zwierząt stanowi rodzaj ekologicznej polisy ubezpieczeniowej wspomagającej populację w odpowiedzi na nieprzewidywalne zmiany w ich środowisku".

Biologia i kultura: dowiedziona jedność

Nowe odkrycia sprzyjają łatwym generalizacjom i deklaracjom o „wywracaniu do góry nogami" dotychczasowej wiedzy. Tak było i w przypadku doniesień o niespodziewanych zachowaniach wśród Awarów i Fenicjan. Ta tendencja jest jednak zwodnicza, bo kultura, choć może odwrócić nasze biologicznie wrodzone preferencje, jest niezwykle plastyczna i praktycznie nigdy nie dotyczy wszystkich, a jedynie wybrane populacje. Biologicznie jesteśmy nieufni wobec obcych i takie przypadki akulturacji i pokojowego współżycia nie stanowią normy, lecz raczej odstępstwa od reguły. Dobrze ilustruje to inne z ostatnich, naprawdę szokujących odkryć.

Już kilka lat temu we francuskiej jaskini Mandrin nad Rodanem francuski archeolog Ludovic Slimak odkrył ślady wtargnięcia „przed czasem" (57–52 tys. lat temu) do neandertalskiej Europy niewielkiej populacji *Homo sapiens*, której przedstawiciele na 100 lat zawładnęli jaskinią, przedtem i później zajętą przez neandertalczyków. Przez 100 lat wprowadzili tam swoje, zupełnie odmienne obyczaje, co znalazło odbicie w całkowicie odrębnym od neandertalskiego zestawie narzędzi kamiennych, wśród których dominowały maleńkie i niemal taśmowo produkowane groty do strzał. Łucznictwo było neandertalczykom nieznane, a z pewnością jego przejęcie byłoby dla nich, zmuszonych do walki wręcz z dużymi zwierzętami, błogosławieństwem. Nic takiego jednak nie nastąpiło i po ustąpieniu nieproszonych gości neandertalczycy powrócili do praktyk sprzed tej wizyty.

To był jednak dopiero przedsmak zaskoczeń. W tejże jaskini naukowcy odkryli także doskonale zachowany szkielet neandertalczyka sprzed ok. 50 tys. lat, jednego z ostatnich w Europie, któremu nadano tolkienowskie imię Thorin. Z jego zębów udało się wyekstrahować DNA, którego analiza opublikowana w 2024 r. okazała się prawdziwą bombą. Otóż porównanie z innymi genomami europejskich neandertalczyków ujawniło, że Thorin należał do populacji, która oddzieliła się od innych 50 tys. lat wcześniej i przez cały ten czas, aż do końca, nie utrzymywała z nimi żadnych kontaktów. 50 tys. lat samotności – i to najwyraźniej z wyboru.

Trudno nie widzieć tym roli kultury, gdyż inne populacje neandertalskie kontaktowały się i wymieniały genami na całym obszarze występowania tego gatunku, od Portugalii aż po Mongolię. Tylko mieszkańcy Mandrin i okolic, niczym samotna wioska Galów, opierali się obcym. Tutaj biologia i kultura najwyraźniej sprzęgły się w jedno.

MARCIN RYSZKIEWICZ

eprasa.pl acfe9a7195

Wiara zieleń przynosi

Religia, polityka i wojna – to czynniki, które rzadko uwzględnia się w badaniach przyrody. O opublikowanej w „Nature Cities" analizie, która wypełnia tę lukę, mówi jej współautorka prof. Marta Szulkin z Uniwersytetu Warszawskiego.

KATARZYNA CZARNECKA: **– W Ukrainie giną wróble. I to nie pierwszy taki przypadek. Pod koniec lat 50. XX w. władze Chin uznały, że te ptaki wyjadają za dużo zboża i wypowiedziały im wojnę – szacuje się, że zabito ich kilkaset milionów. Tyle że kiedy ich zabrakło, plony pożerała szarańcza, a ludzie umierali z niedożywienia.**

MARTA SZULKIN: – Tak się kończy rozwiązywanie problemów przyrodniczych bez wiedzy ekologicznej. Na szczęście dziś o złożoności ekosystemów wiemy dużo więcej. Tyle że nowe wyzwania wciąż pojawiają się na horyzoncie.

Podczas wojny do znikania ptaków człowiek przyczynia się nieintencjonalnie.

Współautor naszych badań Yuriy Vergeles z Charkowskiego Uniwersytetu Narodowego stwierdził, że po wyjeździe około połowy mieszkańców miasta wróble – i to w nielicznych stadach – można zobaczyć już tylko na targowiskach, gdzie ludzie handlują żywnością.

Tym razem one umierają z głodu.

Są związane z siedliskami człowieka, karmią się przy nim. W Ukrainie ich baza pokarmowa drastycznie się zmniejszyła. To jednak tylko obserwacja. Długo dyskutowaliśmy, czy umieszczać tę informację w artykule, ale w końcu to zrobiliśmy.

Obserwacja to przecież także narzędzie naukowca.

Zazwyczaj podpieramy się ustandaryzowanymi pomiarami. Oczywiście w czasie konfliktu zbrojnego jest to prawie niewykonalne. Dlatego piszemy o niezwykłej sile nauki obywatelskiej. Mieszkańcy każdego zakątka globu mają smartfony i robią zdjęcia, po czym publikują je w sieci. Na ich podstawie można analizować, co się dzieje na terenach, do których dostęp jest utrudniony lub niemożliwy. A także porównywać to z obrazami sprzed wojny i tak uzyskać pewne ilościowe dane.

Można tu zobaczyć pewien problem…

Giną ludzie, a my o wróblach, prawda? Wydaje się to niestosowne. Trzeba jednak pamiętać, że takie informacje są niezwykle cenne. Przyroda w czasie wojny wystawiona jest na coraz nowe zagrożenia. Ostatnio mówi się o dronach światłowodowych. Kable mają długość do 20 km i są bardzo trudne do wykrycia. Pojawiają się już zdjęcia pokazujące całe zanieczyszczone nimi pola, co niesie ryzyko zaplątania się w nie zwierząt. Wiadomo też o gniazdach ptasich z takich kabli.

Na zdjęciach satelitarnych można prześledzić, jak w niektórych rejonach Ukrainy czy w Strefie Gazy szybko ubywa zieleni. Tu: spalone drzewa w Zaporożu.

W czasie walk fauna zanika także dlatego, że brakuje flory.

Drzewa idą na opał, uprawy są niszczone przez wybuchy lub ogień. Na zdjęciach satelitarnych można prześledzić, jak w niektórych rejonach Ukrainy czy w Strefie Gazy ubywa zieleni. Wpływa to na ekosystemy i klimat. Bo na terenach zielonych pracują przecież zapylacze, żywią się bezkręgowce, ssaki i ptaki. A dzięki nim mogą też żyć ludzie. Zapisywanie zmian dokonywanych w przyrodzie pozwoli w przyszłości – mam nadzieję – na ukierunkowane ustalanie priorytetów w działaniach naprawczych. Słowem, musimy pamiętać, że jesteśmy częścią przyrody – i w czasach pokoju, i w czasie wojny. Liczę na to, że możemy czasami ją ratować, mimo że często jej szkodzimy. Choćby samą urbanizacją.

Mówi to pani jako badaczka miast.

Mam świadomość, że przetworzyliśmy ogromne przestrzenie i w związku z tym mamy wobec natury dług. Wolę się skupić na pozytywach i potencjale, więc powiem, że staramy się go spłacać.

Przykłady?

Warszawa. Posadzono mnóstwo nowych drzew, zrobiono przestrzeń dla łąk kwietnych i dzikich, obsiewane są pasy zieleni przy torach tramwajowych...

Tereny zielone zajmują dziś ok. 40 proc. powierzchni stolicy, choć w kategorii Przestrzeń „Indeksu Zdrowych Miast 2024" pierwsze miejsce zajął Chorzów, a Warszawa nie trafiła nawet do pierwszej dziesiątki.

eprasa.pl acfe9a7195

W zakresie likwidacji terenów zabetonowanych oczywiście zawsze można się jeszcze bardziej postarać.

Odpowiedzią na pytanie, jak „bardziej", są choćby pani wcześniejsze badania, których bohaterkami były sikorki i modraszki.

Zajmujemy się nimi w Warszawie od 10 lat. Mojemu zespołowi – Laboratorium Biologii Antropocenu – udało się wyliczyć prostą zależność: jeżeli zwiększymy ilość betonu w środowisku z 0 proc. (pełen las) do 50 proc., to obniżamy sukcesy reprodukcyjne tych ptaków aż o połowę. A sądzę, że dla wielu innych gatunków ten trend jest jeszcze silniejszy. Wracając jednak do meritum: w wielu miejscach na świecie ludzie doszli jakiś czas temu do punktu krytycznego, ale w końcu zauważyli, że miasta trzeba – nie wiem jak to ładniej nazwać – unaturalnić.

Pozostaje jednak sporo do zrobienia. Przytaczacie pracę wykazującą, że w Stanach Zjednoczonych „w biedniejszych dzielnicach zamieszkanych przez osoby czarnoskóre dostęp do terenów zielonych jest znacznie mniejszy niż w dzielnicach zamożniejszych".

Co ciekawe, wykazano też, że wskutek polityki segregacji w biednych dzielnicach przepływ genów wielu gatunków zwierząt jest słabszy, a ich różnorodność genetyczna niższa niż w dzielnicach zamieszkanych przez osoby bogatsze.

Odbija się to także na ludziach. Z wielu badań wynika, że więcej czasu spędzonego wśród zieleni wiąże się m.in. z niższym ciśnieniem krwi, silniejszym układem odpornościowym, mniejszym ryzykiem chorób sercowo-naczyniowych i lepszym snem. A także łagodzi stres, objawy depresji i poprawia funkcje poznawcze.

Zgadzam się. To, co w USA zrobiono w przestrzeni z powodu rasistowskich praw, w Polsce było kwestią ustroju.

Odbudowując Warszawę po wojnie, władze myślały o przyrodzie – przykładami są Muranów czy Ursynów. A później…

Później politycy pozwolili na to, że do głosu doszli deweloperzy.

Ich działania można traktować jako symbol – mniejszych niż w USA, ale – nierówności społecznych. Z punktu widzenia przyrodniczego największy problem stanowi to, że zabudowali niemal każdy skrawek ziemi.

Prof. dr hab. **Marta Szulkin** – biolożka ewolucyjna, twórczyni i kierowniczka Laboratorium Biologii Antropocenu na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego. Jej zainteresowania naukowe obejmują m.in. ekologię i ewolucję w mieście oraz biologię antropocenu.

Tak. Rynek radykalnie zmienił sposób myślenia o przestrzeni: coraz gęstsza zabudowa, rozlewanie się miast, gentryfikacja, kurczenie się terenów zielonych... Te przekształcenia krajobrazu nie pozostają bez wpływu na przyrodę.

A słynne grodzone osiedla?

Oczywiście także. Płoty, siatki i inne przeszkody uniemożliwiają swobodne przemieszczanie się zwierząt, a co za tym idzie – przepływ ich genów. W przestrzeni grodzonej trudniej odnaleźć zarówno odpowiednie miejsca do żerowania, jak i partnerów do rozrodu. Swoją drogą w Warszawie tworzy się już korytarze ekologiczne dla bezkręgowców.

Niektóre zamknięte przestrzenie uważa pani jednak za niezwykle cenne. Na przykład cmentarze, o których pisaliśmy w POLITYCE 24/03, albo otoczenie kościołów.

Bo ludzie traktują je jako rodzaj schronienia, także dla roślin i zwierząt. W Wielkiej Brytanii są piękne średniowieczne opactwa, gdzie nie wprowadzano nowych gatunków i nie stosowano pestycydów, więc nierzadko rozwijają się tam zbiorowiska roślinne o niezwykłej różnorodności. Na południu Polski w okolicach wiejskich kościołów koledzy z Polskiej Akademii Nauk zaobserwowali podobne zjawisko, jeżeli chodzi o ptaki. Miejsca zadumy i refleksji religijnej człowieka często są bardziej naturalne i bogate przyrodniczo.

Choćby w „zielsko", czyli rośliny ruderalne, które teraz – o czym pani wspomina w swojej pracy – nierzadko występują m.in. na Cmentarzu Żydowskim w Warszawie, a po wojnie obrastały ruiny getta i śródmieścia. Zajmował się nimi prof. Roman Kobendza i inni botanicy, co zmieniło sposób widzenia przyrody miejskiej.

Podobnie jak dokumentacja flory w Berlinie Zachodnim, który był terenem w zasadzie zamkniętym. Z takich działań zrodziła się ekologia miejska, dzięki której wiemy już bardzo dużo o tym, jak na ewolucję gatunków wpływa urbanizacja.

Jakie kierunki zmian mogłaby pani wskazać na przyszłość?

Kontynuujmy zazielenianie miast, zadrzewiając nasze ulice, budując małą retencję, puszczając pnącza na fasady budynków (tym samym obniżając ich temperaturę w czasie upałów) oraz naprawiając mniejsze i większe błędy rewitalizacji, np. betonowanie rynków. Zachęcam też decydentów różnych wyznań do zazieleniania terenów do nich należących. Kontemplacja i przestrzenie naturalne jej sprzyjające są w dzisiejszych czasach niezwykle potrzebne.

Wasze badania są dla pani istotne także z innego powodu: większość dotychczasowych prac na ten temat pochodzi z USA i Europy Zachodniej.

Bardzo mało wiemy o tym, co dzieje się w np. w Chinach czy w byłych republikach ZSRR, choć procesy urbanizacyjne zachodzą tam bardzo szybko. A przecież na nasze miasta wpływa cała masa procesów społecznych. Niesiemy inny niż mieszkańcy starych państw Zachodu ciężar historyczny, który nas jakoś ukształtował.

Najwyższy czas na dekolonizację potencjału zarówno naukowego, jak i przyrodniczego Europy Środkowo-Wschodniej. Pokazujemy unikatową perspektywę będącą wypadkową naszego dziedzictwa kulturowego i geopolitycznego, tym samym wzbogacając zrozumienie procesów biologicznych w miastach w skali światowej.

Patrzy pani na działania człowieka bardzo optymistycznie, choć mimo wszystko nadal jest on w ekosystemach niemałym szkodnikiem.

W zalewie złych informacji warto zauważać fakt, że się uczymy. A polski entuzjazm do zazieleniania przestrzeni jest godny podziwu. Oby w naszym wyobrażeniu miast zapisał się trwale.

Podkastu z prof. Szulkin można posłuchać tutaj:

© ZRMA/ANADOLU/GETTY IMAGES, ANNA AMAROWICZ

eprasa.pl acfe9a7195

Zakażenie drogą ustną

ILUSTRACJA **PATRYK SROCZYŃSKI**

Naukowcy potwierdzają: plotka ma z wirusem znacznie więcej wspólnego, niż nam się dotąd wydawało. A co ze szczepionką?

KASPER KALINOWSKI

Wiadomości sobie przeczyły. Z jednej strony – pisze w książce „Wandalizm rewolucji" francuski archiwista i historyk sztuki François Souchal – mówiono o „bandach systematycznie niszczących żniwa", z drugiej „o arystokratach rekrutujących najemników, żeby gwałtem odzyskać swoje prawa". Były to plotki, które rozsiewały po całym kraju grupy włóczęgów. I tak „Wielka Trwoga wyprowadziła na drogi wstrząśniętych wieśniaków". Zapanowała panika. Na dotkniętych głodem terenach wiejskich lokalne społeczności powołały milicję, żeby się bronić przed bandytami. Gdy ci jednak się nie pojawiali, uzbrojeni chłopi zaczęli napadać na zamki i palić rejestry gruntów. To archiwa, które w pewnych regionach Francji były niezbędne w dochodzeniu praw do majątków ziemskich.

Historycy uważają, że wydarzenia między 20 lipca a 6 sierpnia 1789 r. były jednym z kluczowych momentów wczesnej fazy rewolucji francuskiej. Dla Souchala „nadal tajemnicze i słabo wyjaśnione". Jednocześnie jest to – jak się okazuje – jedna z bardziej znanych i wciąż dyskutowanych historycznych epidemii dezinformacji.

Kilkanaście dni Wielkiej Trwogi postanowił przeanalizować Antoine Parent, badacz systemów złożonych z Université de Paris. Swoim planem podzielił się z fizykiem Stefano Zapperim i patomorfolożką Cateriną La Portą. To ona wpadła na pomysł: „Dlaczego nie wykorzystamy technik, które stosujemy do badania epidemii?". Jako podstawę teoretyczną wykorzystali pracę francuskiego historyka Georges'a Lefebvre'a z 1932 r., który zebrał listy i dokumenty z epoki. Aby sprawdzić jego hipotezę, że plotki rozprzestrzeniały się wzdłuż głównych szlaków transportowych, posłużyli się modelem matematycznym opracowanym do badania ekspansji patogenów.

Okazało się, że plotki rozprzestrzeniały się z podstawowym wskaźnikiem reprodukcji wynoszącym 1,5. W epidemiologii to teoretyczna liczba osób, którą zaraża każdy chory, przy założeniu, że wszystkie jego kontakty następują z osobami podatnymi na zakażenie. Szczyt osiągnęły 30 lipca, a następnie zaczęły gwałtownie spadać. Ostatnie zarejestrowane przypadki „infekcji" są datowane na 6 sierpnia.

– *Faza szybkiego wzrostu do punktu kulminacyjnego z następującym później spowolnieniem przypomina współczesną dynamikę wiralowych dezinformacji* – mówi prof. Dariusz Jemielniak, badacz społeczny z Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie, wiceprezes PAN i szef Human+AI Institute w CampusAI. – *Kluczowa różnica to skala czasowa. W 1789 r. cykl trwał tygodnie, dziś mierzymy go w godzinach.*

Jak wyliczyli autorzy, w XVIII-wiecznej Francji w ciągu jednego dnia można było pokonać dyliżansem ok. 110–160 km. Współczesne tempo sprawdzili eksperci kierowani przez Michela Del Vicario z włoskiego IMT School for Advanced Studies Lucca. Ustalili, że są dwa szczytowe momenty udostępniania treści na Facebooku: pierwszy to 1–2 godz. po pojawieniu się informacji, a drugi – ok. 20 godz. później.

Prof. Jemielniak dodaje przy tym, że żywotność fake newsów zależy od trzech czynników: rezonansu emocjonalnego (strach, gniew), wykorzystania istniejących napięć społecznych oraz

eprasa.pl acfe9a7195

strategicznego rozprzestrzeniania przez zorganizowane grupy. – *Paradoksalnie, zbyt szybkie rozprzestrzenianie może prowadzić do szybszego „wypalenia" tematu. To mechanizm znany zarówno w epidemiologii, jak i w analizie trendów internetowych.*

Początkowa faza szybkiego wzrostu była dla badaczy kluczowa, ponieważ umożliwiła opracowanie szczegółowej sieci transmisji obejmującej 641 lokalizacji (wykorzystano tu historyczne mapy drogowe). Tu teza Lefebvre'a się sprawdziła – rzeczywiście plotki „przemierzały" drogi i rzeki. Co jednak szczególnie ciekawe, często wzdłuż szlaków pocztowych. Ok. 40 proc. dotkniętych dezinformacją miejscowości znajdowało się w odległości nie większej niż 5 km od stacji pocztowej.

– *To kolejna uderzająca analogia do współczesnych „węzłów informacyjnych" – platform społecznościowych i komunikatorów* – wyjaśnia prof. Jemielniak. – *Dzisiejsze bańki informacyjne funkcjonują podobnie jak ówczesne szlaki pocztowe – jako predefiniowane kanały dystrybucji. Kluczowe czynniki to: algorytmy rekomendacji (współczesny odpowiednik szlaków transportowych), homofilia społeczna (podobni ludzie łączą się w sieci) oraz celowa manipulacja przez skoordynowane kampanie dezinformacyjne wykorzystujące te naturalne ścieżki przepływu. Niedawno mój zespół opublikował wyniki badań o wykrywaniu baniek informacyjnych w podobnym duchu.*

Szczegółowe analizy umożliwiły także stworzenie charakterystyki przestrzeni najbardziej podatnej na rozprzestrzenianie się Wielkiej Trwogi. Była gęsto zaludniona – co typowe dla chorób zakaźnych – ale też o wyższym poziomie piśmienności i przeciętnym dochodzie, a także z wyższymi cenami pszenicy i sprzyjającym kontekstem prawnym dotyczącym ziemi. Bardziej narażone na działanie plotek były więc miasta – tam ludzie byli bogatsi i bardziej wykształceni. Piśmienność oszacowano na podstawie aktów małżeństwa podpisanych przez parę w 1786 r. A trzeba pamiętać, że jej poziom był ogólnie niski i wynosił 46 proc. w miastach i tylko 33 proc. w całym kraju.

– *Ten wynik analiz burzy intuicyjne założenia* – mówi prof. Jemielniak. – *Tyle że i w 2025 r. najbardziej podatni na dezinformacje są paradoksalnie nie tylko niewykształceni, lecz także osoby z wyższym wykształceniem przekonane o swojej odporności na manipulację. Mamy tu do czynienia z efektem Dunninga-Krugera: „Nie będę słuchać porad dla maluczkich".* To dobrze opisane zjawiska polegające na tym, że osoby najbardziej niekompetentne są najmniej zdolne do rozpoznania własnej niekompetencji (możemy go obserwować codziennie w internetowych komentarzach).

Zdaniem polskiego badacza kluczowa jest tu nauka krytycznego myślenia, ale i ona nie wystarczy. – *Potrzebujemy również pokory epistemologicznej i świadomości własnych uprzedzeń poznawczych. Skuteczna profilaktyka wymaga trzech filarów: weryfikacji źródeł, spowolnienia reakcji emocjonalnych oraz budowania „odporności zbiorowej" poprzez różnorodność źródeł informacji.*

Francuscy naukowcy stwierdzili także, że XVIII-wieczne plotki nie znajdowały posłuchu z powodu strachu i emocji. Nie były też szerzone przez ignorantów. Wielka Trwoga była wydarzeniem napędzanym politycznie. Podobne jak dzisiejsza dezinformacja, która bardzo często również jest sterowana odgórnie. Sprowokowane pogłoskami działania chłopów były zaś w pełni racjonalne.

Niszczenie archiwów miało konkretny i bardzo praktyczny cel – wyzwolenie ziem. W niektórych regionach nie miałoby jednak sensu, bo panowie feudalni i tak zachowywaliby prawa do ziemi. Tam odsetek plotek był niższy. Data wygaśnięcia tych niepokojów społecznych również nie jest przypadkowa. Dwa dni wcześniej Zgromadzenie Narodowe zniosło prawa feudalne. Bunt stał się już zatem bezzasadny.

– *Poza tym 53 proc. plotek było przekazywanych kanałami oficjalnymi (listy, kurierzy), a nie ustnie. To kluczowe ustalenie podważa romantyczny obraz „panicznego tłumu"* – tłumaczy prof. Jemielniak. – *Współczesne badania to potwierdzają: ludzie przekazują fake newsy nie tylko pod wpływem emocji, ale także z racjonalnych (choć błędnych) kalkulacji: sygnalizowania przynależności grupowej, budowania kapitału społecznego czy realizacji celów politycznych. To czyni problem trudniejszym – walczymy nie z irracjonalnością, ale z alternatywnymi racjonalnościami opartymi na odmiennych przesłankach epistemologicznych.*

Tym bardziej że zdaniem prof. Jemielniaka najbardziej „zaraźliwe" fake newsy eksploatują nasze fundamentalne lęki egzystencjalne, jak zagrożenie zdrowia (pseudomedycyna czy teorie spiskowe o szczepionkach), bezpieczeństwo ekonomiczne (manipulacje finansowe) oraz tożsamość grupowa (narracje o „obcych"). – *Szczególnie odporne na zwalczanie są dezinformacje wplecione w szersze narracje światopoglądowe. Stają się elementem tożsamości, a ich podważanie jest odbierane jako atak personalny. Znany w psychologii „backfire effect" sprawia, że próby prostowania nieprawdy mogą paradoksalnie wzmacniać pierwotne przekonania.*

Niektórzy eksperci mają zastrzeżenia do wspomnianego badania. Jak podkreśla w „Nature" Walter Quattrociocchi, informatyk specjalizujący się w systemach złożonych i badacz dezinformacji z Uniwersytetu Sapienza w Rzymie, zarażenie patogenem jest wyłącznie kwestią prawdopodobieństwa. Przekazywanie plotek zaś może być celowe i zależeć od kontekstu społecznego i czynników psychologicznych, których modele znane z epidemiologii nie są w stanie uwzględnić. W odpowiedzi autorzy argumentują, że zajmowali się przekazywaniem informacji między miastami, a nie osobami. „Miasto to tysiące ludzi – stwierdzają – i jeśli zostaje »zarażone« plotką, jest to zdarzenie, które takimi narzędziami badać można".

Ich praca jest zresztą częścią nowego podejścia do badania historii, w którym stosuje się metody znane z nauk ścisłych czy przyrodniczych. Jednym z jego ciekawszych przedstawicieli jest prof. Adam Izdebski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, który łączy źródła pisane z danymi z „archiwów" natury (m.in. z jezior i torfowisk, a także ze szczątków ludzkich). Jego zespół podważył w ten sposób powszechnie przyjmowane przez historyków szacunki na temat skali Czarnej Śmierci w XIV-wiecznej Europie czy dżumy Justyniana, która pustoszyła Bizancjum w VI w.

Jeśli spojrzeć z takiej interdyscyplinarnej perspektywy, opowieści znane z podręczników okazują się nadmiernie uproszczonym i pełnym luk obrazem, który w większym stopniu przypomina mit niż dawną rzeczywistość. A przecież historia ma uczyć, nie dezinformować. Nawet jeśli istnieje uzasadniona obawa, że jej lekcje nie będą się rozprzestrzeniać tak skutecznie jak wirusy. ■

eprasa.pl acfe9a7195

Najbardziej heroiczny okres w dziejach Czech? A może narodowa tragedia? 490 lat temu zakończyły się wojny husyckie. O husytach i ich przywódcy opowiada historyk Petr Čornej, autor biografii Jana Žižki.

Boży bojownicy

Monumentalny pomnik Jana Žižki na Witkowej Górze w Pradze autorstwa Bohumila Kafki.

eprasa.pl/ocfe9a7195

TOMASZ TARGAŃSKI: **– W „Bitwie pod Grunwaldem" Jana Matejki na pierwszym planie widzimy Jana Žižkę – legendarnego przywódcę czeskich husytów – siekącego mieczem krzyżaków. Prawda to czy wytwór fantazji malarza?**

PETR ČORNEJ: – Choć żadne źródło bezpośrednio nie wspomina o jego udziale w tej bitwie, jest bardzo prawdopodobne, że Žižka walczył pod Grunwaldem. Wiadomo, że był tam inny czeski najemnik Jan Sokol z Lamberka, z którym Žižka był związany. Wiemy też, że walczył on jako najemnik w jesiennej kampanii 1410 r. Władysława Jagiełły przeciw Zakonowi.

Žižka ma w Czechach status bohatera narodowego. Uważa się, że nie przegrał żadnej bitwy. Nawet po śmierci krążyły o nim legendy, np. ta, że w testamencie nakazał zrobić ze swojej skóry bęben wojenny, aby napawać przerażeniem wrogów.

Jest ona wyssana z palca. Wyszła spod ręki Enei Silvia Piccolominiego, późniejszego papieża Piusa II, zaciekłego wroga husytów, który chciał przedstawić czeskiego hetmana w jak najgorszym świetle. Praktyka skórowania oraz groźny dźwięk wojennych bębnów ówczesnym Europejczykom kojarzył się z Turkami i innymi „barbarzyńcami", co Piccolomini skrzętnie wykorzystał, aby Žižkę obsmarować. A legenda jak to legenda, żyła własnym życiem. Rzekomy „bęben z Žižki" był eksponowany w Kłodzku w XVIII w. Jeszcze w 2013 r. zaprezentowano go publicznie w Pilznie, ale była to oczywista mistyfikacja. Co zaś tyczy się faktów, to wiemy, że ciało Žižki spoczęło w październiku 1424 r. w kościele św. Ducha w Hradcu Králové. Później ok. 1500 r. prawdopodobnie przeniesiono je do kościoła św. Piotra i Pawła w Čáslaviu. Ale Žižka nie zaznał tam spokoju – jego grób został zniszczony podczas wojny trzydziestoletniej. Gdy w 1910 r. na terenie kościoła w Čáslaviu odnaleziono fragmenty czaszki z wyraźnymi uszkodzeniami lewego i prawego oczodołu (hetman stracił jedno oko w dzieciństwie, a drugie w 1421 r. podczas oblężenia zamku Rabí), wzbudziło to sensację. Ale do dziś nie udało się potwierdzić, że są to szczątki Žižki.

Jan Žižka według Jana Matejki w „Bitwie pod Grunwaldem"

Žižka uchodzi też za wynalazcę taboru – rozsławionej przez husytów taktyki bitewnej, która miała za zadanie chronić piechotę przed natarciami konnicy.

To mit. Žižka jej nie wynalazł. Pomysł wykorzystania wozów taborowych jako linii obrony nie był nowy. Jest on udokumentowany w rozkazach i instrukcjach wojskowych pochodzących jeszcze z końca XIV w. Žižka, który całe życie trudnił się wojaczką, musiał je znać. Nawet wśród husytów nie był jedynym, który używał wozów do obrony piechoty. Nie ma jednak wątpliwości, że hetman do perfekcji opanował sztukę posługiwania się taborem na polu bitwy.

W książce próbuje pan zrozumieć, jakimi motywami kierował się Žižka, przystępując do husytów. Miał wówczas niemal 60 lat i był niezbyt zamożnym rycerzem. Miał charyzmę i umiał wojować. Czy postrzegał ruch husycki jako szansę na sławę i pieniądze? Czy też zdecydowały względy religijne?

Powróciwszy z Polski, Žižka służył na dworze Wacława IV w Pradze. Tam zapoznał się z ideami mistrza Jana Husa i szybko się z nimi utożsamił. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przypuszczać, że dostrzegł w nich nadzieję na odkupienie grzechów śmiertelnych. Miał na sumieniu wiele mordów i rabunków, nie mógł więc liczyć na zbawienie. Bezwarunkowa identyfikacja z husycką koncepcją prawa boskiego wynikała moim zdaniem ze szczerej nadziei, że stając się wiernym rycerzem Chrystusa, może się znaleźć w Królestwie Niebieskim. Nie zależało mu zatem na sławie i pieniądzach.

Jeśli autentycznie miał się za „bożego bojownika", to w takim razie jak usprawiedliwiał masakry, których się dopuszczał?

Był przekonany, że Bóg powierzył mu misję nakłonienia chrześcijaństwa – jeśli nie po dobroci, to siłą – do husyckiej wykładni prawa bożego. Wzorował się na nieprzejednanych wodzach ze Starego Testamentu: Jozuem czy królu Dawidzie. Bezkompromisowe pragnienie wcielenia w życie programu husyckiego szło w parze z poszanowaniem tradycyjnych zasad rycerskich. Jeżeli zdobyte miasto nie poddało się dobrowolnie, Žižka zabijał mężczyzn powyżej 14. roku życia. Kobiety i dzieci oszczędzał.

Czym właściwie był husytyzm? Ruchem religijnym, narodowym? Rewolucją społeczną?

Wszystkim naraz. Motywacje husytów były niezwykle różnorodne. Jedni chcieli reformy Kościoła i od tego się zaczęło. Inni zobaczyli w ruchu okazję do wzmocnienia swojej pozycji względem władzy królewskiej. Jeszcze inni liczyli na przepędzenie z czeskich miast niemieckiego patrycjatu. Niezwykłą dynamikę i historyczną wyjątkowość husytyzmowi nadały dwa wielkie procesy zachodzące jednocześnie. Pierwszym była walka o przekształcenie czeskiej monarchii w państwo stanowe, gdzie w podejmowaniu decyzji politycznych uczestniczą nie tylko król i garstka możnych, ale również średnia szlachta i przedstawiciele miast królewskich. Drugi komponent to reforma Kościoła. Tutaj kluczem była odmienna koncepcja Kościoła chrześcijańskiego. Husyci chcieli go przekształcić – czasem bardzo brutalnymi metodami – z ziemskiej instytucji, która ma swoje doczesne interesy, w idealną wspólnotę wiernych. Do tego dochodziły spory o kwestie liturgiczne, jak komunia pod dwiema postaciami.

A może husytyzm był rewolucją narodową? Wielkim „powstaniem" Czechów przeciw Niemcom?

To przestarzały pogląd z XIX w., kiedy czescy działacze narodowi wykorzystywali husytyzm jako oręż w walce przeciw Niemcom i rządowi w Wiedniu. Nie da się zaprzeczyć, że element narodowy był w husytyzmie istotny – mieszczaństwo pochodzenia niemieckiego w większości nie poparło powstańców – miał on jednak znaczenie wtórne.

Husyci toczyli walki na „froncie" międzynarodowym i wewnętrznym. W pierwszym przypadku przeciw Czechom stanęła cała zachodniochrześcijańska Europa. Fronty wewnętrzne były dwa. Na jednym husyci walczyli z katolikami z Czech, Moraw, Śląska i Łużyc o dominację nad ziemiami Korony Czeskiej. Drugi był starciem między poszczególnymi odłamami husytyzmu: taborytami i bardziej umiarkowanym skrzydłem reprezentowanym przez Pragę. Pod tym względem można husytyzm postrzegać jako wojnę domową. Warto o tym pamiętać, bo heroiczna wersja historii zapamiętała go wyłącznie jako walkę Czech przeciwko całemu światu i ten bratobójczy aspekt bywa przemilczany. ▶

© ALAMY/BE&W, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl acfe9a7195

▶ Symbolem Husytów był kielich. Dlaczego komunia pod dwiema postaciami była dla nich tak ważna?

Zwolennicy Husa uważali przyjmowanie eucharystii pod dwiema postaciami (łac. *sub utraque specie* – dlatego husytów nazywano też utrakwistami) za konieczny warunek zbawienia. Powoływali się przy tym na ewangelię, według nich był to wyraźny nakaz Chrystusa. W ówczesnych czasach nie było to żadne novum: komunia pod postacią chleba i wina funkcjonowała w kościołach prawosławnych na wschodzie, a Kościół katolicki porzucił ten zwyczaj dopiero na początku XIII w. Kielich stał się więc dla husytów symbolem powrotu do Biblii jako źródła czystej chrześcijańskiej wiary. Co ciekawe, w latach 60. XX w. Sobór Watykański II zezwolił na sprawowanie eucharystii pod dwiema postaciami podczas uroczystych okazji. Tym samym po 550 latach husytom oddano trochę sprawiedliwości.

Czy husytyzm należy traktować jako czeską „anomalię"? Zjawisko, które mogło wydarzyć się tylko w tym konkretnym miejscu w Europie i w tym konkretnym okresie? Czy też był po prostu jednym z wielu powstań w późnośredniowiecznej Europie?

Tym, co czyni husytyzm wyjątkowym, jest fakt, że dwie rewolucje – reforma religijna i walka o państwo stanowe – zbiegły się w czasie. To była mieszanka wybuchowa – prawdziwa anomalia na skalę europejską. Husytyzm wykraczał poza wąskie ramy chłopskich rebelii, jak choćby powstanie Wata Tylera w Anglii czy żakeria we Francji. Jeśli chodzi o czas trwania, skalę problemów, szerokie poparcie społeczne i osiągnięcia, husytyzm był jednym z najbardziej znaczących i udanych ruchów rewolucyjnych w skali europejskiej.

Czy husytów można uznać za prekursorów reformacji? Hasła obu ruchów są bardzo podobne.

Jeśli chodzi o koncepcję Kościoła, głoszenie słowa Bożego, komunię pod dwiema postaciami, uproszczenie ceremonii kościelnych czy walkę z monastycyzmem, husytyzm i reformacja miały wiele wspólnego. Różniły się pod jednym zasadniczym względem. Husyci nigdy nie chcieli zerwania z Rzymem. Chcieli zreformować Kościół od środka, bo uznawali chrześcijański uniwersalizm i jedność Kościoła za niepodważalne wartości. Dlatego Kościół utrakwistyczny pozostał autonomicznym elementem Kościoła rzymskokatolickiego w Czechach.

Polskich historyków zawsze fascynowała wspólna polsko-husycka wyprawa zbrojna przeciw zakonowi krzyżackiemu w 1433 r. Dlaczego ten sojusz był tak krótkotrwały? Czy Polska i husyci nie mieli wspólnych interesów?

Wyprawa nad Bałtyk nie stała się zaczynem polsko-czeskiego sojuszu. Husyci patrzyli na Polskę z nadzieją, ale polityka Jagiellonów wobec Pragi była pragmatyczna. Władysław Jagiełło korzystał z pomocy husyckich najemników (głównie przeciwko krzyżakom). Dobre stosunki z Pragą były mu potrzebne, aby wywierać nacisk polityczny na wygnanego z kraju przez husytów króla Zygmunta Luksemburskiego. Polska nigdy nie zdecydowała się jawnie poprzeć husytów ze względu na presję ze strony papiestwa. Jagiellonowie nie chcieli, by przylgnęła do nich łatka stronników „kacerzy". Mimo to husycki program zyskał dużą popularność wśród części szlachty w Małopolsce i na ówczesnym czeskim Śląsku. Podobał im się program, który miał na celu osłabienie Kościoła i zwiększenie roli niższej szlachty w życiu politycznym.

Jaki jest historyczny bilans husytyzmu? Przyniósł on więcej szkód czy pożytku?

Ta kwestia do dziś budzi w Czechach wielkie emocje. Z jednej strony kraj poniósł ogromne straty. Nie tylko gospodarcze, ale i ludnościowe (szacunki mówią o nawet 30 proc. populacji). Czechy bezpowrotnie utraciły też status lidera Europy Środkowej, który osiągnęły w XIV w. za panowania Karola IV. Z drugiej strony husytyzm był niebywale silnym impulsem dla rozwoju czeskiej wspólnoty narodowej. Dzięki niemu czeski przeniknął do języka urzędowego, a nawet do korespondencji. Przyspieszył proces „czechizacji" miast. Był on więc katalizatorem przekształcania wspólnoty etnicznej w późnośredniowieczny naród zjednoczony językiem, terytorium i świadomością wspólnego pochodzenia.

Husytyzm był heroicznym rozdziałem w dziejach Czech. Ludzie tacy jak Žižka walczyli sami przeciw całemu światu. Czy zostawiło to jakieś ślady w czeskiej mentalności?

Współcześni Czesi mają raczej mgliste i zniekształcone wyobrażenie o husyckich postulatach, motywacjach i kontekście walk. Mimo wszystko pamięć o tamtym okresie tkwi głęboko w czeskiej świadomości historycznej. Poczucie, że Czesi bohatersko przeciwstawili się całemu światu i odnieśli zwycięstwo, odżyło szczególnie podczas walk o niepodległość polityczną Czech pod koniec XIX w. i przed rokiem 1918. Echa husytyzmu dodawały otuchy w najciemniejszych momentach XX w., np. podczas niemieckiej okupacji czy kiedy Związek Radziecki zdławił praską wiosnę w 1968 r. Niestety reżim komunistyczny, który celowo gloryfikował ekstremistyczne ruchy husyckie, szukając w nich na siłę podobieństw do idei socjalistycznych, skutecznie zdyskredytował husytyzm w oczach znacznej części społeczeństwa. Obecnie do husyckiej symboliki odwołują się niemal wyłącznie konserwatyści, podkreślając znaczenie tradycji historycznej oraz różne grupy nacjonalistyczne.

Czy husytyzm w jakiś sposób „zaszczepił" Czechom brak zaufania wobec Kościoła?

W debacie publicznej pojawiają się oczywiście takie głosy. Ale byłbym ostrożny wobec szukania przyczyn współczesnych zjawisk w zamierzchłej przeszłości. Jeśli już szukać odległych przyczyn braku zaufania do Kościoła wśród Czechów, to wskazałbym na przymusową rekatolicyzację kraju przez Kościół i Habsburgów po 1620 r., która miała bardzo represyjny charakter. Kolejnym ciosem były gwałtowne reformy oświeceniowe przeprowadzone przez Habsburgów pod koniec XVIII w. Te drastyczne zmiany wraz z rozwojem nowoczesnego racjonalizmu stopniowo osłabiły zaufanie do instytucji państwowych i kościelnych. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. polityka wszystkich rządów była konsekwentnie antykatolicka, a walka reżimu komunistycznego przeciwko wszelkim formom życia religijnego dopełniła dzieła. Każdy z tych epizodów złożył się na to, że katolicyzm – inaczej niż stało się to w Polsce – nie stał się ideologicznym spoiwem czeskiego społeczeństwa.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

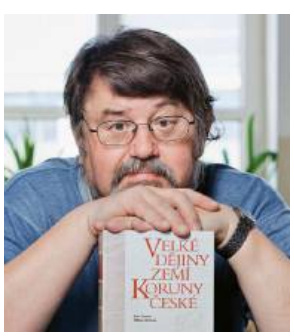

Petr Čornej – czeski historyk, specjalista od okresu husyckiego, były wykładowca na Uniwersytecie Karola w Pradze. Popularyzator historii Czech, autor kilkunastu książek. Biografia Jana Žižki jego autorstwa ukazała się w Polsce nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

© RENE FLUGER/CTK/PAP

eprasa.pl acfe9a7195

Brunatny król czarnego Śląska

Kiedy po wojnie rozliczano Niemców rządzących ziemiami polskimi włączonymi do III Rzeszy, jeden z nich wymknął się sprawiedliwości. Wybrał samobójstwo.

Fritz Bracht, od 1941 r. gauleiter Górnego Śląska

© ULLSTEIN/GETTY IMAGES

JAN DZIADUL

Ulubieniec Adolfa Hitlera Fritz Bracht, z zawodu ogrodnik, dzięki karierze partyjnej wszedł do elity państwa. Jako przywódca NSDAP Prowincji Górny Śląsk i zwierzchnik jej administracji cywilnej odpowiadał za przemysł, zniemczanie społeczeństwa, siłę roboczą i sprawne funkcjonowanie Auschwitz. Takich jak on partyjnych i państwowych szefów ziem polskich włączonych do III Rzeszy führer nazywał swoimi Gau-Könige – królami okręgów. Zdetronizowani w 1945 r. stanęli przed trybunałami. Bracht wolał cyjanek.

Bracht: reaktywacja

Westfalczyk z robotniczym rodowodem w 1917 r. ochotniczo zasilił armię, która przegrała wojnę. Żelazny krzyż nie uleczył frustracji byłego żołnierza niepogodzonego z klęską Niemiec. W 1927 r. w brunatnym mundurze bojówek partyjnych SA (Sturmabteilung) Bracht wszedł do NSDAP z legitymacją partyjną nr 77890. W gronie niezłomnych i zaufanych towarzyszy ujawnił talenty przywódcze, organizacyjne i oratorskie. I silne pięści.

Jego potencjał dostrzegł gauleiter Westfalii – Josef Wagner, który po zdobyciu władzy przez Hitlera awansował w 1935 r. na gauleitera i nadprezydenta wielkiej Prowincji Śląsk – i ściągnął Brachta na swojego partyjnego zastępcę.

Sam Wagner, związany z marszałkiem Hermannem Göringiem, został wiceprzewodniczącym pruskiej Rady Państwa, a po przejęciu przez Göringa kontroli nad gospodarką i objęciu przez niego funkcji pełnomocnika ds. planu czteroletniego – mianowany komisarzem Rzeszy ds. cen. A że częściej bywał w Berlinie niż we Wrocławiu, szefowanie NSDAP na Śląsku przekazał w ręce Brachta, ▶

eprasa.pl acfe9a7195

▶ którego hasłem przewodnim stało się „Śląsk bez Żydów".

W Katowicach Bracht pojawił się we wrześniu 1939 r. z misją zbudowania struktur NSDAP na przedwojennym polskim Śląsku i na terenach włączonych do Rzeszy z województw małopolskiego i kieleckiego: od Żywca przez Oświęcim po Sosnowiec. Mirosław Węcki, autor biografii „Fritz Bracht (1899–1945). Nazistowski zarządca Górnego Śląska", wspomina październikowy event, kiedy przed gmachem przedwojennego Sejmu Śląskiego – zamienionego na siedzibę NSDAP i władz rejencji – zebrało się, według niemieckiej propagandy, 300 tys. Górnoślązaków wdzięcznych za wyzwolenie z polskiej niewoli i przyłączenie do Rzeszy. Na Brachta jako współorganizatora wiecu spłynęły splendor i uznanie samego Hitlera. Także budowa nowych struktur NSDAP została wysoko w Berlinie oceniona. Bracht był na fali. W przeciwieństwie do swojego promotora Wagnera, odwołanego ze wszystkich funkcji w maju 1940 r. za krytykę SS, wyrzuconego z partii, aresztowanego po zamachu na Hitlera i zastrzelonego w 1945 r. przez gestapo w berlińskim więzieniu.

Prymus od brudnej roboty

Kiedy więc z początkiem 1941 r. prowincję Śląsk podzielono na dolnośląską (Wrocław) i górnośląską (Katowice), nie było wątpliwości, kto będzie szefem tej ostatniej. Bracht już po roku meldował, że górnośląskie kopalnie wydobyły rekordowe 100 mln ton węgla – wobec 230 mln ton w wielkich zagłębiach starej Rzeszy! Prof. Ryszard Kaczmarek w książce „Górny Śląsk podczas II wojny światowej" przypomina, że ten sukces był okupiony niewolniczą siłą roboczą, początkowo Żydów, później więźniów KL Auschwitz. Z czasem przy kopalniach, hutach i zakładach zbrojeniowych wyrosło ponad 40 jego podobozów. Machina ruszyła. Po rozpoczęciu przez zachodnich aliantów bombardowań ośrodków przemysłowych w okupowanej Francji, Belgii i w samych Niemczech rosło gospodarcze znaczenie Górnego Śląska. I Brachta.

Jego prowincja stała się wzorem. Kiedy dzięki niewolniczej sile roboczej ruszyła gospodarka, do załatwienia pozostały jeszcze dwie ważne sprawy: rozwiązanie kwestii żydowskiej i zniemczenie prowincji.

Z nominacji Heinricha Himmlera Bracht został komisarzem Rzeszy ds. wzmocnienia niemczyzny i zabrał się do roboty. Dzięki metodzie kija i marchewki na volksliście znalazło się 95 proc. z 1,4 mln mieszkańców polskiego Śląska – w tym ponad milion w III grupie, obejmującej ludność autochtoniczną, częściowo spolszczoną. Wpisywano na nią nawet osoby niemające wcześniej kontaktu z niemieckością. Wystarczyła wzorowa służba lub praca dla III Rzeszy.

Liberalizacja polityki rasowej miała dostarczyć nowych poborowych armii i fachowców przemysłowi, który w miarę bombardowania terenów Rzeszy zyskiwał na znaczeniu. Bombowce alianckie pojawiły się nad Górnym Śląskiem dopiero w połowie 1944 r.

Gauleiter Bracht systematycznie meldował Berlinowi o wzorowym rozwiązywaniu problemu żydowskiego w swojej prowincji. „Problem" liczył blisko 100 tys. Żydów w pasie wschodnim i 25 tys. w byłym województwie śląskim. Spalenie synagog w pierwszych dniach września 1939 r. w Katowicach, Będzinie i Sosnowcu to preludium późniejszych zdarzeń. W 1940 r. rozpoczęto gettoizację społeczności żydowskiej na wschodzie prowincji. Organizacja SS-Brigadeführera Albrechta Schmelta stworzyła na Górnym Śląsku sieć obozów pracy przymusowej, w których trzymano do 50 tys. żydowskich więźniów, wypożyczanych do pracy w przemyśle.

Rachunek był prosty: dobowe utrzymanie więźnia to 1,5 marki. Wynajęcie fachowca to 6 marek dziennie, a zwykłego robotnika – 4 marki. Zarobek trafiał do organizacji Schmelta. Głównymi beneficjentami były struktury SS i górnośląski przemysł.

Od jesieni 1941 r. do Auschwitz transportowano Żydów niezdolnych do pracy. Tylko do lipca następnego roku deportowano do obozu zagłady 19 tys. osób, które nie miały dokumentów zatrudnienia u Schmelta. Wiosną tamtego roku Bracht raportował Himmlerowi o zlikwidowaniu resztek Żydów w Bytomiu, Gliwicach i Zabrzu.

Na początku 1944 r. organizację Schmelta rozwiązano. Nie było już Żydów.

Spektakl śmierci

Po włączeniu Oświęcimia i zachodniej Małopolski do Rejencji Katowickiej w Prowincji Śląsk pod jurysdykcją Brachta wyrósł KL Auschwitz. Choć obóz należał do tzw. suwerennego państwa SS, nie mógłby sprawnie funkcjonować bez wsparcia administracji partyjnej i państwowej. Bez Brachta i jego aparatu władzy.

17 lipca 1942 r. górnośląski gauleiter dołączył do świty reichsführera SS Heinricha Himmlera, wizytującego KL Auschwitz. Bracht bywał często u komendanta Rudolfa Hössa, także z Himmlerem, ale to był dzień wyjątkowy – pokaz eksterminacji więźniów. Od wyładunku na rampie w Birkenau ponad 2 tys. Żydów z Holandii, poprzez selekcję, gazowanie cyklonem B, po spalanie w krematoriach. Teatr dla widzów o silnych nerwach. Szczegóły poznaliśmy dzięki „Autobiografii" Hössa spisanej na początku 1947 r. w więzieniu w Krakowie, tuż przed egzekucją: „Na temat przebiegu zagłady nie wypowiadał się (Himmler – przyp. J.D.) wcale, przyglądał się jedynie w milczeniu. Kilkakrotnie niepostrzeżenie obserwował reakcje biorących w tym udział dowódców SS i mnie". Wieczorem w Katowicach, w willi Brachtów (zbudowanej w 1910 r. dla dyrektora kopalni Giesche) pani domu urządziła przyjęcie na cześć Himmlera i kilku wyższych dowódców SS. Höss przyjechał z żoną. Oprócz niej i Pauli Bracht wszyscy kilka godzin wcześniej byli widzami przerażającego spektaklu śmierci.

Höss zapamiętał: „Podczas gdy w ciągu dnia Himmler był okresami w złym nastroju (...) tego wieczoru w towarzystwie był zupełnie odmieniony. W najlepszym humorze prowadził rozmowy i był uprzejmy, szczególnie w stosunku do obu pań. Mówił na wszystkie możliwe tematy i o książkach (...). Unikał celowo zahaczenia choć jednym słowem o rzeczy widziane w ciągu dnia (...). Himmler, który normalnie prawie nie pił alkoholu, wypił kilka kieliszków czerwonego wina i palił, czego zwykle nie robił. Wszyscy byli pod wrażeniem jego opowiadań i humoru. Nigdy go takim nie widziałem".

Himmler nocował u Brachtów. Razem zjedli śniadanie. Gauleiter pękał z dumy, że gości tak ważną personę. Mógł liczyć na kolejne zaszczyty.

Hitlerowscy dygnitarze bronili się przed sądami nieświadomością programu Zagłady. Bracht nie miałby tego argumentu. Przyjacielem jego domu był prof. Carl Clauberg, osobisty lekarz Pauli, szef szpitala ginekologicznego w Królewskiej Hucie (Chorzów). Autor planów mających zapobiec rozmnażaniu się podludzi. W KL Auschwitz prowadził eksperymenty na Żydówkach – w poszukiwaniu szybkiej metody sterylizacji kobiet. Miał

eprasa.pl acfe9a7195

© NAC

Bracht (z lewej) **w towarzystwie niemieckiego oficera policji dokonuje przeglądu jednostek kompanii honorowej na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Krakowie**

swój pawilon i nieograniczony dostęp do „materiału badawczego". Skwapliwie informował Brachta o postępach.

Zarządzanie z łoża boleści

Kiedy „załatwiono problem żydowski", na gauleitera spadły nowe obowiązki. Jesienią 1943 r. został w swojej prowincji komisarzem obrony Rzeszy. Na razie tylko tytularnie. Górny Śląsk zdawał się daleko od wojny, ale już w połowie 1944 r. ten spokojny świat zaczął się walić pod alianckimi bombami. Prawdopodobnie to na wieść o zbombardowaniu zakładów benzyny syntetycznej w Blachowni i Kędzierzynie Bracht doznał zawału. Trafił do szpitala Grunwald w bezpiecznej Kudowie-Zdroju, gdzie bywał później na badaniach.

Jesienią 1944 r. Górny Śląsk szykował się do obrony jako Twierdza Górnośląska (Festung Oberschlesien). Za cywilną obronę – budowę umocnień, tworzenie volkssturmu (pospolitego ruszenia), ewakuację ludności i administracji prowincji, za wywóz i niszczenie obiektów przemysłowych – odpowiadał komisarz Bracht. Wojskowa obrona spoczywała na barkach Grupy Armii „Środek" dowodzonej przez feldmarszałka Ferdinanda Schörnera. Między kierowaną przez Brachta NSDAP a dowództwem Wehrmachtu iskrzyło. Gauleiter chciał podkreślać prymat partii nad wszystkim, również nad wojskiem.

Generał Hans von Ahlfen z dowództwa armii napisał po wojnie: „Popełniono kardynalny błąd, pozwalając mu (Brachtowi – przyp. J.D.) decydować o obronie Śląska". Zawiedli i gauleiter, i Wehrmacht – w efekcie Twierdza Górnośląska okazała się tworem z papieru. Prawie nietknięty wielki przemysł wpadł w ręce Rosjan.

Drugi zawał dopadł Brachta na wieść o sowieckiej ofensywie. Armia Czerwona zajęła Katowice 27 stycznia 1945 r. Sam gauleiter zdążył opuścić w karetce swoje gniazdko i ponownie dotarł do Kudowy-Zdroju. A że najważniejsze urzędy prowincji ewakuowano do Nysy, Cieszyna i do Hradca Kralove w Czechach, blisko Kudowy – Bracht próbował ze szpitalnego łóżka nadal zarządzać swoim królestwem.

Cicha przystań w kurorcie

20 kwietnia 1945 r. organ NSDAP „Oberschlesische Zeitung" poinformował, że Hitler przekazał władzę partyjną i administracyjną na Górnym Śląsku gauleiterowi Fritzowi Reckmannowi z okręgu Moselland w Westfalii. Brachta ogarnął strach. Tym bardziej że na rozkaz feldmarszałka Schörnera został uwięziony w szpitalnym areszcie honorowym pod zarzutem prób wpływania na decyzje dowództwa wojskowego. Nawet w agonalnej III Rzeszy areszt gauleitera bez zgody Hitlera był niemożliwy. Führer stracił zaufanie do pupila, który zamiast walczyć do krwi ostatniej, zadekował się w uzdrowisku.

Bracht postanowił ocalić dobre imię. Miałby o tym świadczyć telegram wysłany 4 maja 1945 r. do admirała Karla Dönitza, którego Hitler przed samobójczą śmiercią namaścił na prezydenta i wodza Rzeszy. W telegramie gauleiter zgłosił gotowość natychmiastowego podjęcia dotychczasowych zadań „zgodnie z linią naszego poległego Führera". Zapewnił admirała „w imieniu 1,75 mln ewakuowanych Górnoślązaków o wierności do końca". Osiągnął efekt połowiczny. Został uwolniony z aresztu, funkcji nie odzyskał.

To wszystko działo się w ostatnich dniach III Rzeszy. W spokojnej dotąd Kudowie-Zdroju z pozoru wszystko wyglądało po staremu. Prócz rosnącego strachu przed nadciągającą Armią Czerwoną. Kto mógł, zdążał jeszcze na stronę Protektoratu Czech i Moraw, który miał trafić w ręce zachodnich aliantów. Z tej możliwości Paula i Fritz Brachtowie nie skorzystali. Może ze względu na stan zdrowia gauleitera, a może dlatego, że od 1942 r. pojawiał się na londyńskiej liście zbrodniarzy, którzy po wojnie będą rozliczeni i sądzeni.

Tuż po kapitulacji Niemiec, bladym świtem, 9 maja 1945 r. w szpitalu Grunwald znaleziono ciała Fritza Brachta i jego żony Pauli. Kapsułki cyjanku wyzwoliły ich z niechybnych objęć Armii Czerwonej, która wkroczyła do uzdrowiska z 12 na 13 maja. W pokoju w wazonie stały świeże kwiaty od frau Grosch, przełożonej pielęgniarek, której imię zagubiło się w powojennej zawierusze. Bukiet położono na grobie Brachtów pochowanych sekretnie na starym cmentarzu ewangelickim. Później cmentarz rozgrabiono i zniszczono. Zostały tylko zielska i krzaki dzikich malin.

JAN DZIADUL

Więcej o historii Śląska przeczytasz w Pomocniku Historycznym POLITYKI, dostępnym na **sklep.polityka.pl**

KUP TERAZ

eprasa.pl acfe9a7195

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

film

Ponad banał 5/6

Chopin, Chopin!, reż. Michał Kwieciński, prod. Polska, 126 min

Widowisko biograficzne Michała Kwiecińskiego, który zyskał renomę świetnego reżysera dzięki przejmującemu dramatowi wojennemu „Filip", przedstawia Fryderyka Chopina zupełnie inaczej niż w znanej Polakom ikonografii. Film portretuje legendarnego XIX-wiecznego kompozytora jako postać genialną, autystyczną, zamkniętą w świecie swojej muzyki. Adorowany przez elitę francuskiego dworu, mimo pozorów bogatego życia erotycznego bohater Kwiecińskiego nie umie kochać żadnej z kobiet, wszystkie swoje emocje przelewa na muzykę. Zamiast powielać romantyczno-patriotyczny banał, „Chopin, Chopin!" przyjmuje formę nietypowej elegii, przypomina szybko skaczącą po kluczowych momentach życia medytację o umieraniu. Już na samym początku lekarz diagnozujący gruźlicę daje Chopinowi kilka lat życia i tłumaczy, jak będzie wyglądała jego agonia. Chopin to rozumie, lecz na zewnątrz przybiera maskę rozbawionego dandysa, że niby nic szczególnego się nie dzieje. Na kolejne ciosy (śmierć przyjaciela, odejście cudownego dziecka Carla Filtscha) reaguje podobnie. Na skupionej twarzy grającego go **Eryka Kulma** zawsze w takiej chwili pojawia się delikatny uśmieszek.
Cała fabularna układanka niezwykłego spektaklu śledzącego zmagania z chorobą, w tle której obserwujemy zmierzch monarchii, kres dotychczasowego świata, zbudowana jest na tym wyparciu i walce, by odsunąć nieuchronny koniec. Pierwsze dźwięki to bzyczenie much wiedzionych zapachem bliskości śmierci (ten sam chwyt zastosował Andrzej Wajda w „Nastazji"). W tym świadectwie gorzkiego losu jest melancholia, tragizm, zaduma, a także reżyserska odwaga, by pójść za własną wizją, nie ulegać narodowej histerii ani presji odwzorowywania historycznych realiów jeden do jednego – i stworzyć gorący, przemawiający do współczesnej wrażliwości obraz Chopina oraz jego muzyki, wyprzedzającej jazz i zwiastującej muzyczne rewolucje XX w.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Wszystko nie tak 5/6

Kulawe konie, sezon 5, twórca serii: Will Smith, Apple TV+, 6 odc.

Taka sztuka wcale nie udaje się często: piąty sezon (dwa kolejne już w produkcji), a serial wciąż trzyma wysoki poziom. Efekt świeżości może już uleciał, lecz to wciąż jedna z najlepszych produkcji, jakie mają do zaoferowania serwisy streamingowe. Formuła pozostaje niezmieniona – skompromitowani agenci brytyjskiego wywiadu, na czele z błyskotliwym abnegatem Jacksonem Lambem (**Gary Oldman**), zostają wplątani w aferę, która teoretycznie ich przerasta, lecz w praktyce pozwala udowodnić, że choć „kulawe konie" zostały zepchnięte

serial

na szpiegowski margines, wciąż nadają się do akcji. Tym razem ktoś próbuje zabić jednego z nich, a próby zamachu okazują się połączone z serią aktów terrorystycznych, które mają zdestabilizować Londyn w przededniu wyborów burmistrza. Scenariusz inteligentnie łączy elementy szpiegowskiego thrillera i czarnej komedii, a duża w tym zasługa powieściowego oryginału. Twórcy serialu dość wiernie trzymają się fabuły książek Micka Herrona, a co ważniejsze – potrafią odtworzyć ich specyficzny klimat z akcją toczącą się często w brudnych zaułkach, peryferyjnych dzielnicach miasta i podupadającym biurze „koni", cuchnącym kurzem, rozpaczą i dziurawymi skarpetami Lamba. Lecz zarazem pisana przez Herrona seria – i oczywiście jej telewizyjna adaptacja – za gatunkową fasadą ukrywają sporo gorzkiej prawdy o współczesnym świecie, coraz bardziej urządzanym przez fake newsy, media goniące za sensacją i prawicowych oszołomów.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© JAROSŁAW SOSIŃSKI/AKSON STUDIO, APPLE TV+, NATALIA KABANOW, JERZY BOŃCZYK/FOTONOVA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl acfe9a7195

scena

Gra o duszę 4/6

AlphaGo_Lee. Teoria poświęcenia,
tekst i reż. Natalia Korczakowska, Studio Teatrgaleria w Warszawie

Czy sztuka przetrwa w dobie rozwoju sztucznej inteligencji? Czy jako ludzkość mamy wpływ na jej kształt i zastosowanie, czy jesteśmy i będziemy coraz bardziej jak te klonowane owce Dolly z wracających przez cały spektakl animacji stworzonych z użyciem AI? Kanwą nowej produkcji Teatru Studio jest zorganizowana przez Google w 2016 r. w Seulu rozgrywka między Lee Sedolem, koreańskim mistrzem starożytnej gry go, niezwykle skomplikowanej i popularnej w Azji, przez wielu uznawanej za rodzaj sztuki, a programem AlphaGo opartym na samouczącej się sztucznej inteligencji. Z pięciu gier Sedol zdołał wygrać tylko jedną, druzgocące zwycięstwo maszyny uznawane jest za symboliczny (i piarowy) punkt przełomowy w rozwoju AI i świata. Korczakowska zderza elektronikę (ekrany, kamery i mikroporty) z żywym planem, komputerowe animacje z ekspresyjnym tańcem, pokazuje pojedynek, zagląda za jego kulisy i do głów bohaterów. Mającym rzeczywiste odpowiedniki postaciom, jak Lee Sedol (Cat Kim), Demis Hassabis (Daniel Dobosz), szef spółki DeepMind, czy programista Aja Huang (**Hiroaki Murakami**), towarzyszą bohaterowie symboliczni: reprezentant bezwzględnego kapitału i wojska (Halina Rasiakówna) i dziennikarka pokazująca koszty tych nowych rządów efektywności (**Maja Pankiewicz**). Reżyserka przed premierą odwoływała się do antyku, ale spektaklowi bliżej do średniowiecznego moralitetu – walki o duszę człowieka, może ostatniej w historii.

ANETA KYZIOŁ

scena

Levele Potockiego 3/6

Rękopis znaleziony w Saragossie. Dziedzictwo Gomelezów,
reż. Grzegorz Jarzyna, Teatr Polski w Warszawie

W XIX-wiecznym szkatułkowym dziele Jana Potockiego w owianych złą sławą hiszpańskich górach Sierra Morena spotykają się czasy, religie, uczucia i idee. Grzegorz Jarzyna i Roman Pawłowski-Felberg, scenarzyści spektaklu w Teatrze Polskim, potraktowali to jako inspirację do własnej opowieści. Trzyipółgodzinna, wykorzystuje konwencję modnego gatunku filmowego, w którym bohater dostaje zaproszenie do uczestnictwa w tajemniczej grze. Młody Alex (**Wojciech Siwek**) przechodzi kolejne „levele" w grze osadzonej w uniwersum powieści Potockiego, a zadania wyznacza mu głos mistrza (Andrzej Seweryn). Z czasem się okazuje, że prawdziwym celem gry jest sukcesja. Oto ród Gomelezów, którego członkowie zachowują się jak bohaterowie serialowej „Sukcesji", właśnie szuka następcy tronu. Póki twórcy trzymają się bliżej oryginalnego tekstu, spektakl, rozgrywany w medytacyjnym rytmie, z piękną, monumentalną i minimalistyczną jednocześnie scenografią, interesującymi wizualizacjami i dobrym aktorstwem, może się podobać. To wrażenie pryska w drugiej części, gdy scenarzyści próbują realizować własne ambicje i pokazać świat pełen przemocy (od Biblii po wycharczany monolog Danuty Stenki w roli królowej Montezumy z wezwaniem do pomszczenia zbrodni kolonizatorów), który ma naprawić sukcesor Gomelezów. Ambicjom nie sprostały umiejętności literackie i góry Sierra Morena urodziły mysz. AK

galeria

Maskarada 5/6

Czarny karnawał. Ensor/Wojtkiewicz,
Muzeum Narodowe w Warszawie,
do 11 stycznia 2026 r.

Jeden z ulubionych patentów muzealników to tzw. wystawy konfrontacyjne. Zazwyczaj zestawia się ze sobą gigantów: van Gogha z Gauguinem, Caravaggia z Rembrandtem, Mondriana z Hilmą af Klint. Już za miesiąc w Londynie obok siebie zawisną Turner i Constable. W Warszawie zderzenie jest zaskakujące i oczywiste zarazem. Ensor to gwiazda światowej sztuki. Żył długo, namalował sporo. Tymczasem Wojtkiewicz to tylko jeden z naszych narodowych mistrzów. Żył dramatycznie krótko, pozostawił po sobie dość skromny dorobek. A równocześnie – i to połączyło ich na wspólnej wystawie – poruszali się w zbliżonych uniwersach artystycznych, w których królowały groteska i ironia, nieco melancholii, duch anarchii, Eros splątany z Tanatosem, a wszystko to ubrane w kostiumy lalek, masek, karnawałów skrywających ludzkie namiętności. Ściągnięcie do Polski prac Ensora to duży sukces, bo chętnych do pokazywania jego prac jest na świecie wielu. Może nie ma tych dzieł na wystawie aż tak wiele, ale ewentualny niedosyt z naddatkiem zaspokaja ogromny zespół prac Wojtkiewicza. A także ciekawy suplement lalek, kukiełek, masek oraz obrazów innych artystów z epoki, którzy zahaczali o podobne co bohaterowie wystawy, formy i treści malarskie. Od Malczewskiego, Wyczółkowskiego i Makowskiego po Féliciena Ropsa. Bez wątpienia zapowiada się frekwencyjny hit jesieni.

PIOTR SARZYŃSKI

Witold Wojtkiewicz, „Porwanie królewny" („Ucieczka") z cyklu „Z dziecięcych póz", 1908 r.

eprasa.pl acfe9a7195

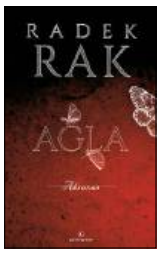

Baśń o rewolucji 5/6

Radek Rak, **Agla. Abraxas**, Wydawnictwo Powergraph, Warszawa 2025, s. 768

Ostatnia podróż do świata magii, techniki i terroru, spowitego mrokiem wszechobecnego Cara. W finałowym tomie trylogii – choć wzorem tolkienowskiego „Władcy Pierścieni" należałoby raczej „Aglę" nazywać obszerną powieścią podzieloną na trzy woluminy – Radek Rak skupia uwagę czytelników na dwojgu bohaterów: Sofji Kluk, która nie ustaje w próbach nawiązania kontaktu z zaginionym ojcem, oraz Tymianie Drakowie, który z syna ubeka stał się nieco mimowolnym przywódcą rewolucji goblinów. Ale w tle dzieje się znacznie więcej. To proza niesłychanie gęsta od tematów i emocji, zdarzeń i postaci. Niby young adult, lecz poważna, niepokorna i dzika. Niby fantasy, lecz z obfitą domieszką steampunku, powieści łotrzykowskiej i przygodowej. Baśń o przeznaczeniu, odpowiedzialności i bardzo gwałtownym wchodzeniu w dorosłość, a zarazem politycznie (a może anarchistycznie) zaangażowana rzecz o tyranii i rewolucji, a także nieprzewidywalnych implikacjach obu. Radek Rak domyka powieściowe wątki, a jednocześnie zostawia czytelnikom złożony, niezwykły świat, który warto dalej eksplorować: w „Agli" siedzą wszak obok siebie Lovecraft, Schulz, Tolkien, Le Guin i Leśmian oraz dziesiątki innych twórców i twórczyń będących dla autora inspiracją. Z tych puzzli Rak ułożył prozę oryginalną, fascynującą, bogatą. „Znane i kochane historie za każdym razem ukazują coś nowego i wzbudzają nowe myśli, bo książka jest tym, co dzieje się w głowie czytelnika, a nie tym, co napisano na papierze", zauważa autor (a wraz z nim Sofja Kluk). Także „Agla" czytana już jako zamknięta całość pozwala się odkryć na nowo.

JAKUB DEMIAŃCZUK

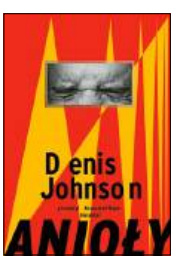

Piekielnie dobre 5/6

Denis Johnson, **Anioły**, przeł. Krzysztof Mejer, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2025, s. 240

Książka „Syn Jezusa" Denisa Johnsona to rzecz kultowa i kapitalna. Ciut starszymi „Aniołami" debiutował w latach 80. jako prozaik, wcześniej publikował wiersze. Ależ to się czyta! Ameryka u Johnsona ma tonację wyłącznie noir. Bohaterów autor też nie pudruje. Są potrzaskani, przegrani z założenia, błądzą i ciągnie ich do kłopotów jak ćmy do światła. To niższa klasa biała, gdyby chcieć ich jakoś zaklasyfikować, a Johnson świetnie naśladuje ich mowę, pisze ze starannością poety i reportera zarazem. Jamie, z dwiema uwieszonymi na niej córkami, ucieka z przemocowego związku i „jakoś tak wyszło", że wiąże swój los z napotkanym Billem Houstonem, sąsiadem z autobusu. Dzieci traktuje źle, jak balast, jeszcze gorzej traktuje ją otoczenie („Wyglądała jak do naprawy. Jakby ją ktoś popsuł i wyrzucił"). Bill ma za sobą służbę w marynarce. I więzienie. Pomiata Jamie, ale i wyciąga do niej rękę w najtrudniejszym momencie. Oboje są nieszczęśnikami, do których złe decyzje lepią się same. Johnson szuka dla nich odkupienia. To nie jest świat złożony z dobrych i złych ludzi – są źli i są jeszcze gorsi. Jak mężczyzna w czerwonym gajerze, „bohater" najbardziej szokującej sceny. Zestawianie autora z Raymondem Carverem czy Davidem F. Wallace'em, jeśli chodzi o klimat i powinowactwo tematów, wydaje się uzasadnione. U nas byłaby to może Dorota Masłowska, tylko w brutalniejszym wydaniu.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

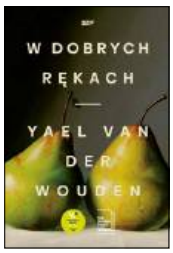

Gorliwość uwodzenia 4/6

Yael van der Wouden, **W dobrych rękach**, przeł. Justyn Hunia, Znak, Kraków 2025, s. 400

Akcja „W dobrych rękach", debiutanckiej powieści Yael van der Wouden, która znalazła się na shortliście Bookera, osadzona jest w latach 60. XX w. na holenderskiej prowincji Overijssel. Naprawdę jednak przez długi czas nie wychodzi poza ściany domu trójki rodzeństwa: Isabel, Louisa i Hendrika. Powieść, uhonorowana też nagrodą Women's Prize for Fiction, łączy konwencję psychologicznego thrillera z elementami sagi rodzinnej, romansu oraz powieści obyczajowej. Mikrokosmos odmalowanych w modernistycznym stylu rodzinnych relacji okazuje się grząskim – więc idealnym – gruntem dla intrygi pełnej manipulacji, skrywanych sekretów, romansu. W rodzinnym domu Isabel pojawia się nieznajoma, a jej wizyta wywraca życie bohaterki do góry nogami. Konstruowana w książce dynamika kobiecej relacji pozwoli autorce pytać: „Czy uczucie pragnienia może być rewersem odrazy?". Debiut Yael van der Wouden to pulsująca erotyczną energią, wciągająca, melodramatyczna opowieść o obsesji, pragnieniu i resentymencie. Tematycznie i formalnie „W dobrych rękach" przypomina nieco prozę Iana McEwana czy Naomi Alderman. Van der Wouden gorliwie, momentami na granicy naiwności, stara się wpisać jednostkowy, odsłaniany w serii pełnych napięcia retardacji dramat w kontekst powojennej Europy. Autorkę interesuje relacja między holenderską tożsamością a żydowskością. Choć książka nie zawsze nadąża za deklarowanymi ambicjami, już dla samego języka i suspensu warto po nią sięgnąć. I – jak w powieściowym świecie – pozwolić się uwieść.

ALEKSANDRA MAJAK

© ANDRZEJ BANAŚ/POLSKA PRESS/EAST NEWS, MONOLITH FILMS, MP (7)

eprasa.pl acfe9a7195

Nie tylko rock 5/6

Geese, **Getting Killed**, Partisan

Sensacja, którą można było przewidzieć, śledząc losy formacji Geese (Gęsi) z Brooklynu i jej lidera Camerona Wintera. Ich poprzedni album „3D Country" brzmiał bardzo obiecująco, a nagrania Wintera z albumu „Heavy Metal" – jeszcze lepiej. Płyta „Getting Killed" splata kilka pozornie odległych wątków: wyobraźnię melodyczną Radiohead, mocną ekspresję wokalną o punkowym charakterze i gęste linie rytmiczne rodem ze starych albumów Toma Waitsa albo z płyt Can. Sporo tu wątków bluesowych i soulowych, świetny warsztat łączy Amerykanów z młodymi brytyjskimi formacjami w rodzaju Black Country, New Road. I podobnie jak oni wszyscy Geese swojej muzyki, ciągle gitarowej, relatywnie prostej, nie boją się urozmaicać, iść wręcz w stronę art rocka. To oczywiście muzyka retro, jak zdecydowana większość gitarowych propozycji, z jakimi mamy dziś do czynienia, ale muzycy Geese posługują się na tyle indywidualnym, a zarazem eklektycznym językiem, by podobać się bardzo różnorodnej publiczności.

BARTEK CHACIŃSKI

Jak nie dla siebie 4/6

Błażej Król, **Popiół**, Sony

Na ósmej solowej płycie Błażej Król wychodzi ze strefy komfortu, ale nie zmienia charakteru. To pierwsze gwarantuje producencka opieka Pawła Krawczyka (Hey), która sprawia, że rzecz idzie tak blisko rockowego mainstreamu, jak jeszcze nigdy w przypadku nagrań Króla. Do tego dochodzi zestaw bezpośrednich tekstów, których autor rzadziej chowa się za metaforami, wychodzi z ukrycia („Wygrałem w chowanego, ale w tym cały ambaras, że nikt ze mną nie bawił się w tę grę"), opowiadając o swoich emocjach i portretując człowieka na progu kryzysu wieku średniego, pierwszego zwątpienia we własne siły. Odsłania obawy, wystawia na widok emocjonalne rany, zarazem jednak w tekstach jest chyba najpewniejszy jak dotąd, precyzyjny – jakby pisał dla kogoś innego. I interpretuje to z koncentracją na liniach wokalnych, jak gdyby był wykonawcą pisanych przez kogoś innego tekstów. Fenomen ewolucji Króla polega na tym, że nawet w tej dość skrajnej stylistycznie i odmienionej lirycznie propozycji ani na moment nie przestaje być sobą. BCH

Sztuczne piosenki 2/6

Ed Sheeran, **Play**, Atlantic

Brytyjski piosenkarz wydaje się tu sobą przez minutę i 20 sekund pierwszego utworu. W dalszej części płyty pozbył się atutów (wyuczonej na ulicy umiejętności swobodnego śpiewania przy akompaniamencie jedynie zapętlanej gitary) i poszedł ścieżką wytyczoną przez międzynarodowe grono producentów muzyki pop, w znacznej mierze syntetyczną i programowaną. A zarazem skrojoną pod algorytmy i nieodróżnialną od efektów działania sztucznej inteligencji. „Play" wydaje się dowodem na to, że AI, w deklaracjach odrzucana przez większość artystów, i tak rządzi ich wyborami. W przypadku albumu artysty, którego odsłuchy liczy się już w miliardach, jest to spodziewane, a jednak niewiarygodne. Trudno bowiem uwierzyć w to, jak potwornie schematyczny jest Sheeran w przeboju „Azizam" albo w utworach „In Other Words" czy „A Little More". Trudno nie skonstatować, jak źle wypada jako raper, jak sztucznie brzmią nawiązania do muzyki indyjskiej czy perskiej i jak mogło to przejść przez sito wydawnicze w firmie muzycznej. O ile o muzykę komukolwiek tu chodziło. BCH

Nowy początek

41. Warszawski Festiwal Filmowy,
Warszawa, 10–19 października

Nowy dyrektor programowy Warszawskiego Festiwalu Filmowego Bartłomiej Pulcyn zapowiadał rewolucję, nie ewolucję, a efekt zmian widać już na poziomie doboru filmów. Znów – po długiej przerwie – pojawią się głośne tytuły z Cannes, Wenecji i Toronto, a odkryciom, pokazywanym jak zwykle w konkursach, w ramach sekcji Konfrontacje (nawiązanie do legendarnego przeglądu z lat 70. i 80.) towarzyszyć będą seanse produkcji już nagradzanych i fetowanych. Tegoroczny festiwal otworzy najnowszy **film Jana Komasy „Rocznica"**, nakręcony w Stanach Zjednoczonych z udziałem hollywoodzkich aktorów (m.in. Diane Lane i Kyle'a Chandlera), a w programie znalazły się m.in. „Głos Hind Rajab" Kaouther Ben Hanii (Srebrny Lew na festiwalu w Wenecji), „Dracula" Radu Jude, „Tajny agent" Klebera Mendonçy Filho (nagroda dla najlepszego reżysera w Cannes), „To był zwykły przypadek" Jafara Panahiego (Złota Palma w Cannes), „Dom dobry" Wojciecha Smarzowskiego i „Zima pod znakiem wrony" Kasi Adamik. JD

Szczegóły: **wff.pl**

Azjatyckie s(t)ymulacje

Dialog – Wrocław. 11. Międzynarodowy Festiwal Teatralny,
12–18 października

„Dialog" w tytule festiwalu, stworzonego przez reżyserkę i dyrektorkę teatrów Krystynę Meissner w 2001 r., oznaczał spotkanie Zachodu i Wschodu (wtedy chodziło głównie o Europę). Dziś jej następca, antropolog kultury, prof. Uniwersytetu Wrocławskiego i krakowskiej AST Mirosław Kocur, rozumie Wschód zgodnie z duchem czasu i na 11. edycję zaprasza przede wszystkim spektakle z Azji, a tytułowy dialog toczy się też pomiędzy obecnością performera i nowymi technologiami, pomiędzy sztuką i nauką. Tematem są „S(t)ymulacje": „Zaprosiliśmy artystki i artystów, którzy tworzą poruszające symulacje rzeczywistości, by nas stymulować do refleksji nad przyszłością" – tłumaczą organizatorzy. W programie jest 12 produkcji, m.in. autorstwa Tajwańczyka Huanga Yi, łączącego żywy plan z nowymi technologiami, teatru butoh Sankai Juku z Japonii, Tao Dance Theater z Pekinu czy twórcy teatru cyfrowego Ryoichiego Kurokawy, Polskę reprezentują m.in. ostatnie spektakle Krzysztofa Warlikowskiego i Katarzyny Kalwat z warszawskiego Nowego Teatru. AK

Szczegóły: **dialogfestival.pl**

eprasa.pl acfe9a7195

Adolf Ost „Pojawienie się ducha", przed 1864 r. Poniżej: Karl Wilhelm Diefenbach „Zjawa", po 1900 r.

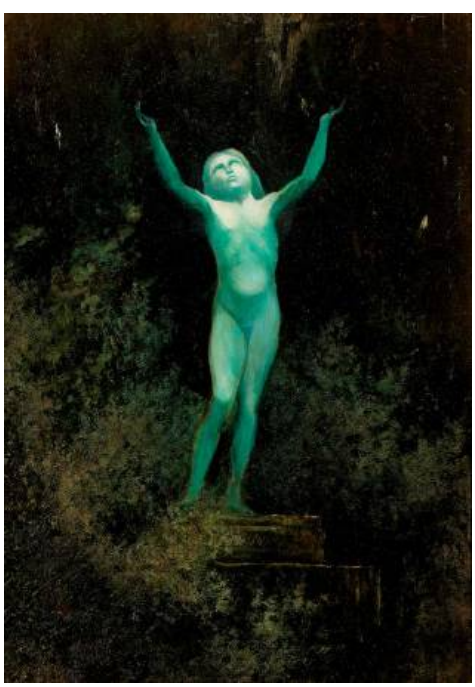

Dinozaury aury

PIOTR SARZYŃSKI

Fascynacja tym, co nadprzyrodzone, przyszła w czasach naukowych odkryć. Wystawa w wiedeńskim Leopold Museum opowiada o wielkim romansie sztuki i okultyzmu.

eprasa.pl acfe9a7195

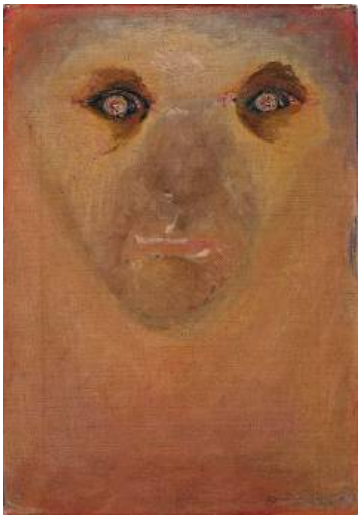

Egon Schiele „Śmierć i człowiek", 1911 r. Arnold Schönberg „Spojrzenie", 1910 r. František Kupka „Sen", ok. 1909 r. Niżej: **maszyna do ćwiczeń, ok. 1895 r.**

Gdy artyści otwierali oczy szeroko, spod ich pędzla wychodziły wszystkie te realistyczne martwe natury, portrety, pejzaże czy rodzajowe sceny. Gdy je przymykali, natychmiast pojawiały się duchy, metafizyka i stany nie z tej ziemi. Wszechobecne chrześcijaństwo z jego aniołami i diabłami, gadającym gorejącym krzakiem czy chodzeniem po wodzie stanowiło niezłe podglebie do artystycznego fantazjowania o rzeczach paranormalnych. Stąd wspaniała parada okultystyczno-duchowych wizji: od Hieronima Boscha po Francisca Goyę.

Wystawa otwarta w wiedeńskim Leopold Museum pozostawia jednak na boku całe to historyczne bogactwo niesamowitości i koncentruje się na jednym tylko momencie, w kontekście związków okultyzmu i sztuki szczególnym – przełomie XIX i XX w. Czas to był dziwny. Z jednej bowiem strony rozwijał się kapitalizm, a wraz z nim postęp techniczny, racjonalizm, materializm, które przecież z jakimikolwiek bytami nadprzyrodzonymi raczej się nie kojarzą. A jednak twórcy wszelkiej maści masowo fascynowali się duchowością i tym, co niezrozumiałe i tajemne. Od Arthura Rimbaud, Charles'a Baudelaire'a, W.B. Yeatsa, poprzez Richarda Wagnera i Claude'a Debussy'ego, aż po Oskara Wilde'a i Augusta Strindberga. Okultyzm zawładnął wyobraźnią twórców epoki.

Skąd się owa fascynacja siłami nadprzyrodzonymi wzięła? Po pierwsze, z narastającej pod koniec XIX w. krytyki materializmu społeczeństwa uprzemysłowionego. A naturalną reakcją była ucieczka w sfery będące jego zaprzeczeniem: duchowe, bliskie natury, umykające kontroli rozumu.

Paradoksalnie, owemu trendowi sprzyjały... osiągnięcia nauki. W 1886 r. Heinrich Hertz dokonał pierwszej doświadczalnej emisji fal elektromagnetycznych. W 1895 r. Wilhelm Roentgen odkrył promieniowanie X, a rok później Antoine Becquerel – promieniowanie jądrowe. Te wydarzenia umacniały w przekonaniu, że są różne siły, których nie widzimy, a które mają wpływ na nasze życie, otaczają nas, przenikają.

Potężnym wzmocnieniem dla zainteresowania paranormalnymi zjawiskami stało się Towarzystwo Teozoficzne, którego twórczynią i najjaśniejszą gwiazdą była Helena Bławatska, z pochodzenia Rosjanka, pisarka, mistyczka, medium. Założone zostało w 1875 r. w Nowym Jorku, ale jego idee łatwo i szybko się rozpowszechniły, głównie w Europie. Była to mieszanka koncepcji chrześcijańskich i dalekowschodnich, mistyków średniowiecznych i różnych myśli wybranych z poszczególnych religii. I w salonach intelektualnych oraz artystycznych Europy namiętnie dyskutowano o Absolucie, siłach kosmosu, reinkarnacji, duchach itd. Okultyzm mieszał się ze spirytyzmem, teozofia z kultem ognia, buddyzm z hinduizmem, a wywoływanie duchów z poszukiwaniem ludzkiej aury itd.

Czy to wszystko było tylko duchowo-intelektualnym kaprysem czasów, niegroźną modą, po której przyszły następne? Otóż nie. Twórcy wystawy owe okołookultystyczne fascynacje traktują bardzo poważnie, jako istotny element kształtujący... nowoczesne, modernistyczne społeczeństwo. To o tyle zaskakujące, że dziś podobne stany ducha kojarzymy raczej z konserwatyzmem albo i z myślowym zacofaniem. Tymczasem ponad sto lat temu okultyzm nie tylko karmił się naukowymi osiągnięciami, o czym już była mowa, ale też sam stanowił zachętę do nowoczesnego myślenia, ▶

© ALBERTINA, THE JACK DAULTON COLLECTION/MARTY KELLY, LEOPOLD MUSEUM, ARNOLD SCHÖNBERG CENTER, BILDRECHT WIEN, THOMAS MAGYAR FOTODESIGN

eprasa.pl acfe9a7195

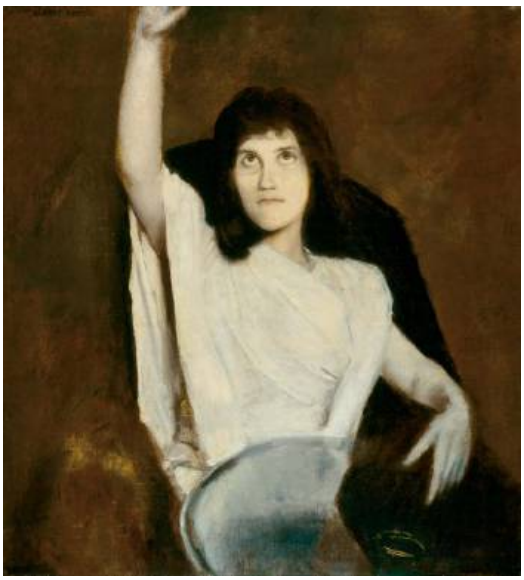

Adolf Hirémy-Hirschl „Dusze nad Acherontem", 1898 r. Albert von Keller „Spirytualistyczne poruszenie bransoletką", 1887 r.

▶ przełamywania dotychczasowych konwenansów, zastanych reguł, społecznych standardów.

Mówiąc w największym skrócie, kontakt z duchami owocował przede wszystkim afirmacją... zdrowego trybu życia. Okultystyczne praktyki szły więc zazwyczaj w parze ze skłonnością do naturyzmu i kontaktu z przyrodą, z wegetarianizmem, z rezygnacją z używek (alkohol, tytoń), z kultem fizycznej aktywności (szczególnie bliskie duchom były wspinaczki górskie), ale też ze stosowaniem medycyny alternatywnej. Odrzucano konwencje tradycyjnego ubioru, wychowania, a nawet tradycyjnego tańca. Nadal szanowano utwory wielbionego nad Dunajem Johanna Straussa, ale modne stało się odrzucenie klasycznych kroków walca i zastąpienie ich swobodnym, odrzucającym reguły, nieskrępowanym tańcem. Nawet na wychowanie dzieci spojrzano o wiele bardziej liberalnym okiem. Można więc zaryzykować tezę, że wiedeńskie duchy przełomu wieków miały bardzo progresywne poglądy. A wszystkie te przemiany obyczajów na wystawie starannie udokumentowano malarstwem, ale też fotografiami, filmami, a nawet eksponatami. Niekiedy intrygującymi, jak urządzenia z siłowni z końca XIX w. czy planszowe gry dla dzieci.

Idee okultyzmu wychodziły oczywiście dużo szerzej, poza codzienne życie. W Leopold Museum szczególną uwagę poświęcono trzem postaciom, których twórczość uznano za silnie i ciekawie powiązaną z mistycyzmem. To kompozytorzy Richard Wagner oraz młodszy od niego o dwa pokolenia Arnold Schönberg. Pierwszy nasycał duchowością swe opery, a drugi wierzył, że nawet muzyka atonalna, której był twórcą, wymaga poza myśleniem analitycznym także głębokiego duchowego przeżycia. I postać trzecia: filozof Friedrich Nietzsche, który czerpał w swych rozważaniach z ezoteryki, a to, co głosił, miało z kolei ogromny wpływ na różne okultystyczne ruchy poszukujące alternatywnych ścieżek duchowych.

Rzecz ciekawa, że na austriackiej wystawie dyskretnie pominięto mroczną ścieżkę, dla której bezpośrednim początkiem okazał się okultyzm przełomu wieków. Myślę o ariozofii, czyli doktrynie, która wychodząc od teorii ezoterycznych, pożeglowała w złowróżbną stronę rozważań o wyższości aryjskiej rasy, tworzących doskonałe podglebie dla rozwoju nazizmu. A stali za nią dwaj stuprocentowi Austriacy: dziennikarz i powieściopisarz Guido von List oraz cysterski mnich Joseph Adolf Lanz (występujący jako Jörg Lanz von Liebenfels).

Nie zabrakło natomiast w ekspozycji narracji poświęconych temu, co z okultyzmem kojarzy się w sposób najbardziej oczywisty. Sporo jest więc obrazów przedstawiających popularne w owych czasach praktyki mediumistyczne (łączące się z duchami kobiety – bo to był głównie ich przywilej – stanowiły niezwykle wdzięczny temat malarstwa). Sporo też świadectw tzw. transowego, wykonywanego w hipnozie tańca, z jego największą europejską gwiazdą Magdeleine Guipet. Warto przypomnieć, że tacy twórcy, jak Egon Schiele, Oskar Kokoschka, Max Oppenheimer czy Richard Gerstl, postrzegali swe modelki i modeli jako aurystyczne byty. I owa aura przeziera z ich wielu pokazanych na wystawie płócien. Ale chyba najwięcej istot nieziemskich unosi się na licznie zebranych w ekspozycji płótnach Karla Wilhelma Diefenbacha. Była to osobliwa postać, jeden z proroków stylu życia, który wiele dekad później propagował ruch hipisów. Jego poglądy społeczne były jak na owe czasy rewolucyjne (odrzucał m.in. instytucję Kościoła i małżeństwa, był zadeklarowanym naturystą), ale same obrazy uderzają dziś nachalną egzaltacją i naiwną symboliką.

Wystawa w Leopold Museum, choć obszerna, stanowi raczej studium konkretnego przypadku: historyczno-artystyczne zbliżenie na fenomen zapatrzonego w ezoteryzm Wiednia. To pozwoliło zdecydowanie pogłębić obraz i pokazać jego rozliczne aspekty, ale niesie w sobie też pewien feler. Niewiele tu miejsca na to, co działo się poza stolicą Austrii. Jest kilka prac Edvarda Muncha i Wassilego Kandinskiego, są dwa uduchowione pejzaże Augusta Strindberga. I to z grubsza tyle. W kwestiach spirytystycznych i im pokrewnych stolica Austro-Węgier w owym czasie, owszem, przodowała w Europie. Sporo się jednak działo także w Wielkiej Brytanii, we Francji i w innych krajach, na wystawie raczej niezauważonych.

eprasa.pl acfe9a7195

Wystawa zaniedbuje też wątek łączący okultyzm z... narodzinami sztuki abstrakcyjnej. Pojawia się on, ale w dużo mniejszym zakresie, niż na to zasługuje. Tymczasem z historycznych przekazów wynika, że praktycznie wszyscy malarze, których dziś zgodnie uznaje się za pionierów sztuki abstrakcyjnej, aktywnie interesowali się kwestiami metafizycznymi, a nawet silnie angażowali w okultystyczne praktyki. Tu warto przypomnieć zorganizowaną w 1995 r. w Schirn Kunsthalle we Frankfurcie wystawę, w całości poświęconą zagadnieniom relacji między sztuką awangardową a spirytyzmem w latach 1900–15.

Wassily Kandinsky fascynował się praktykami spirytualistycznymi jako jednym z elementów budujących jego rozważania o duchowości sztuki. Piet Mondrian teozofią zainteresował się jeszcze na studiach. W 1911 r. namalował wizjonerską „Ewolucję", a członkiem Towarzystwa Teozoficznego – o czym się nie pamięta – pozostał do końca życia. Twierdził też, że zaproponowany przez niego neoplastycyzm jest „przykładem sztuki teozoficznej". Z kolei Kazimierz Malewicz uważał, że wiara w niewidzialne siły doprowadziła go do suprematyzmu, a geometria w malarstwie to furtka ku transcendencji.

Zasłużony dla początków abstrakcji František Kupka sam był medium na seansach spirytystycznych. W obrazach Mikołaja Čiurlionisa historycy sztuki doszukują się wielu symboli i odniesień do teozofii. Ale najbardziej spektakularny jest przykład pionierki abstrakcji, szwedzkiej malarki Hilmy af Klint, która zapewniała, że wszystkie jej geometryczne obrazy powstawały poza jej świadomością, pod kierunkiem i z inspiracji prowadzących ją Wielkich Mistrzów, pochodzących nie z ziemskiego porządku.

Oczywiście i w Polsce był czas mody na seanse spirytystyczne, jeszcze za czasów Adama Mickiewicza, który brał w nich udział, a później pewną popularnością cieszyły się teorie Madame Bławatskiej. Ale wśród twórców okultyzm mościł się u nas z trudem. Może ze względu na silny katolicyzm? I może dlatego tak opornie przyjmowała się w kraju sztuka abstrakcyjna? Ciekawe, że największe zainteresowanie i zrozumienie okultyzm budził w środowiskach literackich, a związki ze spirytyzmem mieli m.in. Bolesław Prus, Władysław Reymont, Zofia Kossak-Szczucka czy Maria Pawlikowska-Jasnorzewska oraz Magdalena Samozwaniec.

Okultyzm przełomu wieków stanowił wdzięczną i pociągającą pożywkę dla znudzonych elit mieszczańskich, szukających ukrytych prawd o naturze ludzkiej, naukowców, wszelkiej maści poszukiwaczy nowych wrażeń, a nawet szaleńców. Ale ułatwiał też artystyczną awangardową transcendencję, zakwestionowanie i odrzucenie dotychczasowych norm estetycznych i podążanie w zupełnie nowym kierunku, np. dodekafonii w muzyce czy abstrakcji w sztuce. Wygląda na to, że duchy kryły się za racjonalnym modernizmem, co należy uznać za kolejny chichot historii.

PIOTR SARZYŃSKI

Ukryty modernizm. Fascynacja okultyzmem około 1900 roku,
Leopold Museum, Wiedeń, wystawa czynna do 16 stycznia 2026 r.

© BELVEDERE/JOHANNES STOLL, KUNSTHAUS ZÜRICH

REKLAMA

Bardzo ciemne emocje

Dla mnie Polska podzielona jest na trzy części. Do prawej strony nie dotrę, do lewej jest szansa. Pośrodku są ci, którzy mają wywalone, są niezdecydowani albo zajęci życiem. O ich uwagę chciałbym zawalczyć – mówi reżyser **Wojciech Smarzowski**, autor „Domu dobrego".

Wojciech Smarzowski (ur. 1963 r.) – reżyser filmowy i teatralny, scenarzysta oraz operator filmowy. Absolwent filmoznawstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz Wydziału Operatorskiego PWSFTviT w Łodzi. Zdobywca licznych nagród filmowych, m.in. Orłów, w tym za najlepszy film za „Wesele", „Różę" i „Wołyń", oraz Złotych Lwów za reżyserię „Domu złego". Film „Dom dobry" będzie pokazywany na Warszawskim Festiwalu Filmowym.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– Oglądając „Dom dobry", trudno pozbyć się wrażenia, że mężczyźni w naszym kraju to sadyści i psychopaci.**

WOJCIECH SMARZOWSKI: – Nieprawda. Przemocowych jest mniej niż ślepych. To znaczy niereagujących albo reagujących za słabo. No i siłą rzeczy to narzuciła historia, temat filmu.

Jakie emocje w tobie budziły relacje ofiar przemocy domowej, gdy dokumentowałeś materiał do filmu?

Słuchałem tych historii i często ciężko się było pozbierać. Bo jednak co innego, kiedy czytasz o przemocy w artykule albo w książce, a co innego, kiedy opowiada ci to osoba, na której twarzy widać wszystkie emocje.

Uczestniczyłeś też jako obserwator w terapiach grupowych. Jakie jeszcze wnioski, oprócz tego, że często nie odróżniamy konfliktu od przemocy, wyciągnąłeś z tych lekcji?

Oprócz tych emocji, no bo na tych spotkaniach też ich nie brakowało, to najbardziej została mi więź między ofiarami. To, że utrzymywały kontakt poza ośrodkiem i że pomagały sobie w sytuacjach kryzysowych.

Zacząłeś pisać „Dom dobry" w pandemii, gdy nagle się okazało, że liczba dramatów rozgrywających się za zamkniętymi drzwiami lawinowo rośnie. Dlaczego to był do tej pory temat tabu w polskiej kulturze?

© KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, LUCKY BOB & WARNER BROS.

eprasa.pl acfe9a7195

Agata Turkot (Gośka, żona) i Tomasz Schuchardt (Grzesiek, mąż przemocowiec) w „Domu dobrym"

Pojęcie przemocy ewoluuje. Nie wiem, czy pamiętasz, ale w „Domu złym" Dziabas, grany przez Mariana Dziędziela, konkretnie przywalił Dziabasowej, granej przez Kingę Preis, no ale kto by to wtedy uznawał za przemoc? Napił się, był zazdrosny i go poniosło.

Pokazujesz trzy mury, z którymi zderzają się ofiary: Kościół, państwo i ludzka obojętność. Który z tych murów jest najgrubszy i najtrudniejszy do skruszenia?

Remis. No dobra, może im bliżej Zakopanego, to mur kościelny jest grubszy. Ale wszystkie te trzy wektory są ważne. Jednak gdy państwo dostrzeże problem i potrzebę pomocy, to pozostałe mury stopniowo ustąpią. Ja bym zaczął od szkoleń i od sprawdzenia, jak radzą sobie z przemocą inne kraje europejskie – i nie chodzi mi o Białoruś. W jednym udało się to, a w innym coś innego. Zassałbym najlepsze rozwiązania na nasz grunt, bo po co otwierać drzwi do lasu.

W wywiadach zwracasz uwagę, że system pomocy ofiarom w Polsce nie działa, a przepisy są fikcją. Brak pieniędzy to jedyny realny powód, że tak się dzieje?

Brak pieniędzy nie pomaga, ale ważna jest świadomość. Policjanci, sądy, ale także i my musimy nauczyć się rozróżniać konflikt od przemocy.

Rzadko który reżyser jest tak wyczulony na niesprawiedliwość i zło jak ty. Obnażanie deprawacji ludzkiej natury i mechanizmów przemocy uznajesz za swoją misję?

Ja nie mam żadnej misji. Po prostu próbuję uczciwie odrobić swoją pracę, robię filmy, czasami lepiej, czasami gorzej mi to wychodzi, ale chcę rzetelnie zdokumentować – przedstawić temat. Oczywiście ta rzetelność to tylko w moich kryteriach, no bo dla prawicy moje „Wesele" jest kłamstwem, dla Ukraińców „Wołyń", a dla Rosjan „Róża" jest zakłamana.

Czy przemoc, jak złe geny, jest dziedziczna?

Znam sporo osób z rodzin przemocowych, które przemocowe nie są. No, przynajmniej ja tak myślę, bo przemoc ma wiele twarzy i do środka ich domów za często nie zaglądam. Poza tym przemoc to nie tylko bicie, może być przemoc seksualna, psychiczna i ekonomiczna.

Mimo to wierzysz, że twoje filmy mogą wpłynąć na sprawców?

Nie. Albo inaczej – nie na tych, którzy w tej przemocy siedzą po pachy. Ale być może ktoś obejrzy film i pomyśli, że jego zachowanie, tekst, gest, opinia mogą urazić. A jeżeli to się często powtarza, to mogą bliską osobę gasić. Zatem nie na sprawców, ale na takich, którzy zastanawiają się, dlaczego coś w ich związku się wypala. O cholera, chyba za mocno pojechałem. Wracam do początku wypowiedzi: nie wierzę.

W spektaklu „Winny", niedawno emitowanym w TVP, łączysz antysemicką propagandę z „Małego Dziennika" ojca Kolbego ze współczesną nagonką na osoby LGBT+. Kościół w Polsce wciąż posługuje się tymi samymi mechanizmami szczucia, zmieniając jedynie wroga publicznego?

Szukanie wroga to nie tylko domena Kościoła. Za Gomułki byli rewizjoniści i syjoniści, Cyrankiewicz nazywał strajkujących elementami anarchistycznymi, chuligańskimi i kryminalnymi, w stanie wojennym Solidarność była wrogiem politycznym, a teraz wrogiem są imigranci. Autorytarni tak mają, że lubią podkarmić nienawiścią.

Także w „Domu dobrym" Kościół to przeżarta obojętnością męska korporacja, w której nie ma miejsca na empatię.

Nie, żeby mnie coś w Kościele uwierało, no bo dlaczego, ale halo... gołym okiem widać, że to gniazdo pychy, dyskryminacji i rozpusty, nasączone tajnymi, wewnętrznymi procedurami, które uniemożliwiają poznanie prawdy. To organizacja, która straszy, szantażuje i wykorzystuje religię do zarabiania pieniędzy. W tym roku z budżetu państwa przytulą ponad 270 mln zł.

Powtarzasz, że rozwiązania konkordatu nie doczekasz. Twoim zdaniem fikcyjny rozdział Kościoła od państwa to fundament polskiej obłudy?

Dopóki wiara będzie ważniejsza od rozumu, to nic się w Polsce nie zmieni. Owszem, Kościół przyczynił się do obalenia komuny, ale z perspektywy czasu widać, że jego głównym celem był dostęp do żłobu.

Gumkowanie niewygodnych momentów historii to nie tylko polska specjalność. Nie masz jednak wrażenia, że przypominanie Polakom o roli, jaką odegrali w pogromie Żydów w Jedwabnem, poszło za daleko?

Dla jednych tak, dla innych wręcz przeciwnie. Są historycy, którzy powiedzieli mi, że bardzo źle się stało, że w filmie w ogóle pokazałem Niemców. Wprawdzie wszystko niedookreślone, ale jednak. Oni są przekonani, że Polacy nie potrzebowali Einsatzgruppen do pogromów, a spisywane latami i wciąż zmieniane zeznania świadków są niewiarygodne. Oczywiście większa część historyków uważa, że zrobiłem antypolski, kłamliwy film. Z dziennikarzami jeszcze gorsza sprawa. Dla nich jak stodoła, to Jedwabne... Owszem, może im się nie podobać forma, dosłowność, wszystko może im się nie podobać, ale ▶

eprasa.pl acfe9a7195

▶ chyba żaden nie załapał, że to film o narodzinach planu. Najpierw 5 lipca w Wąsoszu Polacy zatłukli Żydów pałami i siekierami, następnego dnia nie wiedzieli, co zrobić z ciałami i krwią na bruku, więc pojawił się pomysł palenia. Wprowadzili go w życie (7 lipca) w Radziłowie – tu dzieje się akcja „Wesela" – ale stodoła była murowana i za blisko zabudowań, dlatego w Jedwabnem (10 lipca) już spalono Żydów w stodole drewnianej i dalej od domów.

Po premierze drugiego „Wesela" stwierdziłeś, że prawdopodobnie zostaniesz „nadwornym Żydem polskiej kinematografii". Czy w Polsce mówienie prawdy o antysemityzmie skazuje na bycie wrogiem większości?

Coś w tym jest, bo Maćkowi Stuhrowi też się kiedyś oberwało po „Pokłosiu". Ja zrobiłem jeden film, myślałem jeszcze o kolejnym, o wykopkach, czyli o tym, co działo się na terenach poobozowych tuż po wojnie, ale teraz, po ataku Izraela na Strefę Gazy, mi się odechciało.

Światopoglądowe podziały są nieodwracalne? Twoje kino trafia do obu stron czy to tylko mówienie do przekonanych?

Dla mnie Polska podzielona jest nie na dwie, tylko na trzy części. Do prawej strony po tym, co do tej pory nakręciłem, nie dotrę, do lewej jest szansa. Ale pośrodku są ci, którzy albo mają wywalone, albo są niezdecydowani, albo zajęci życiem. Chyba to o ich uwagę chciałbym zawalczyć.

Z tego, co wiem, pracujesz od dawna nad filmem „Słowianie", by pokazać, że „przed chrztem też byliśmy". Czy chrzest Mieszka to akt polityczny, który doprowadził do „wycięcia naszej słowiańskiej mitologii" i tożsamości? I jakie to ma teraz znaczenie?

Ano takie, że spora część Polaków uważa, że po przyjęciu chrztu zaczęliśmy się myć pod pachami i chodzić do dentysty. W podręcznikach szkolnych wciąż jest zapisane, że 966 r. to chrzest Polski. Ale to Mieszko przyjął chrzest, a nie wszyscy Polanie. Tak, to był akt polityczny, który zaowocował sojuszem z Bolesławem Okrutnym, co przełożyło się na zwycięstwo nad Wieletami. Konsekwencje religijne pojawiły się później i doprowadziły do wycięcia naszych korzeni.

Po latach robienia filmów wciąż wierzysz w siłę rażenia kina?

„Wołyń" nie przyłożył się do rozmów polsko-ukraińskich na temat naszej trudnej przeszłości. „Kler" nie przyłożył się do rozdziału Kościoła od państwa ani do tego, żeby pedofile w sutannach trafiali do więzienia, a Kościół płacił ofiarom odszkodowania. Wreszcie „Wesele" nic nie zmieniło, wciąż w podręcznikach temat pogromów w blisko 30 miejscowościach na Podlasiu nie istnieje, co najwyżej Niemcy spalili Żydów w tym Jedwabnem. Jednak wierzę, że kino może trafić do widza, na coś otworzyć oczy albo po prostu wzruszyć. Czasem decyduje jakość filmu, a czasem moment w życiu, w którym akurat znajduje się widz. Nie mogę w to nie wierzyć, bo przestałbym robić filmy.

Za rządów PiS drugie „Wesele" nie dostało dofinansowania z PISF. Czy dziś, po zmianie władzy, polskie instytucje filmowe stały się bardziej transparentne, otwarte na różne środowiska, gotowe wspierać niewygodne politycznie i obyczajowo projekty?

Za mało o tym wiem, za mało upłynęło czasu od zmiany, niespecjalnie śledzę. Ale jeżeli czytam, że dajmy na to dziesięć filmów dostało wsparcie na sesji PISF, ale żaden nie dostał całej sumy, o którą aplikował, to się zastanawiam. No, bo może być sprytny, przepraszam, doświadczony producent, który potrzebuje miliona na realizację, ale wie, że brakuje pieniędzy, że dostanie połowę, a więc aplikuje o dwa. Dostaje milion i wchodzi w zdjęcia. Ale może też być producent, który wierzy w projekt, ufa, potrzebuje milion na produkcję i o tyle wystąpi, ale komisja decyduje, że dostanie pół. I ten film nie powstanie, bo on rzeczywiście potrzebował miliona. A więc, jeżeli nie ma pieniędzy w kasie, to lepiej wesprzeć nie dziesięć filmów, tylko pięć, ale najlepszych i całą kwotą?

Powiedziałeś niedawno, że Agnieszka Holland powinna była wybierać dyrektora PISF. Czy brak akceptacji jej udziału w komisji konkursowej to dowód na to, że w polskiej kulturze wciąż liczą się układy, a nie autorytet?

Nie chcę spekulować, ale cała ta sytuacja wydała mi się nietransparentna. Wcześniejsza, ze zwolnieniem Karoliny Rozwód, zresztą też.

Kina przetrwają w starciu ze streamingiem? Czy platformy chronią należycie i wspierają twoim zdaniem rozwój kina autorskiego w Polsce?

Myślę, że przetrwają kina studyjne. Będą w nich wyświetlane stare filmy. A po jakimś czasie może nowe – już są chyba takie próby, że film ze streamingu trafia do kin. Odwrotna kolejność. Duże kina? No cóż, kiedy słyszę, że w niedzielę o godz. 22 warszawskie kino wyświetla dwa ostatnie odcinki serialu ze streamingu plus bonus, a sala jest pełna, to daje do myślenia. Rozwój kina autorskiego? Boję się, że na razie nie idzie to w dobrym kierunku, rządzą algorytmy, a dla korporacji ważna jest klikalność. To nie pomaga, ale cóż, czasy mamy dynamiczne.

„Kler", „Wołyń", „Róża", „Wesele" regularnie wymieniane są jako najważniejsze polskie dzieła minionego trzydziestolecia i zaliczały rekordy kasowe. Ciebie robienie filmów pod publiczkę nie interesuje. Gdzie leży sekret tej niezwykłej więzi z polskim widzem?

Nie wiem. No i nawiązałeś do wyników plebiscytu „Gazety Wyborczej", ale gdyby taki plebiscyt robiła prawica, to te moje filmy by w nim nie zaistniały. Oprócz „Wołynia" może.

Planujesz również film o „eutanazji po polsku", który ma być jednocześnie miłosnym dramatem. Czy w każdym, nawet najmroczniejszym temacie, szukasz przede wszystkim jasnych emocji?

Nie nazwałbym tego jasnymi emocjami, ale tak – zawsze szukam światła, chociaż u mnie często na planie ktoś ukradł żarówkę albo nie zapłacił za prąd.

Powiedziałeś kiedyś, że jak będziesz wszystko wiedział, to pora przestać robić filmy. Czego zatem Wojciech Smarzowski jeszcze nie wie i czego najboleśniej szuka poprzez swoje kino?

Kiedy zaczynałem kręcić filmy, rzeczywiście sądziłem, że reżyser musi wiedzieć. Po pierwszym „Weselu", które było dla mnie szkołą reżyserii, zrozumiałem, że kino to praca zbiorowa. Że trzeba się otaczać świetnymi aktorami, ekipą, fachowcami, ludźmi, którzy podobnie postrzegają świat. Reżyser musi panować nad tym, o czym chce zrobić film, i znać jego ostatnie ujęcie, ale musi też umieć słuchać i być otwarty na jakiś procent improwizacji i poszukiwań przed zdjęciami i na planie. Powtórzę: jakiś procent, bo resztę no to reżyser musi jednak wiedzieć. (*uśmiecha się*) Na drugą część pytania nie odpowiem, bo jestem zaplanowany na jeden–dwa filmy do przodu. Mam w szufladzie sporo tematów, ale który będzie mnie uwierał najbardziej albo inaczej – co się wydarzy za dwa–trzy lata w moim życiu i na świecie, tego jeszcze nie wiem.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl acfe9a7195

Ryszard Rynkowski

Beata Kozidrak

Muniek Staszczyk

Tomasz Organek

Jan Borysewicz

Ekscesy alkoholowe Ryszarda Rynkowskiego czy Beaty Kozidrak wywołują pytania o to, czy cała generacja polskiej estrady odchorowuje lata estradowej wolności. I co się dziś pod względem używkowego życia na scenach zmieniło.

Wypili za błędy

Krzysztof Jaryczewski

MIROSŁAW PĘCZAK

Prokuratura Okręgowa w Toruniu wydała 30 września oświadczenie, że wobec Ryszarda Rynkowskiego sporządzono akt oskarżenia „za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwości". 14 czerwca drogówka zatrzymała piosenkarza w miejscowości Żmije pod Brodnicą, gdzie doszło do wypadku samochodowego. Początkowo nie przyznawał się do winy, ale wyniki badania toksykologicznego nie pozostawiają już wątpliwości. Rynkowskiemu grożą trzy lata więzienia. Tragedia za tragedią – chciałoby się powiedzieć. W końcu 18 września zmarła żona artysty, a on sam na pogrzebie, który odbył się kilka dni później, wydawał się całkowicie załamany.

Historię czerwcowego wypadku śledziła cała Polska: Rynkowski jechał do Opola, gdzie miał wystąpić na festiwalowym koncercie z okazji 75. urodzin słynnego autora tekstów piosenek Jacka Cygana. Ten zdążył jeszcze pozdrowić przyjaciela ze sceny, posłużywszy się dość ryzykowną, jak się potem okazało, frazą: Ryśku, nikt lepiej od ciebie nie zaśpiewa „Wypijmy za błędy".

Procentowe festiwale

Dla Rynkowskiego festiwal w Opolu właściwie od początku był swego rodzaju przystanią, jeśli nie nawet matecznikiem. Starsi pamiętają choćby jego występ w 1980 r., gdzie z grupą Vox brawurowo zaśpiewał „Bananowy song", no a wiele lat potem wspomniane „Wypijmy za błędy". I ta opolska impreza miała od lat swój wysoce rozrywkowy, a przy tym także wysokoprocentowy koloryt. W albumie Mariusza Jelińskiego, wydanym na okoliczność 30-lecia festiwalu, można przeczytać takie oto wyznanie Jacka Cygana: „Opole to dla mnie takie dziwne wspomnienie, które zacznę pytaniem do Państwa – czy Państwo wiedzą, jak pachnie jaśmin nad ranem? Dlaczego nad ranem? Dlatego, że wszystkie bankiety, wszystkie spotkania towarzyskie, wszystkie nocne rozmowy trwały do rana i kiedy wychodziliśmy z Hotelu Opole, zawsze słońce już dobrze świeciło i kwitły jaśminy".

Rzeczywiście, kiedy przez kilka lat z rzędu, w końcówce lat 90. i na początku kolejnej dekady, odwiedzałem ten festiwal jako dziennikarz POLITYKI, atmosfera nieustającego bankietu zdawała się dojmująca. Często słyszałem wymyślone dużo wcześniej powiedzonko krążące wśród artystów i festiwalowych VIP-ów: „Festiwal owszem, bardzo fajny, tylko po co te piosenki?".

To samo dotyczyło zresztą i innych festiwali z czasów PRL, choćby tego żołnierskiego, kołobrzeskiego, o którym pisał w swojej książce „Festiwale wyklęte" ▶

© IRENEUSZ SOBIESZCZUK/PAP, PIOTR KAMIONKA/REPORTER, JULIAN SOJKA/EAST NEWS, KAROL MAKURAT/REPORTER, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, MIECZYSŁAW WŁODARSKI/REPORTER

eprasa.pl acfe9a7195

▶ Bartosz Żurawiecki. Maszerujące w miejscu chóry wojaków na deskach kołobrzeskiego amfiteatru to jeden aspekt imprezy, biesiadowanie w towarzystwie wybranych reprezentantów generalicji – to zupełnie inny. Zwyczaje praktykowane w PRL przeniosły się, przynajmniej w części, w czasy demokracji i wolnego rynku, czyli III RP, w związku z czym życie estradowe w różnych jego odcieniach – czy to festiwali piosenki, czy discopolowych festynów, czy nawet pojedynczych koncertów rodzimych gwiazd popu – rzadko przebiegało i przebiega bez alkoholu. Jedni odreagowywali w ten sposób zawodowy stres, inni doraźną tremę, jeszcze inni po prostu lubili się napić, co akurat w Polsce nigdy nie stanowiło wyjątku. Tyle że ostatnio formą epilogu tych doświadczeń stały się przejścia reprezentantów kultury estradowej, którzy raczej nie uchodzili za przykłady jakiejkolwiek, także używkowej, ekstrawagancji – Ryszarda Rynkowskiego właśnie czy wspomnianej na początku Beaty Kozidrak.

Po tym, jak w 2021 r. wokalistce Bajmu zatrzymano prawo jazdy i orzeczono karę grzywny, bo podczas prowadzenia samochodu była pijana (2 promile alkoholu we krwi), spłynęła na nią potężna fala hejtu – czy właśnie za to, że jako wykonawczyni tzw. muzyki środka powinna uosabiać konserwatywne normy obyczajowe i rygoryzm w kwestii trzeźwości?

Alkoholowa praktyka

W najbardziej potocznym polu skojarzeniowym wokół hasła „artysta" znajdziemy luz obyczajowy, dużą emocjonalność, ale też skłonność do odurzania się. Tak było postrzegane cyganeryjne towarzystwo Paryża czy Berlina u schyłku XIX stulecia afroamerykańscy muzycy jazzowi w latach 20., 30. i 40. ubiegłego wieku czy rockmani w późniejszych dekadach. Współcześnie znakiem czasu może być niekiedy udział twórców kultury w szlachetnej działalności charytatywnej albo protestacyjnych akcjach politycznych przeciwko Trumpowi, Putinowi albo Netanjahu, a jednak gdy myślimy o idolach kultury popularnej, trudno nam się pozbyć tych tak chętnie ugruntowywanych przez plotkarskie media wyobrażeń postaci „znanych i lubianych", które nagle okazują się ofiarami nałogów.

Dawna mitologia pijanego poety, tak żywa u nas od czasów Młodej Polski aż po lata 60. minionego stulecia, ustępuje na rzecz antywzorca niezasłużenie rozpieszczonego przez fanów sybaryty. Niewykluczone, że mamy tu do czynienia z wciąż żywym wpływem kultury tabloidowej, która ewidentnie stała się natchnieniem dla aktualnie funkcjonujących mediów społecznościowych. Najogólniej chodzi o łatwość piętnowania domniemanych czy faktycznych niegodziwości niekoniecznie w imię jakiejś nadrzędnej, etycznej racji, ale z powodu samej satysfakcji piętnowania. Takie jest jedno ze źródeł wszechobecnego hejtu.

W świecie zachodnim ważnym przełomem cywilizacyjnym stała się sześć dekad temu tzw. rewolucja obyczajowa, której ważną częścią niewątpliwie była kontrkultura. Rządzone przez etos mieszczański tradycje zostały podważone w imię (skądinąd też ważnej w zachodniej aksjologii) wolności. Radykałowie w trakcie antysystemowych demonstracji pisali na murach „Zabrania się zabraniać", a hipisi starali się żyć w komunach wolnych od jakiegokolwiek rygoryzmu, czy to seksualnego, czy używkowego. Emblematycznym przykładem odrzucenia mieszczańskiej hipokryzji stała się muzyka rockowa i prowokacyjne zachowania jej twórców i wykonawców. W centrum tej rewolty znalazła się psychodelia i rock psychodeliczny, który eksplodował w USA w latach 1965–66 i miał wiele wspólnego z muzycznymi eksperymentami Beatlesów z płyt „Revolver" i „Rubber Soul".

W Polsce zamiast zbuntowanego rocka był poddany państwowej kontroli bigbit, zamiast LSD – swojska gorzała. Alkoholowe ekscytacje bigbitowców, o których na marginesie swoich wspomnień, zawartych w wywiadzie rzece przeprowadzonym przez Witolda Górkę („Byłem gitarzystą Niemena"), napomyka znakomity muzyk z zespołu Akwarele Tomasz Jaśkiewicz, niewiele się różniły od chłopskiego odurzania się wódką czy bimbrem, trudno byłoby to nazwać „odmiennymi stanami świadomości" czy otwieraniem „wrót percepcji". Przy czym warto mieć na uwadze, że wokalista i pomysłodawca nazwy zespołu The Doors (inspiracją dla niej były właśnie „Drzwi percepcji" Aldousa Huxleya) Jim Morrison umarł z przepicia, a nie z powodu nadużywania halucynogenów. To samo zresztą dotyczyło innych straceńców tamtej epoki, jak Janis Joplin czy Jimi Hendrix. Wracając do naszego rodzimego kontekstu, alkoholowa praktyka polskich estradowców w latach 60. i 70. nie odbiegała od krajowej średniej w innych środowiskach zawodowych, być może tylko ponadprzeciętny luz w tej kwestii wykazywali jazzmani.

Uderzanie w gaz

W dekadzie gierkowskiej właśnie w środowisku jazzowym zaczęło funkcjonować porzekadło „bez gazu nie ma jazzu". Nawet najwięksi polscy artyści tej sceny miewali poważne problemy z alkoholem, co było jasne dla każdego, kto odwiedzał w tamtym czasie kluby studenckie czy muzyczne, jak Rura we Wrocławiu czy Akwarium w Warszawie. Co warto przypomnieć, czołówka naszych jazzmanów często wyjeżdżała na zagraniczne kontrakty, zwłaszcza do krajów skandynawskich, gdzie tzw. dyscyplina świadczenia pracy była dość wyśrubowana, w związku z tym przerwy na występy w Polsce nader często artyści jazzowi zdawali się traktować jako okazję do większego wyluzowania się.

Ostatnia dekada PRL w dziedzinie estrady to przede wszystkim ekspansja zespołów rockowych i całkiem częste przypadki ostentacyjnego łamania reguł w obszarze obyczajowej poprawności. Skarbnicą wiedzy w tym temacie jest choćby książka „Byłem w piekle" – wywiad Kamila Wicika z Krzysztofem „Jarym" Jaryczewskim, dawnym wokalistą Oddziału Zamkniętego, ważnego dla polskiego boomu rockowego. Przypisywane zazwyczaj zespołowi Lady Pank wybryki podczas tras koncertowych to niewiele w porównaniu z ekscesami Oddziału: rzucanie hotelowymi radioodbiornikami, stawianie łóżek „na baczność" albo wyrzucanie ich przez okno, sprowadzanie tabunów młodych dziewczyn, by używać z nimi do woli, no i picie na umór. Jak mówi Jary w książce, w tamtych czasach łatwiej było wieczorem kupić pół litra niż bochenek chleba.

Historia Oddziału z Krzysztofem w składzie była burzliwa, ale krótka, na dobrą sprawę kilkuletnia zaledwie, jeśli nie liczyć krótkich epizodów z próbami powrotu legendarnego wokalisty do zespołu. Cytowany w książce Grzegorz Brzozowicz mówi: „Kapelę zniszczyła niedojrzałość, wódka i przede wszystkim charakter naszego show-businessu opartego na doszczętnej eksploatacji dającej szybki zysk, lecz niezapewniającej gwarancji stabilności. U nas się nie inwestuje w gwiazdy".

Jary wpadł w otchłań choroby alkoholowej, co w książce Wicika jest szczegółowo

eprasa.pl acfe9a7195

opisane i niekiedy przechodzi w opis dosłownie kliniczny. I trudno w takim przypadku uogólniać i zakładać, że młodzi polscy rockmani w latach 80. byli po prostu alkoholikami. Owszem, sposoby radzenia sobie z dość ponurą rzeczywistością bywały często słabo przemyślane, ale przecież nie każdy stawał się ciężkim alkoholikiem.

Nie tylko kac

Trochę inną sprawą pozostaje styl życia. W okolicznościach, które nieźle opisywało punkowe hasło *no future*, mało kto w tym środowisku snuł realne plany zawodowe i traktował granie muzyki inaczej niż w kategoriach mniej lub bardziej barwnej przygody. Jeśli zespół nie miał wsparcia w osobach obeznanych z tzw. branżą, tym bardziej zdawał się na czysto spontaniczne funkcjonowanie i granica między obowiązkiem a zabawą pozostawała całkowicie płynna. W takiej sytuacji nie było zaskoczenia, że ten i ów „szarpidrut" ledwo trzymał się na nogach na scenie albo zawalał terminy. Rockman miał być z definicji luzakiem, nie przejmować się formalnymi zobowiązaniami, bo tylko tak postrzegany mógł uchodzić za „swobodnego jeźdźca".

Ten stereotyp długo utrzymywał się w zbiorowej wyobraźni. I czasem powraca w książkach. Bo „Byłem w piekle" to niejedyny przykład. O używkowych ekscesach rockowych estradowców możemy poczytać w autobiograficznych i biograficznych książkach Muńka Staszczyka, w opowieści Anny Kamińskiej o Marku Jackowskim, w wielu wywiadach i artykułach prasowych.

We wspomnieniach gitarzysty i współtwórcy zespołu Lady Pank Jana Borysewicza w książce „Mniej obcy", wydanej w 2022 r., mamy opis jednego z najsłynniejszych polskich skandali estradowych. W 1986 r. w czasie koncertu zorganizowanego na Dzień Dziecka Borysewicz pokazał ze sceny przyrodzenie. W książce mówi o tym: „(...) w pewnym momencie, chyba po drugim utworze, zauważyłem po lewej stronie kilku kolesi, bardzo agresywnych, którzy pokazywali »faki« w moją stronę. Wk******m się na to strasznie. Pomyślałem, że nie pozwolę, żeby jakieś gnojki ubliżały nam bez żadnego powodu". Gitarzysta Lady Pank nie wiedział jednak, co zrobić, żeby wyrazić swoje niezadowolenie. „To nie było tak, że chciałem wobec tych wszystkich ludzi i dzieci się obnażać. To był efekt mojej niezgody na to, że ktoś chce bezmyślnie zniszczyć coś dobrego, co pragnę przekazać ludziom. Oczywiście, gdybym był trzeźwy, tobym machnął na to ręką, co zresztą wiele razy robiłem w takich sytuacjach. Ochroniarzy zawsze prosiłem, żeby nie zachowywali się agresywnie w stosunku do ludzi, którzy są wobec nas nie w porządku. Ale wtedy alkohol, niestety, wydobył ze mnie zachowanie, którego nigdy wcześniej nie przejawiałem".

Tyle że alkoholowy – czy szerzej: używkowy – styl życia artystów estrady, o ile wydawał się oczywisty jeszcze jakieś trzy dekady temu, stopniowo się zmienił. W miarę przyswajania sobie przez branżę muzyczną surowych reguł rynkowych, a jeszcze bardziej w czasach, gdy każdy może sfilmować swojego idola i wrzucić jego wybryki do sieci, coraz rzadziej dochodzi do bulwersujących ekscesów z wódką w tle. Rytualne stały się za to publiczne przeprosiny za zdarzające się alkoholowe skuchy.

W 2010 r. wspomniany wyżej Muniek w telewizyjnym programie „Dzień dobry TVN" przeprosił za incydent na koncercie w Pszowie z okazji dni miasta, kiedy to – jak donosił portal Onet – „był wyraźnie pijany podczas koncertu. Nie potrafił wyraźnie wyśpiewać tekstów utworów i zapomniał ich teksty. Po wykonaniu kilku przebojów T. Love koncert przerwano". Siedem lat później swoich fanów przeprosił Tomasz Organek – po tym, jak został zatrzymany przez policję za spowodowanie wypadku przez jazdę po wypiciu alkoholu.

Przygody estradowców z alkoholem nie tylko stają się wstydliwe i wymagają ekspiacji, ale dziś wydają się pozostawać kwestią pokoleniową. Menedżerowie zespołów i solistów zauważają, że zniknął zwyczaj zamawiania do garderoby alkoholu, pije się napoje energetyczne albo piwo „zero procent". Jeszcze do końca nie wiadomo, czy to stan przejściowy, czy rzeczywista zmiana, w każdym razie wiele wskazuje, że alkohol w życiu estradowym przestaje być atrybutem środowiska, pozostając prywatnym problemem pijącego artysty. Ale ekscesy w sferze publicznej widać tym wyraźniej.

MIROSŁAW PĘCZAK

REKLAMA

ORGANIZATORZY
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
festiwal jazz jantar
GDAŃSK

MEDENASI
Energa | GRUPA ORLEN
GIWK
Carter Gdańsk
Carter Chodzeń Gdańsk-Kowale
ZIAJA
Coca-Cola

PATRONI MEDIALNI
POLITYKA
jazz forum
trojmiasto.pl

eprasa.pl acfe9a7195

Koniec żartów

Donald Trump wypowiedział wojnę broniącym wolności słowa amerykańskim satyrykom. Ale formułę ich programów dobija właśnie nie polityka, tylko medialna rewolucja.

MARIUSZ ZAWADZKI

© SCOTT KOWALCHYK/CBS

Jimmy Kimmel jako gość late night show Stephena Colberta. Zagrożeni komicy zwarli szyki.

Lato nie było szczęśliwe dla amerykańskich komików, którzy co wieczór bezlitośnie szydzą z Donalda Trumpa. W lipcu Stephen Colbert ogłosił, że telewizja CBS postanowiła w maju 2026 r. zakończyć jego *late night show*, nadawany już od 32 lat (a z samym Colbertem w roli prowadzącego od lat 10). Z kolei we wrześniu rozegrała się drama wokół konkurencyjnego show w telewizji ABC. Jego gospodarz Jimmy Kimmel został najpierw bezterminowo zawieszony za kontrowersyjny komentarz, a potem przywrócony na antenę.

Niektórzy alarmują, że telewizje uginają się przed małostkowym i mściwym Trumpem, który postanowił zniszczyć satyryków. I że to jest początek końca wolności słowa w Ameryce. Inni uspokajają, że polityka ma tutaj znaczenie drugorzędne, że chodzi o wyczerpującą się formułę telewizyjnego nocnego show. Nie jest już ani zabawna, ani dostosowana do ery mediów społecznościowych i dlatego przynosi telewizjom straty zamiast zysków. W tej drugiej narracji Trump nie jest zabójcą, tylko co najwyżej lekarzem, który agresywnie domaga się, żeby śmiertelnie chorego pacjenta poddać eutanazji.

Sprawa jest poważna, bo *late night show* to jeden z fundamentów amerykańskiej kultury, podobnie jak baseball, przydrożne motele, Hollywood czy rodzinne wycieczki do parków narodowych. Pojawił się w 1954 r., czyli razem z telewizją. Stacja NBC, która kończyła wtedy nadawanie o 11 wieczorem, postanowiła przedłużyć program – żeby sprawdzić, czy w nocy też znajdą się widzowie. „The Tonight Show", który zaczynał się o 11.30, miał być eksperymentem, ale stał się największym przebojem amerykańskiej telewizji. To zasługa Johnny'ego Carsona. Prowadził show od 1962 r. i wypracował formułę, która sprawdzała się przez następne kilkadziesiąt lat: elegancki mężczyzna w garniturze wchodzi na scenę, wygłasza monolog powitalny złożony z serii żartów, potem siada za biurkiem i na wesoło rozmawia z celebrytami, a czasami występuje w przebraniu w jakimś skeczu. Na scenie jest obowiązkowo orkiestra, żeby nadać całości dynamiczną oprawę. A publiczność w studiu na żywo entuzjastycznie reaguje na żarty.

Carson, który pochodził z prowincjonalnego stanu Iowa, miał urok *everymana*. Prowadził swój show przez 30 lat i był nazywany królem nocnej rozrywki. Co wieczór oglądało go 10 mln Amerykanów. Ludzie chłonęli pozytywną energię emanującą z ekranu, a następnego dnia w biurze przeżywali jego żarty. Było to autentyczne przeżycie zbiorowe, zupełnie niewyobrażalne i na zawsze utracone z dzisiejszej perspektywy, gdy spragniony rozrywki Amerykanin ma do wyboru: Netflix, YouTube, TikTok, HBO, Amazon Prime, Apple TV, kablową Comedy Central, trzy tradycyjne nocne show w telewizjach NBC, CBS i ABC i jeszcze kilka innych opcji.

Kiedy w grudniu 1973 r. Carson zażartował, że w sklepach zaczyna brakować papieru toaletowego, cała Ameryka rzuciła się robić zapasy i rzeczywiście przez kilka tygodni brakowało papieru toaletowego. W sklepach wprowadzono ograniczenia w jego sprzedaży, żeby starczyło dla większej liczby klientów.

Żeby obejrzeć „The Tonight Show", trzeba było dotrwać do 11.30 – nie było powtórek. Przez pierwsze pięć lat program nadawany był na żywo, a potem nagrywano go kilka godzin przed emisją. Telewizory nie miały żadnej możliwości przewijania ani nagrywania, dlatego wszyscy widzowie siłą rzeczy musieli oglądać reklamy. Dlatego reklamodawcy płacili za czas antenowy grube pieniądze. W najlepszych latach Carson generował więc jedną czwartą wszystkich dochodów telewizji NBC.

Kiedy w 1991 r. Carson ogłosił, że najbliższy sezon będzie jego ostatnim, cała Ameryka fascynowała się, kto zostanie jego następcą. Sam go namaścił: wskazał Davida Lettermana, który prowadził w NBC program rozrywkowy zaraz po nim, czyli pół godziny po północy. Ale szefowie telewizji niespodziewanie wybrali Jaya Leno, który miał urok „zwykłego, zabawnego faceta".

Rozgoryczony Letterman przeszedł do telewizji CBS i to był koniec dominacji NBC. Od 1993 r. w branży nocnej rozrywki byli już dwaj królowie, którzy musieli się podzielić widzami i tortem reklamowym.

eprasa.pl acfe9a7195

Mieli zupełnie inny styl. Leno pompował balon show-biznesu, a Letterman go przebijał. Pierwszy rozmawiał z celebrytami przyjaźnie i zabawnie, drugi kpił ze swoich gości tak niemiłosiernie, że niektórzy bali się do niego chodzić. Do czarnej legendy przeszły wywiady Lettermana z celebrytką Paris Hilton, którą przez 10 minut wypytywał o pobyt w więzieniu (za jazdę po pijanemu), albo z aktorką skandalistką Lindsay Lohan, którą doprowadził do płaczu, a potem roześmiany podał jej chusteczkę. No, ale wtedy nie było jeszcze mediów społecznościowych, więc celebryci, żeby się promować, musieli wysiedzieć kwadrans na fotelu tortur u Lettermana.

Pod koniec lat 90. nastąpił kolejny podział w królestwie nocnej rozrywki. W telewizji ABC pojawili się kolejno Bill Maher, który bił rekordy politycznej niepoprawności, a po nim Jimmy Kimmel, który ma wizerunek „rozsądnego, sympatycznego faceta". Do gry weszła też telewizja kablowa, czyli płatna (do dzisiaj ABC, NBC i CBS są darmowe, wystarczy mieć antenę). Kanał Comedy Central zaproponował w swoim programie coś nowego: satyrę polityczną. Jej pionierem był Jon Stewart, prowadzący „The Daily Show". Codzienne wiadomości omawiał w sposób tak szyderczy i atrakcyjny, że po kilku latach wielu młodych ludzi oglądało go zamiast prawdziwych wiadomości. Stał się dla nich głównym źródłem wiedzy o świecie.

Była to rewolucja, bo przez pierwsze 35 lat rozrywka *late night* unikała angażowania się w politykę. Carson miał poglądy liberalne, ale jego widzowie nigdy się tego nie dowiedzieli. Współpracownikom wyjaśniał, że gdyby się z nimi ujawnił, straciłby część publiczności. Widzowie Stewarta od razu wiedzieli, jakie ma poglądy, bo najczęściej nabijał się z telewizji Fox News. W pewnym sensie był nawet jej dzieckiem. Fox News została zbudowana w opozycji do obowiązującego wzorca obiektywnego, chłodnego dziennikarstwa. Była subiektywna, populistyczna, adresowana do widzów prawicowych i grała na ich emocjach. Stewart i jego najlepsi uczniowie – Stephen Colbert i John Oliver – docierali do drugiej połowy Ameryki, czyli ludzi o poglądach liberalnych.

Kiedy w 2015 r. Letterman przeszedł na emeryturę, CBS zatrudniła na jego miejsce właśnie Colberta. Było to dość ryzykowne, bo rozrywka adresowana do masowego widza różniła się od niszowej politycznej satyry. Początkowo nowy prowadzący miał słabą oglądalność, ale w 2016 r. na arenie politycznej pojawił się Donald Trump i natychmiast stał się dyżurnym tematem żartów wszystkich satyryków we wszystkich telewizjach. Wtedy polityczna erudycja Colberta zaprocentowała – stał się nowym liderem nocnej rozrywki. Kimmel z ABC spadł na drugie miejsce. Za nim jest Jimmy Fallon, który zastąpił w NBC emerytowanego Jaya Leno. Ta trójka to bezpośredni konkurenci, wszyscy zaczynają o 23.30. Czwartym kołem u wozu jest Seth Meyers, który w NBC ma program zaraz po Fallonie, czyli pół godziny po północy.

Nocnych showmanów, tych dawnych i obecnych, łączy jedno: mają niemal całkowitą wolność wypowiedzi. Przygotowują swoje monologi razem z zespołami satyryków, ale to prowadzący ostatecznie sam decyduje, co i jak powie. W przypadku Carsona i Lettermana była to wolność absolutna ▶

REKLAMA

eprasa.pl acfe9e7/195

▶ (drugi wielokrotnie nabijał się na antenie ze swoich własnych szefów i nigdy nie poniósł żadnych konsekwencji).

Przed odpowiedzialnością karną chroni satyryków – i ich telewizje – pierwsza poprawka do amerykańskiej konstytucji, która gwarantuje wolność słowa i ekspresji. Nocne żarty z polityków są znacznie brutalniejsze niż w Polsce: czasami nawet wulgarne, z podtekstami seksualnymi, z wyzywaniem od kretynów, z nabijaniem się z wyglądu itp. W Polsce codziennie byłoby za to kilka pozwów o zniesławienie. Ale w Ameryce politycy nie pozywają satyryków, bo w ten sposób by się ośmieszali.

Tylko raz zdarzyło się, że prowadzący *late night show* został zwolniony za to, co powiedział. Tydzień po zamachach 11 września 2001 r., kiedy terroryści Al-Kaidy porwali samoloty pasażerskie i uderzyli nimi w dwa wieżowce Manhattanu i w waszyngtoński Pentagon, Bill Maher tak mówił w telewizji ABC: „My, Amerykanie, odpalamy na nich rakiety z odległości 2 tys. mil. To jest tchórzostwo. Ale skierowanie samolotu, którym sam lecisz, w budynek? Możecie to nazywać, jak chcecie, ale to nie jest tchórzostwo". Zrobiła się z tego duża afera. Reklamodawcy zaczęli bojkotować ABC, program Mahera miał coraz mniejszą oglądalność. 10 miesięcy później władze telewizji zdecydowały się zerwać z nim kontrakt (przeniósł się do HBO, gdzie ma swój niepoprawny politycznie *late night show* do dzisiaj).

Szykany wobec Colberta i Kimmela to zupełnie nowa jakość. Powszechnie uważa się, że obaj zostali ukarani, bo ich żarty nie podobają się prezydentowi Trumpowi. W pierwszym przypadku dowody są poszlakowe, w drugim trudne do obalenia. Kiedy Charlie Kirk, 32-letni prawicowy aktywista, został zastrzelony na wiecu w stanie Utah, Kimmel stwierdził, że fani Trumpa „próbują zbić polityczny kapitał na tragedii i desperacko starają się przedstawić tego dzieciaka, który zabił Kirka, jako kogoś zupełnie innego niż oni sami". Była to aluzja do prawicowych komentatorów, którzy mówią językiem nienawiści. Kimmel szydził też z samego Trumpa, który na konferencji prasowej nazwał zamordowanego przyjacielem, ale zaraz sam zmienił temat na renowację sali balowej w Białym Domu. „To nie jest żałoba dorosłego człowieka po zamordowanym przyjacielu, tylko żałoba czterolatka po śmierci złotej rybki" – komentował satyryk.

Następnego dnia Brendan Carr, szef Federalnej Komisji Łączności, zaczął grozić ABC oraz lokalnym stacjom telewizyjnym, które emitują show: „Nadawcy mają bardzo poważny problem. Możemy go załatwić gładko i po dobroci albo tak, że będzie bolało. Muszą podjąć działania przeciwko Kimmelowi albo zajmie się tą sprawą nasza komisja". Dwa koncerny, które są właścicielami wielu lokalnych stacji w całej Ameryce – Sinclair i Nexstar – odmówiły emisji programu Kimmela. Kilka godzin później ABC go „bezterminowo zawiesiła". Trump triumfalnie pisał w internecie: „Świetna wiadomość dla Ameryki: Jimmy Kimmel skasowany! Moje gratulacje dla ABC, że wreszcie zdobyła się na odwagę. Ma jeszcze mniej talentu niż Colbert. Zatem zostało jeszcze dwóch totalnych przegrywów: Jimmy Fallon i Seth Meyers w kłamliwej NBC. Ich oglądalność też jest fatalna. NBC – zróbcie, co trzeba!".

Ale potem zdarzyło się coś niesłychanego: jeden po drugim zaczęli się buntować republikańscy kongresmeni. „Brendan Carr nie miał żadnego prawa wypowiadać się w tej sprawie" – stwierdził senator Rand Paul. „Nie znoszę Kimmela, ale jeśli rząd zacznie cenzurować media i grozić im odebraniem licencji, bo nie podoba mu się to, co nadają, to jest diabelsko niebezpieczne" – ostrzegał senator Ted Cruz. I dodał, że „Carr wypowiada się jak mafioso". W podobnym tonie stanowisko zajmowali też inni Republikanie. Okazało się, że przywiązanie do pierwszej poprawki jest u nich mocniejsze niż odruch bezwarunkowego posłuszeństwa wobec Trumpa. Po tygodniu ABC przywróciła Kimmela, a wiceprezydent J.D. Vance stwierdził, że Brendan Carr, kiedy groził nadawcom, jedynie „żartował".

Znawcy mediów twierdzą jednak, że nawet jeśli Trump nie zdoła zabić *late night show*, to gatunek i tak już umiera. Od kilku lat oglądalność spada, bo w internecie jest wiele innych atrakcji, a też nie ma potrzeby zarywać nocy, skoro wszystko można sobie następnego dnia obejrzeć na YouTube. W 2017 r. Colbert miał 3 mln widzów, ale w zeszłym roku spadł do 2 mln, i dopiero ostatnio, w szalonych pierwszych miesiącach prezydentury Trumpa, wspiął się ponownie na 2,5 mln. Ale jego publiczność jest mało atrakcyjna dla reklamodawców, bo już tylko ludzie w grupie wiekowej 60 plus oglądają tradycyjną telewizję.

Co gorsza, żarty z *late night show* mają bardzo krótką datę ważności – zwykle po dwóch dniach się dezaktualizują, w odróżnieniu od filmów i seriali, które można puszczać w serwisach streamingowych latami i w ten sposób cały czas na nich zarabiać. A produkcja tych ulotnych żartów jest kosztowna – w zespole Colberta jest 200 osób. W jego telewizyjnym studio grają wybitni muzycy, jak Jon Batiste, laureat Oscara za muzykę do filmu „Co w duszy gra". Kiedy Colbert ogłosił, że CBS postanowiła go skasować, szefowie stacji oficjalnie zapewniali, że decyzja jest czysto finansowa, a nieoficjalnie puścili do prasy przecieki, że program generuje straty rzędu 40 mln dol. rocznie.

Niektórzy uważają, że ta liczba jest fałszywa, bo uwzględnia tylko wpływy z reklam minus koszty produkcji programu, tymczasem CBS dostaje jeszcze kilka miliardów dolarów rocznie od lokalnych stacji telewizyjnych, którym sprzedaje prawo do emisji całego swojego repertuaru. Jakaś część tych wpływów jest zasługą Colberta, który jest wizytówką CBS. Jeszcze bardziej dotyczy to Kimmela. Stał się dyżurnym wodzirejem koncernu Disneya, właściciela telewizji ABC. Już cztery razy był gospodarzem wieczoru Oscarów, a trzy razy – nagród Emmy. Dlatego kiedy go zawieszono, pod listem otwartym w jego obronie podpisała się połowa słynnych nazwisk Hollywood. Gdy tylko Disney wyprodukuje jakiś film, może go za darmo promować w programie Kimmela, posyłając do niego aktorów czy reżysera na rozmowę.

Gdyby doliczyć widownię w internecie, to programy *late night* wcale nie wypadają źle, szkopuł w tym, że popularność na YouTube trudniej zmonetyzować. A gusty młodej internetowo-podkastowej publiczności się zmieniają, 10-minutowa rozmowa z celebrytą już mało komu odpowiada. Ludzie wolą albo króciutkie minutowe filmiki, jak na TikToku, albo bardzo długie rozmowy, jakie robi najpopularniejszy podkaster Joe Rogan. Żeby przetrwać, Colbert, Kimmel i spółka będą więc musieli się zmienić, dostosować do gustów publiczności i nauczyć zarabiać pieniądze w nowy sposób. Ale wtedy będą już czymś zupełnie innym niż *late night show*.

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl acfe9a7195

FELIETON

Koziołek

Dobre lustro

Jak rozpoznać w telewizji albo w internecie, kto jest dobry? – od jakiegoś czasu sąsiadka nie traciła czasu na wstępy do swoich pytań, zostawiając mi domysły, z jakich powodów je zadaje. Tym razem nie nadążyłem.

– Co to znaczy dobry? W swoim fachu? – dopytywałem, według mnie, spokojnie.

– Niech pan się nie irytuje. Chodzi mi o dobrego człowieka – uzupełniła pojednawczo.

– Nie da się – stwierdziłem zasadniczo, żeby poprawić swoją reputację tego, który wie. – Telewizja to nie wariograf ani nawet lustro. Pokazuje to, co większość widzów chce widzieć.

– Naprawdę – sięgnęła po telefon – pan wierzy, że większość chce widzieć „podpaloną 31-latkę", „ofiary trzęsienia ziemi", „odrażające czyny zwyrodnialca"?

– Czyli że dobry wydobywa z nas dobre, a zły złe? – domyśliłem się, a sąsiadka zrobiła minę nauczyciela, który po wielu wysiłkach doczekał się dobrej odpowiedzi ucznia.

Żeby żyć pomyślnie, w psychicznym zdrowiu i dobrych relacjach z innymi, każdy z nas musi się zebrać w całość za pomocą obrazu siebie samego. Nie jest on nigdy w pełni kompletny ani prawdziwy, ale stanowi niezbędny fundament świadomości: „Tak, to ja". Jacques Lacan uznał, że pierwszym zbierającym nas w kupę obrazem jest odbicie w lustrze, które zapoczątkowuje odyseję niedopasowania siebie do swojego wyobrażenia. Tyle że tu nie ma Itaki, bo nie dość, że nikt w żadnym obrazie się nie zmieści, to jeszcze nasze wyobrażenie siebie muszą uznać inni. A już najtrudniejszy jest obraz, który pomieściłby nas wszystkich i tak pasujący każdemu, że w zgodzie potwierdzimy, że to my. Nie dziwi więc, że być może najbardziej znana pieśń na ten temat wzywa, żebyśmy przedstawili sobie niemożliwy, ale piękny obraz świata, w którym „nie ma chciwości ani głodu, wszyscy są sobie braćmi. Wyobraź sobie, że wszyscy ludzie dzielą z sobą świat" (John Lennon, „Imagine").

> Nie tak dawno temu powstało lustro, w którym przejrzeli się Polacy. Nazywało się Solidarność.

Słuchałem niedawno wykładu Jerzego Buzka. I rozmyślałem nad fenomenem jego osoby, który mój przyjaciel opisał następująco: „Kiedy po kilku latach od pierwszego i jedynego spotkania wpadniesz na niego na ulicy, on nie tylko cię pozna, ale ma tak radosny wyraz twarzy, jakby właśnie na ciebie czekał. To sprawia, że od razu czujesz się lepszym człowiekiem, bo przecież musi być w tobie coś nadzwyczajnego, skoro tak uradował go twój widok".

Prawda to jest, ale niewiele wyjaśnia. „Co on bierze, że nie opuszcza go ten niewzruszony optymizm i pozytywny upór zaczynania od nowa?" – dumałem. Na jego miejscu dawno zostałbym mizantropem pomstującym na ludzką głupotę i niewdzięczność. Kolejne rządy niszczyły lub zmieniały nie do poznania jego cztery wielkie reformy: oświatową, emerytalną, zdrowotną i samorządową. Naturalne wobec tego byłyby resentyment lub melancholia. Tymczasem on wziął się w Brukseli do piątej i przez cztery lata męczył Komisję Europejską, aby powołała Fundusz Sprawiedliwej Transformacji. Udało mu się, a Śląsk i Zagłębie są największymi w Polsce beneficjentami tych środków. „Ani utopista, ani melancholik" – poddawałem się powoli konstatacji, że Jerzy pozostanie dla mnie zagadką. Na szczęście wszystko już było w literaturze.

Pamiętacie prolog do baśni Andersena „Królowa śniegu"? Dawno temu utalentowany, ale skrzywdzony wynalazca – połączenie Elona Muska i Ruperta Murdocha – zbudował wielkie lustro, w którym odbijały się tylko zło i brzydota (prototyp typowego portalu informacyjnego oraz inspiracja dla serialu „Czarne lustro"). Zachęcony lokalnym sukcesem wynalazca postanowił wynieść lustro na orbitę, ale podczas transportu wysunęło się i spadło na ziemię, rozbijając się na miliony kawałeczków. „Jeżeli taki proszek wpadł komu do oka, to człowiek ten wszystko już widział zmienione i nie mógł dostrzec koło siebie nic dobrego, nic pięknego! Za to najgorsze rzeczy widział jasno i wyraźnie, więc wszystko złem było dla niego" (przeł. Cecylia Niewiadomska).

Nie tak dawno temu powstało w Polsce lustro, w którym Polacy się przejrzeli i zachwycili swoim odbiciem. Nazywało się Solidarność. Dziesięć milionów ludzi wyglądało w nim tak dobrze, że przez jakiś czas, patrząc na siebie prawdziwych, też widzieli się lepszymi i ładniejszymi. I kto wie, jak dobrze by się to skończyło, gdyby nie spór konstruktorów o prawa autorskie. Wyszarpując sobie lustro, rozbili je w drobny mak. Nawet jeśli komuś pojedyncza drobina wpadła do oka, to wkrótce wypłynęła ze łzami. Jednym ze smutku, innym ze śmiechu, że mogli być tak naiwni. Nieliczni tylko, o zmierzchu, wciąż roją sobie, że kiedyś ktoś stworzy nowe, a wtedy znów zobaczymy się w jego odbiciu tacy, jakimi powinniśmy być – istoty ludzkie żyjące pokojowo razem w jednym świecie.

Jerzy przez prawie pół wieku nie traci czasu na podobne rojenia ani frustracje, ale – z optymizmem pozbawionym nadziei – niestrudzenie zbiera i klei rozproszone fragmenty dobrego lustra.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl acfe9a7195

Sorry, Polsko

Najpiękniej o umieraniu za ojczyznę opowiadają zazwyczaj nie ci, którzy potem naprawdę za nią umierają we krwi i znoju. Warto o tym pamiętać szczególnie wtedy, gdy temat powraca. A właśnie powraca, choć wielu się zdawało, że został pogrzebany na wieki. Ankieterzy raz po raz pytają reprezentatywne grupy Polaków, co by zrobili, gdyby wybuchła wojna. Podobne pytania zadają także dziennikarze. Urobek tych eksploracji pojawia się potem w mediach i okazuje się, że plus minus połowa z nas wolałaby wyjechać z kraju. Rodzice, najczęściej matki, deklarują ponadto, że zrobią wszystko, żeby ochronić synów przed wojskiem. Niektórzy już teraz kupują awaryjne mieszkanie na Zachodzie, gdzie ich zdaniem powinno być bezpieczniej, albo się upewniają, że w razie czego zagraniczni krewni przyjmą chłopaka pod swój dach. Zakładają mu też konto bankowe poza Polską, żeby potem, kiedy wybije czarna godzina, mógł tylko włożyć buty i wyjechać, zanim rząd zamknie granice dla mężczyzn w wieku poborowym.

Czy taka postawa jest naganna? Wydaje się, że przynajmniej dla części z nas – tak. Przysłuchując się dyskusjom, jakie toczą się na ten temat w mediach, wyczuwam niedopowiedziane, ale wyraźne potępienie. Słowo „tchórz" czy „zdrajca" pada rzadko, jednak przytaczane przy takich okazjach dla kontrastu dane z Ukrainy są i tak wymowne. Łatwo odczytać ukryty pod nimi komunikat: „Patrzcie, oni w czwartym roku wojny nadal chcą walczyć, dopóki będzie trzeba, a my obmyślamy ucieczkę, mimo że wojna u nas nawet nie wybuchła". To oczywiście nieprawda, że wojna nie wybuchła. Coraz częściej słychać, że nie jest już ona kwestią przyszłości – ostatnio przyznali to m.in. kanclerz Niemiec Friedrich Merz i była szefowa brytyjskiego kontrwywiadu MI5 Eliza Manningham-Buller – ale pomińmy w tej chwili tę kwestię. Przyjrzyjmy się szantażowi moralnemu, jaki niosą ze sobą potępiające wypowiedzi o potencjalnych uciekinierach.

> W ojczyźnie najpierw się żyje, a dopiero potem – w ostateczności i z własnego wyboru – się za nią umiera.

Idea umierania za ojczyznę jako najwartościowszej formy patriotyzmu sięga czasów rzymskich. Popularna łacińska sentencja *Dulce et decorum est pro patria mori* (Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę) autorstwa Horacego zakorzeniona jest w fundamentalnej rzymskiej cnocie zwanej *virtus* (od *vir* – mąż). Cnota ta oznacza męstwo, odwagę i siłę w opozycji do słabej kobiecości. Wprawdzie sentencja Horacego została wyryta na pomniku hetmana Stanisława Żółkiewskiego w Berezowce (Mołdawia), gdzie poległ w walce, i tą drogą weszła do polskiej historii, jednak to nie rzymska cnota męstwa nawiedza dzisiaj Polskę. Współcześnie borykamy się z jej chorobliwą XIX-wieczną mutacją, która wyewoluowała po rozbiorach i tym się różni od *virtus* z czasów Horacego czy Żółkiewskiego, że uwzniośla nie siłę, lecz śmierć. Jak pokazuje Wojciech Śmieja w znakomitej książce „Po męstwie", polska męskość porozbiorowa ma złamany kręgosłup. Wie, że brak jej sił, by pokonać miażdżące ją obce potęgi, więc kompensacyjnie gloryfikuje tzw. ofiarę krwi – śmierć nie dla realnego zwycięstwa, tylko dla triumfu moralnego. Ta mętna metafizyka klęski jako prawdziwej wygranej traktuje krew jako walutę w handlu z Bogiem, któremu należy polać na czerwono, żeby raczył nam zwrócić „ojczyznę wolną". To przeciw niej protestowała Maria Peszek, kiedy w piosence „Sorry, Polsko" śpiewała: „Nie oddałabym ci ani jednej kropli krwi". Ojczyzna, która żywi się śmiercią, nie zachęca, by za nią umierać.

Polski patriotyzm stoi na głowie i niestety nie jest to jedna z korzystnych dla mózgu pozycji odwróconych, jakie praktykuje się w jodze. Ojczyzna to przecież nie tylko wielki zbiorowy obowiązek, ale też wzajemne zobowiązanie – że my i ona będziemy wobec siebie lojalni i w miarę możliwości będziemy się wspierać. Ojczyzna jest po to, żeby w niej żyć, czując się jej równoprawną, ważną częścią. Powinna być naszym domem, nie po wojnie czy po wyborach (czytaj: na święty nigdy), tylko jak w hymnie: póki my żyjemy. Czy nim jest? Czy się o to stara? Niech każdy oceni to sam.

Ja od ćwierć wieku słyszę, że na związki partnerskie jest za wcześnie, a o uznaniu mojego i żony małżeństwa zawartego w Danii w ogóle mogę zapomnieć. Mimo że płacę podatki i nikogo nie krzywdzę, ojczyzna komunikuje mi, często naprawdę plugawym językiem, że nie zasługuję na równość i szacunek, ponieważ jakiemuś politykowi moje życie kłóci się z religią. Nie sądzę więc, by ojczyzna miała moralne prawo żądać ode mnie poświęcenia. Jak w matematyce: kluczowa jest kolejność działań. W ojczyźnie najpierw się żyje, a dopiero potem – w ostateczności i z własnego wyboru – się za nią umiera.

To przecież bardzo proste. Ludzie już tak mają, że po dobroci utożsamiają się ze zbiorowością, którą współtworzą z innymi na równych zasadach i w której traktowani są podmiotowo. W naturalny sposób czują się wtedy zobowiązani i bez przymusu angażują się po stronie tego, co działa sprawiedliwie również dla ich dobra, i są gotowi tego bronić. Niektórzy pewnie na polu walki i nawet za cenę życia, ale przecież opór ma wiele twarzy. W oporze, tak jak w życiu, dla każdego jest miejsce.

RENATA LIS

eprasa.pl acfe9a7195

Różnorodność i tym podobne g...

Oprócz uzbrojenia współczesna armia potrzebuje nowoczesnego żołnierza. Prace nad takim żołnierzem trwają. Czytam, że Chiny przygotowują nowy typ piechura, którego podstawą ma być egzoszkielet wyposażony w najnowsze technologie pola walki. Dzięki niemu chiński piechur zyska na sile i wytrzymałości, stając się zabójczym połączeniem człowieka i maszyny w jedno taktyczne urządzenie.

Z przemówienia sekretarza wojny USA Pete'a Hegsetha do amerykańskich dowódców wynika, że wysiłki administracji Trumpa idą w trochę innym kierunku. Według Hegsetha w wyniku głupiej polityki amerykańskiego żołnierza przez dekady dotykał rozkład. „Zbyt długo awansowaliśmy zbyt wielu dowódców z niewłaściwych powodów" – podkreślił, dając do zrozumienia, że na wysokich stanowiskach są dzisiaj dowódcy, którzy nawet jeśli są właściwi, to z powodów zupełnie innych niż te, dla których zostali awansowani przez przełożonych, którym wydawali się właściwi.

W celu wyłonienia właściwych ludzi do awansowania Hegseth zapowiedział przyjęcie nowych standardów dla wszystkich żołnierzy, w tym generałów. Mają obejmować m.in. testy sprawności oraz sprawdzanie wagi i wzrostu dwa razy do roku. W ten sposób rozkład zostanie powstrzymany, a amerykański żołnierz zacznie wyglądać jak żołnierz, a nie jak łachudra i przebieraniec.

Oprócz pomyłkowo awansowanych dowódców do zjawisk, które należy z wojska wyeliminować, Hegseth zaliczył facetów z długimi włosami i brodami, facetów w sukienkach oraz „osoby ze złudzeniami płciowymi i tym podobne g…". Na dowódców zaburzeńców padł blady strach; wygląda na to, że pod rządami ludzi takich jak Hegseth ich ekscytująca przygoda z wojskiem dobiega końca.

Sekretarz ogłosił także ujednolicenie wymagań dla kobiet i mężczyzn służących w US Army. Jak rozumiem, chodzi o to, żeby kobietom nie było w tej armii za lekko, tylko tak jak mężczyznom albo ciężej. I żeby w ramach ujednolicania kobiety służące w wojsku były trudno odróżnialne od mężczyzn, co zmyli wroga i utrudni mu wrogie działania.

W tej sytuacji trochę niepokoi informacja, że sztab generalny polskiej armii obrał zupełnie inną strategię i w ramach operacji Szpej pracuje nad wzorami mundurów dla kobiet. Grozi to tym, że kobiety w polskim wojsku będą wyglądać zupełnie inaczej niż mężczyźni. W dodatku istnieje obawa, że na różnych stanowiskach dowódczych znajdą się osoby, które w wyniku różnych złudzeń i zaburzeń zaczną się w te damskie mundury przebierać.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(dyr.)*,

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWCZY
Piotr Zmelonek (dyrektor) *22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyrektor) *67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk (dyrektor)

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: *tel. 67 210 86 30*,
e-mail: infolinia@polityka.pl
tel. 22 451-61-00, 451-61-15

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: *tel. 22 336-79-16*,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad8 leipa passion process technology

eprasa.pl acfe9a7195

Racja stanu za grosze

W projekcie budżetu na 2026 r. konieczność nakładów na obronność stała się argumentem dla cięć w innych obszarach. Także w nauce. Gdzie tu logika?

© MP

Polskie wydatki na obronność w dużej mierze oznaczają kolejne kontrakty na sprzęt z Korei Południowej czy plany budowy systemu obrony przeciwlotniczej wzorowanego na izraelskiej „żelaznej kopule". Co łączy te kraje? Pięciokrotnie większy niż u nas odsetek PKB przeznaczany na naukę. Ich władze doskonale wiedzą, że własne technologie zwiększają bezpieczeństwo, a także przynoszą zyski. My natomiast wydajemy dużo na zbrojenia, ale niewiele trafia na polski rynek. Choć krótkoterminowo takie koszty są konieczne, czy na dłuższą metę nie lepiej inwestować w naukę? Strategia oparta na współpracy między nią, przemysłem i rządem, wzorowana na amerykańskiej Agencji Zaawansowanych Projektów Badawczych Departamentu Obrony (DARPA) – finansuje nie tylko technologie kwantowe czy AI, ale także rozwój nowych leków, np. przeciw chorobom zakaźnym. A dzięki sprzedaży leku przeciw cukrzycy i otyłości Ozempic Dania w 2023 r. zanotowała wzrost PKB o 1,7 proc. zamiast prognozowanego przez ekonomistów jego spadku. Z drugiej strony nawet najbardziej przełomowa technologia jest bezwartościowa, jeśli społeczeństwo nie potrafi jej zaakceptować. W dobie kampanii dezinformacyjnych nauki społeczne i humanistyka są narzędziem obrony – pomagają zrozumieć manipulacje i tworzyć strategie przeciwdziałania fałszywym informacjom.

Wbrew narracji sukcesu i powtarzaniu kwot podwyżek i „dosypek", którymi szczyci się Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, względne nakłady na naukę nigdy nie były tak niskie. Jako kraj marzący o byciu potęgą gospodarczą wydajemy na naukę jedynie 1,027 proc. PKB (nasz „rekord" XXI w.), a ok. 1,46 proc., wliczając inwestycje przemysłu w rozwój i badania. Według ustaleń krajów Unii Europejskiej naszym celem powinno być 3 proc., minister nieśmiało mówi o dochodzeniu do średniej unijnej na poziomie 2,2 proc. PKB.

W kontekście wypracowania strategii dla nauki szczególnie niepokojącą kwestią jest coroczna walka o finansowanie budżetu Narodowego Centrum Nauki. Instytucja, która wypracowała najlepsze standardy światowe, wzorując się na prestiżowym European Research Council, z powodu braku funduszy nie jest w stanie wystarczająco wspierać jakościowych badań podstawowych. Dofinansowanie jej tak, aby zabezpieczyć 25 proc. współczynnika sukcesu (akceptacja jednego na cztery wnioski) odnowiłoby nadzieję na przyszłość naszej nauki. Cel ten został zresztą wpisany w „Strategię Rozwoju Polski do 2036". Tyle że deklaracje radykalnie rozmijają się z działaniami. Zamrożenie finansowania NCN w projekcie budżetu na 2026 r. oznacza, że do utrzymania aktualnego – niskiego – współczynnika sukcesu 10 proc. brakuje ponad 400 mln zł. System grantowy oparty o konkursy na pomysły badawcze powinien być solidnym i realnym oparciem dla najlepszych badaczy. Jest jak demokracja – nieidealny, ale nie znaleziono lepszej alternatywy.

Głoszony w 2024 r. przez MNiSW „rekordowy wzrost pensji w nauce" (o 30 proc.) jedynie wyrównał skumulowaną inflację z wcześniejszego okresu. I objął tylko część pracowników naszego sektora.

Z raportów Ośrodka Przetwarzania Informacji wynika, że prawie 20 proc. polskich naukowców pracuje poza szkolnictwem wyższym. Z czego ok. 7 proc. w instytutach PAN, których statutowym celem jest prowadzenie badań podstawowych (tak jak Państwowych Instytutów Badawczych – aplikacyjnych). Jak pokazują analizy cytowań, potencjał badawczy iPAN jest większy niż któregokolwiek z wiodących polskich uniwersytetów badawczych. Zamiast rozwijać ten potencjał, kolejni ministrowie nauki wprowadzają rozwiązania, które pogłębiają niekorzystne dysproporcje między uczelniami a instytutami badawczymi. Dotyczy to i statutowej aktywności iPAN, i warunków zatrudnienia. Jak uznać za atrakcyjne najniższe wynagrodzenie asystenta (4685 zł brutto, czyli 19 zł powyżej pensji minimalnej)? Jaką zachętę do rozwoju ma pracownik PAN, którego docelowa pensja po uzyskaniu samodzielności naukowej (7777,10 zł) oscylować będzie wciąż poniżej średniej krajowej?

Pracownicy szkolnictwa wyższego na mocy ustawy otrzymują tzw. trzynastki. Z braku takich regulacji w przypadku iPAN czy PIB wypłata jakichkolwiek świadczeń poza pensją minimalną jest często niemożliwa. Stabilność? Narastające latami niedofinansowanie jednostek PAN doprowadziło do sytuacji, w której część informowała o ryzyku niewypłacalności (m.in. mający najwyższą kategorię A+ Instytut Psychologii PAN).

I wreszcie w 2026 r. trudno znaleźć uzasadnienie dla pomysłu, by w 20. gospodarce świata doktorantom wypłacać przez pierwsze dwa lata stypendium 3466,90 brutto bez umowy o pracę. To niecałe 75 proc. pensji minimalnej. A mówimy tu o najzdolniejszych absolwentach studiów magisterskich. Przykład ten świetnie ukazuje system naczyń połączonych, jakim jest nauka. Jak wskazuje Rada NCN, jednym z ryzyk wynikających ze zmniejszenia finansowania tej instytucji jest ograniczenie naborów do szkół doktorskich w jednostkach PAN (niejednokrotnie oferują wyłącznie stanowiska projektowe). Znaleziono środki na działania dalekie od obronności, jak budowa Pałacu Saskiego, finansowanie nierentownych kopalni czy przygotowań do igrzysk olimpijskich za 20 lat. A nie jesteśmy w stanie zaoferować osobie – której badania mogą stać się kluczowe dla przemysłu, medycyny, cyberbezpieczeństwa czy też odporności społeczeństwa – pensji, która pozwala na przetrwania i godne funkcjonowanie?

Nasz tekst nie jest wyczerpujący – lista problemów, z którymi zmaga się nauka, mogłaby wypełnić jeszcze kilka podobnych. Chcemy jednak zwrócić uwagę, że po pierwsze, należy podnieść poziom dotacji statutowych i zapewnić adekwatne subwencje jednostek naukowych, pozwalające pokryć wynagrodzenia pracowników naukowych, technicznych i administracyjnych oraz utrzymać infrastrukturę i podstawową aktywność badawczą. Wzrost wydatków na naukę powinien długofalowo zapewnić możliwość powiązania pensji w sektorze akademickim ze średnią krajową, tak by praca w tym sektorze nie traciła na atrakcyjności względem innych możliwości. Po drugie, konieczne jest wsparcie NCN, tak by był on w stanie, w trybie konkursowym, sfinansować najlepsze projekty wybrane przez ekspertów.

Apelujemy zatem w imieniu nie tylko środowiska naukowego, ale i obywateli, o poważne potraktowanie polskiej nauki jako fundamentu naszego bezpieczeństwa i rozwoju. Nauka jest polską racją stanu!

MARIA GÓRNA, ŁUKASZ OKRUSZEK, AGATA STAROSTA, MICHAŁ GDULA, MACIEJ GRZYBEK, MACIEJ JUZASZEK, KINGA KAMIENIARZ-GDULA, ARTUR OBŁUSKI – PRZEDSTAWICIELE „POKOLENIA NCN", KIEROWNICY ZESPOŁÓW BADAWCZYCH NA WIODĄCYCH POLSKICH UNIWERSYTETACH ORAZ W INSTYTUTACH PAN.

ICH PETYCJĘ DO WŁADZ W SPRAWIE FINANSOWANIA NAUKI PODPISAŁO JUŻ PRAWIE 5 TYS. OSÓB.

Cały tekst na polityka.pl i projektpulsar.pl

eprasa.pl acfe9a7195

KĄCIK ADOPCYJNY im. STANISŁAWA TYMA

Dobry zwierzak szuka dobrego człowieka

Kajtek

Warszawa, pies, 7 miesięcy, 12 kg, średnio aktywny

Wierny psiak, który z racji młodego wieku potrzebuje akceptacji, wyrozumiałości i czasu na naukę. Bardzo stara się zrozumieć, czego się od niego oczekuje. Będzie doskonałym towarzyszem.

Maciuś

Warszawa, pies, 2 lata, 35 kg, średnio aktywny, zaszczepiony, odrobaczony, wysterylizowany

Psiak w typie czarnego labradora, w sensie fizycznym i psychicznym. Przytulak i pieszczoch, pogodny i dobrze nastawiony do dzieci i zwierząt. Jest niewidomy, co wymaga od jego człowieka większego zaangażowania w psie sprawy i dobrej organizacji. Pomimo niepełnosprawności doskonale radzi sobie z codziennością.

Livvy

Opoczno, kotka, 1 rok, 2 kg, mała, średnio aktywna, odrobaczona, wysterylizowana

Trochę nieśmiała kotka, która potrzebuje cierpliwego towarzysza. Lubi dzieci i potrafi znaleźć z nimi wspólny język. Zdrowa (testy FIV/Felv ujemne), mieszka w domu tymczasowym z dziećmi i psami – i doskonale sobie radzi. Najlepiej by było, gdyby mogła zamieszkać ze swoją mamą Arią.

Imre

Warszawa, kot, 1 rok, 3 kg, średnio aktywny, zaszczepiony, odrobaczony, wysterylizowany

Niebieskooki kot z lekkim zezem, co tylko dodaje mu uroku. Nieśmiały, z początku woli trzymać dystans, jest jednak idealnym towarzyszem cichego, domowego życia. Oddany i przyjazny – pod warunkiem pozostawienia mu jego własnej przestrzeni – w stosunku do dzieci i innych zwierząt.

Tula

Warszawa, suczka, 5 lat, 17 kg, bardzo aktywna, odrobaczona, wysterylizowana

Rozsadza ją energia; kocha zabawę i spacery. Będzie idealną towarzyszką w aktywnym domu. Nie przeszkadza jej szybkie tempo i bodźce, ale potrzebuje przestrzeni i czasu, aby wyładować swoją energię. Lubi dzieci oraz inne zwierzęta, ale znacznie lepiej radzi sobie z tymi spokojnymi. Wnosi w życie dużo radości. Kiedy zapewni jej się odpowiednią dawkę aktywności, staje się typowym kanapowcem.

Freya

Kraków, suczka, 9 lat, 12 kg, średnio aktywna

Uratowana wraz z rodzeństwem – żyła w bardzo złych warunkach – nie traci nadziei na lepsze życie. Jest otwarta i kontaktowa, zawsze wesoła i spragniona czułości. Bardzo szybko się uczy; będzie doskonałą towarzyszką.

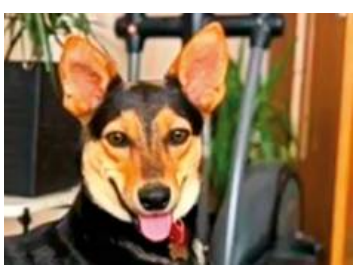

Za materiał do naszego kącika dziękujemy Adopciakom, grupie wolontariuszy działających w ramach Fundacji Viva!

Kontakt w sprawie adopcji (za pośrednictwem Adopciaków): tel. **665 892 773** lub **574 186 683**. Adres mailowy: **tpz.opoczno@gmail.com**

Wolny transfer

W artykule „Wolny transfer" zamieszczonym w poprzednim wydaniu POLITYKI (nr 40) znalazł się błąd. Wspomniany tam pan Jacek Kozłowski nigdy nie pełnił funkcji sekretarza partii Polska 2050 – był jej wiceprzewodniczącym. A od powołania na stanowisko wiceprezesa NIK w grudniu 2023 r. nie należy do żadnej partii politycznej. Przepraszamy pana Jacka Kozłowskiego za pomyłkę.

REDAKCJA

eprasa.pl acfe9a7195

TREND

Zielona recepta

Idziemy do lasu, do parku, z uwagą patrzymy na zachodzące słońce. Dlaczego? Z przepisu lekarza.

Jesieniarstwo ma w tym sezonie nowe barwy. Kocyki, świece o zapachu dyni i gorąca czekolada to trend, który nadal praktykujemy, ale siedzenie w zamkniętych pomieszczeniach ograniczamy na rzecz życia zewnętrznego. Wychodzimy w przyrodę: oglądać pomarańczowiejące drzewa, brodzić w liściach z drzew opadłych, słuchać odlatujących ptaków. Może nie jest to aż tak przyjemne i ekscytujące jak wiosną, ale za to terapeutyczne. Nie tylko według mądrości ludowej – teraz lecznicze właściwości kontaktu z naturą uznaje także medycyna konwencjonalna. I przepisuje na receptę – a jakże – zieloną.

To oczywiście nazwa umowna, ale program jest jak najbardziej realny i konkretny. *Green Social Prescribing Project* został zainicjowany w Wielkiej Brytanii w 2020 r. w czterech regionach kraju, które najmocniej dotknęła pandemia. Projekt obejmował też dwuletnie badania, a ich wyniki opublikowane w 2024 r. nie tyle zaskakują, ile czarno na białym udowadniają, jak istotny wpływ ma zielona terapia. Wśród badanych, czyli osób przebywających w naturze, poczucie szczęścia (mierzone w 10-punktowej skali) wzrosło z 5,3 do 7,5, zadowolenie z życia – z 4,7 do 6,8, a poziom niepokoju spadł z 4,8 do 3,4.

Indywidualna korzyść to jedno, kolektywna – drugie, bo rezultaty przeliczono na funty. Każdy zainwestowany w program funt zwrócił się niemal dwuipółkrotnie, a w sumie wartość – o ile można ją twardo mierzyć – poprawy samopoczucia obywateli wyniosła 14 mln. Nieźle jak na patrzenie na krzaczki czy słuchanie wróbli ćwirków.

Nie tylko Wielka Brytania robi zielony zwrot, także w Kanadzie lekarze zalecają spędzanie czasu na łonie natury, a do recepty dołączają wejściówkę do parków narodowych. Australijczycy z kolei przebadali, że mieszkańcy miast, w których jest przynajmniej 30 proc. zielonych terenów, mają znacząco mniejsze ryzyko zachorowania na cukrzycę i dolegliwości psychologiczne. „We wszystkich naszych pracach badawczych bierzemy pod uwagę przyczyny społeczno-ekonomiczne, takie jak dochód i wykształcenie, i nadal znajdujemy dowody na to, że tereny zielone korzystnie wpływają na zdrowie psychiczne i fizyczne” – przekonuje niedowiarków prof. Xiaoqi Feng z Uniwersytetu Nowej Południowej Walii, cytowana przez „Guardiana”.

Co może nieco zaskakiwać, zielona terapia zmniejsza o 25 proc. również ryzyko innej choroby cywilizacyjnej – samotności. Także dlatego, że wiele z „przepisanych” aktywności ma charakter grupowy – jak spacery z kijami, wykopki w miejskim ogrodzie czy pomoc sąsiadom w pielęgnowaniu trawnika.

Słyszeliście kiedyś o pełzającym miejskim trendzie kąpieli leśnych? To nic innego jak zaimportowane z Japonii zjawisko o nazwie *shinrin-yoku*, rekomendowane przez japońskich lekarzy od ponad 40 lat. Kto szuka wymówek, niech posłucha znanego powiedzonka z jeszcze innej części świata, czyli ze Skandynawii: „Nie ma złej pogody, są tylko złe ubrania”. Wystarczy więc się zaopatrzyć w te niezłe i iść tulić się z brzozami. I jeszcze jedna ciekawostka: kto naprawdę nie chce zanurzyć się w zieleni, może liczyć na alternatywną „niebieską receptę” – czyli kontakt z akwenami.

No dobrze, ale jak do tego podejść praktycznie, jeśli nie mieszkamy ani pod lasem, ani przy parku? Podpowiedzi można znaleźć choćby na stronach WWF, czyli Światowego Funduszu na rzecz Przyrody. Organizacja poleca 20 min dziennie w naturze i podpowiada, żeby najbliższego zooma zrobić np. z ławki w parku. A tym, którzy tkwią w betonozie – choćby uważne oglądanie zachodu słońca, nawet przez szybę. Ponoć już malutki gest, choćby postawienie roślinki na biurku, może pomóc w zwiększeniu naszego dobrostanu. Kto by pomyślał, że aby nie odbiła nam palma, wystarczy nam towarzystwo paprotki. ■

Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE, META, GETTY IMAGES

eprasa.pl acfe9a7195

TECHNO

Okulary od Zuckerberga

Prototypowe smartokulary Google Glass z 2012 r. sprawiały, że ich użytkownik wyglądał, jakby był bojowym cyborgiem wysłanym z przyszłości, przez co budziły nieprzyjemne reakcje osób postronnych. Sprzęt do rzeczywistości rozszerzonej (AR, augumented reality), umieszczającej elementy wirtualne w prawdziwym świecie, stał się domeną profesjonalistów – jest wykorzystywany w przemyśle, ochronie czy sporcie. Kolejne firmy podejmują jednak próby zainteresowania smartokularami zwykłych konsumentów. Tak robi choćby Meta Marka Zuckerberga, który wcale nie odłożył na półkę planów zbudowania metawersum i na ostatniej konferencji zaprezentował nowe generacje produktów służących do eksplorowania rzeczywistości wirtualnej (VR). To zabawki, które znalazły swoją niszę wśród entuzjastów gier, influencerów i eskapistów.

O ile kask VR używany jest w domu, o tyle okulary (podobnie jak smartwatche) traktowane są jak biżuteria (za oprawki odpowiada firma Ray-Ban). Są dość eleganckie i dyskretne, chociaż w przypadku najnowszego modelu (**Meta Ray-Ban Display**) to funkcjonalność wzięła górę – grube oprawki mieszczące baterię, elektronikę i kamery robią wrażenie, jakby Zuckerberg postanowił zaludnić świat kujonami. Kolorowy wyświetlacz o wysokiej rozdzielczości pozwala wyświetlać mapy, odbierać wiadomości, a także używać asystenta Meta AI. Sterowanie odbywa się przy pomocy gestów dłoni, odczytywanych przez estetyczną opaskę Neural Band. Koncept ciekawy, ale na dłuższą metę wydaje się mniej praktyczny niż smartfon z rozszerzającymi rzeczywistość smartsłuchawkami, mniej inwazyjnymi, jakkolwiek by patrzeć.

Zupełnie inaczej wygląda to w przypadku okularów Oakley Meta, przeznaczonych dla sportowców. Nagrywanie deskorolkowych popisów z perspektywy pierwszej osoby czy wyświetlanie trasy i parametrów (współpracują z popularnym sportowym zegarkiem Garmin) może okazać się atrakcyjne dla aktywnych fizycznie (i zamożnych) fanów techniki.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Tak zwane rozmo

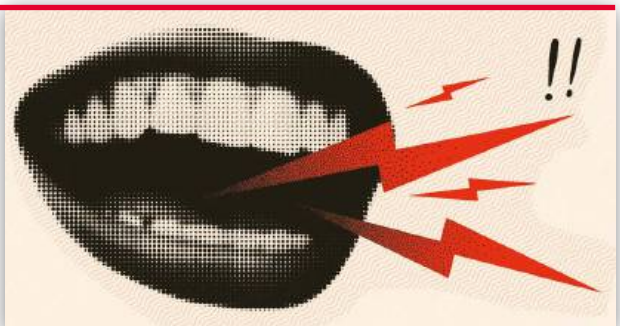

Nie rozmawiamy, nie rozmawiamy ze sobą wcale – linijka z tekstu Fisza sprzed ćwierć wieku nabierała dodatkowego znaczenia, kiedy rozmowy cichły i zamieniały się na dialogi w komunikatorach. Aż pojawiło się słowo „rozmo". Najpierw jako hasło w grach wideo, kiedy zamiast wymiany zdań na klawiaturze i ekranie ktoś miał ochotę przejść na kanał lub czat głosowy („dawaj na rozmo"). Teraz skrócona wersja „rozmowy" – bo zasadniczo o to chodzi w nowym słowie – stała się popularnym komentarzem. Często oznacza się w ten sposób publikowane w sieci screeny prowadzonych na komunikatorach rozmów: bezsensownych, zabawnych lub takich, w których strony ewidentnie nie mogą się ze sobą dogadać.

Są tu przypadki ponure i makabryczne („Zaraz, co? Charlie Kirk nie żyje? Nie wiadomo jeszcze. Dobra, już wiadomo"), są dziwne („rozmo" znaleźć można przy dialogu Grzegorza Brauna, który broni swoich teorii w rozmowie z młodzieżową dziennikarką sejmową), są wreszcie konwersacje zmierzające donikąd: „ Co tam? Chu...owo. A co u ciebie? Chu...owo", skomentowane jako „przeciętna rozmowa użytkowników X" i „tak zwane rozmo". Mamy więc do czynienia nie z prostym słowem, tylko raczej z sarkastycznym podsumowaniem rzeczywistości. A przede wszystkim oznaczeniem wiralowej treści, bo te strzępki rozmów publikowane są rzecz jasna dla zabawienia innych w mediach społecznościowych.

Oczywiście to wciąż przydatne słowo pojawiające się w tradycyjnych znaczeniach. Choćby w postach: „Tak się ubrałam na rozmo o pracę" albo „Dostałam tel o następną rozmo". Zwykle jednak stopień abstrakcji i komplikacji jest wyższy. Kiedy na przykład poseł prawicy donoszący na innych polskich polityków do Donalda Trumpa opublikował swoje zdjęcie w koszulce „Trump 2024" i komentarzem „Be like Polish-American voters!", dostał w odpowiedzi: „You are very konfident". Gdyby tam było „c", oznaczałoby to pewność siebie. „Konfident", jak już pisałem (POLITYKA 25/24), oznacza kogoś, komu lepiej nie wyjawiać sekretów. Czyli to też było „tak zwane rozmo".

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Porobione du...y chcą już podbić,
Ich zazdrosne chłopaki chcą nas pobić.
BROKIES, discokarol_, pirlo444_ & Dajczman, Puk Puk, 2025 r.
podbić – podejść
porobiony – odurzony (alkoholem, narkotykami)

eprasa.pl acfe9a7195

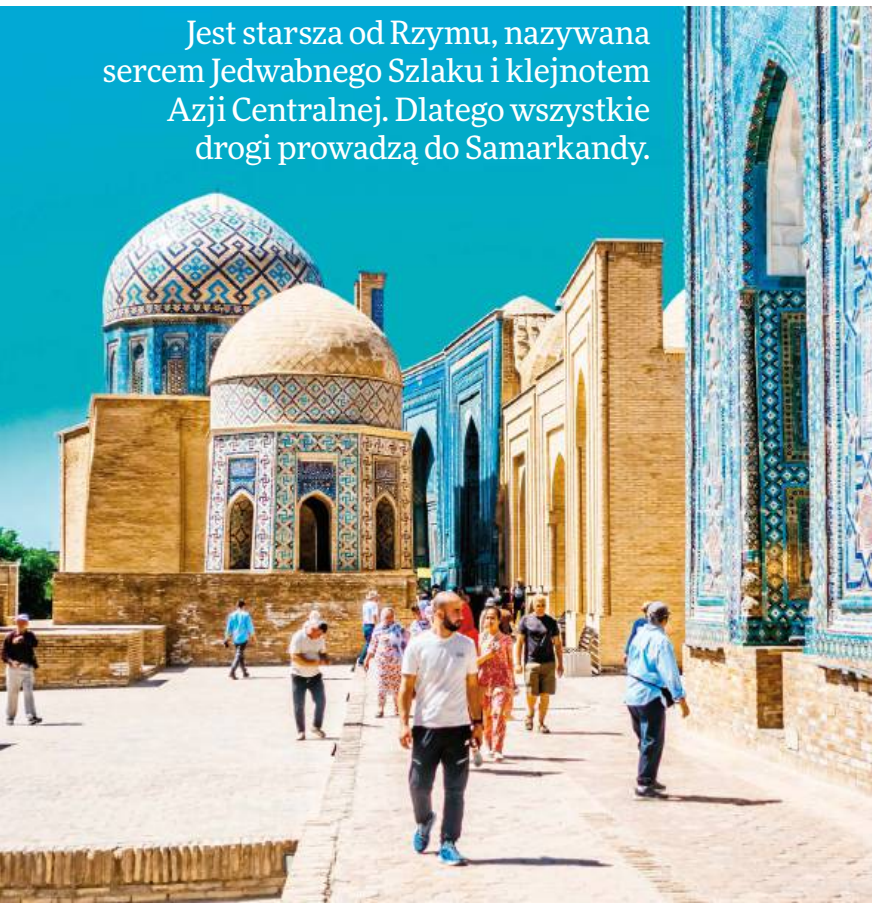

Jest starsza od Rzymu, nazywana sercem Jedwabnego Szlaku i klejnotem Azji Centralnej. Dlatego wszystkie drogi prowadzą do Samarkandy.

PODRÓŻE

Miasto 1001 nocy

Mongolski władca Timur Chromy, Europejczykom znany bardziej jako Tamerlan, wiedział, co robi. Założył w **Samarkandzie** stolicę swojego państwa, które rozciągało się od Indii po Turcję. Kochał to miasto i potrafił to wyrazić. Rozmachu mu nie brakowało. Sprowadzał tu najlepszych artystów i rzemieślników ze wszystkich krajów, które udało mu się podbić. Nie miał ograniczeń i nie oszczędzał. Do Samarkandy trafiali zatem specjaliści od błękitnych mozaik z Persji, kamieniarze z Indii, architekci i złotnicy. Wszystko po to, żeby zrobić z tego miasta prawdziwą architektoniczną perełkę.

To tutaj przecinały się trasy Jedwabnego Szlaku. Gwoli przypomnienia: nie jest to rzeczywista droga, ale sieć tras, które przemierzały karawany wielbłądów od Pekinu do Bagdadu i dalej do Laguny Weneckiej. Nazwę „Jedwabny Szlak" wymyślił niemiecki geograf i podróżnik Ferdinand von Richthofen i po raz pierwszy użył jej w 1877 r., by opisać w ten sposób drogi wymiany towarów między Europą a Azją Wschodnią. A kupcy przewozili z Chin do Europy m.in. właśnie jedwab.

Jedwabny Szlak rozciągał się na długości ok. 6437 km, obejmując swym zasięgiem pustynię Gobi i góry Pamir. I gdzieś pośrodku znalazła się Samarkanda, położona na skrzyżowaniu kultur świata. Jedno z najstarszych, wciąż istniejących i zamieszkanych miast na świecie. I najbardziej czarujących w Uzbekistanie. Nawet Aleksander Wielki nie mógł się oprzeć. Miał powiedzieć: „Wszystko, com słyszał o Samarkandzie, okazało się prawdą, z wyjątkiem tego, że jest piękniejsza, niż sobie wyobrażałem". Nie ma w tym cienia przesady. W 2001 r. miasto trafiło na listę UNESCO.

Po upadku dynastii Timurydów znaczenie Samarkandy spadło, jednak potęgi i majestatyczności jej architektury nikt nie podważa do dzisiaj. Turkusowe kopuły, imponujące budowle to znak rozpoznawczy miasta. Meczety, mauzolea, a także madrasy, czyli szkoły muzułmańskie, charakteryzują się niezwykłym zdobnictwem, imponującą architekturą i sporymi – jak na czasy swojego powstania – rozmiarami. Samarkanda niczym Szeherezada raczy opowieściami o każdej ze swoich imponujących budowli.

Do najbardziej spektakularnego zabytku, którym jest plac Registan, wracam więc dwa razy, m.in. na zachód słońca. Nie przytłacza mimo rozmachu, jest zachwycający. Ten plac otoczony trzema madrasami: Ulugbeka, Szirdor i Tilla-Kori, był dawniej tętniącym życiem targowiskiem pełnym ludzi. Ogłaszano tutaj także publiczne deklaracje i wykonywano egzekucje. Dzisiaj po tej burzliwej przeszłości nie ma śladu, plac Registan jest imponującym świadectwem ludzkiej pomysłowości. I podobno częściowo zainspirował późniejszy projekt Tadż Mahal.

Kolejny, niemały zabytek – kiedy powstawał, był największym na świecie meczetem – jest kilkaset metrów od Registanu. Meczet Bibi Chanum został wybudowany na cześć żony Timura Saraj Mulk Chanum, która spoczęła w pobliskim mauzoleum. Trudno odmówić splendoru tej budowli. Sam łuk wejściowy ma 35 m, a przynależne do niego minarety aż 50! Mniej historyczny, jednak też wart uwagi, jest bazar Siyob, tuż obok. Idealny przystanek, by przyjrzeć się, jak życie targowe kwitnie we współczesnym Uzbekistanie. Warto spędzić tutaj więcej czasu, negocjując lepsze ceny, skubiąc i zajadając świeżą lepioszkę i po prostu rozmawiając z przemiłymi i wiecznie uśmiechniętymi mieszkańcami Samarkandy.

Do Szah-i Zindy, położonego na wzgórzu zespołu wielkich, zabytkowych mauzoleów z plątaniną turkusowych grobowców z XIV w., z meczetu Bibi Chanum jest jakieś pół godziny spacerem. Kompleks został założony ponad 1000 lat temu, aby upamiętnić miejsce, w którym według legendy pochowany został kuzyn Mahometa Kusam Ibn Abbas. Wędrówka po Szah-i Zindzie to jak podróż przez warstwy historii w wyjątkowo pięknym, jak na grobowce, otoczeniu. Delikatne grawerunki na tysiącach glazurowanych płytek, gra światła, ukryte korytarze, różnorodne style architektoniczne budowli powstałych na przestrzeni setek lat. Tutaj duch „Baśni 1001 nocy" jest wyjątkowo obecny. I pomyśleć, że za kolejnymi zakrętami czekają kolejne opowieści. ■

Magdalena Gorlas
– dziennikarka w podróży. Publikowała m.in. w „Chicago Tribune", POLITYCE, „Vogue'u", „Dużym Formacie" czy „Piśmie. Magazynie Opinii".

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE (2), BARTEK KIEŻUN

eprasa.pl acfe9a7195

Złota polska baba

Oto polski deser, który pokochali Francuzi, a potem Włosi. A zaczęło się od króla Stanisława Leszczyńskiego.

Włosi są ciekawscy. Wracające pytanie: „Di dove sei?" (skąd jesteś?) traktuję jak wstęp do świetnej zabawy. „Polonia, Polska" – odpowiadam głośno i wyraźnie. I czekam. Jeszcze ani razu się nie zawiodłem. „Bologna" – mówią Włosi – „Bologna è bella". Gdy wyjaśniam, że mieszkam nad Wisłą, reakcja też jest do przewidzenia: do rozmowy wkrada się od razu Karol Wojtyła.

W Gambrinusie, jednej z najstarszych kawiarni w Neapolu, początek rozmowy był standardowy. Kiedy jednak dotarliśmy do miejsca, w którym zwykł się objawiać Jan Paweł II, chłopak za barem uśmiechnął się i oświadczył, że muszę zamówić kultowy neapolitański deser. **Babà** ma polskie korzenie – dodał. Poplotkowaliśmy nieco o koronowanych głowach łączących oba kraje. Ustaliliśmy, że zaczęło się od rodu Leszczyńskich, którego siedziba w wielkopolskiej Rydzynie, postawiona zresztą przez włoskich architektów, zachwyca idealnymi proporcjami.

Stanisław Leszczyński, rządzący Polską bez ruszania się z ukochanej Rydzyny, był sybarytą. Lubił jeść, tyle że miał paskudny zwyczaj: moczył drożdżowe babki w rumie i się nimi zajadał, upijał pewnie też. O tym annały milczą, ale można przypuszczać, że owo zachowanie miało swoje drugie dno. Historia rzuciła go z czasem na dwór francuski, gdzie jego córka Maria z polskiej księżniczki stała się francuską królową.

Francuzi nie mogli patrzeć na rozpadające się wilgotne ciasto, jedwabne szaty pełne okruchów, brudne naczynia i jeszcze brudniejsze stoliki, przy których siadał Stanisław. Kucharze zachodzili w głowę, jak oduczyć moczenia ciastek teścia najważniejszej osoby w kraju. Wpadli na pewien pomysł, który sprawił, że przeszli do historii. Upiekli małe babki, zanurzyli je w marsali, słodkim winie z Sycylii, i podali na deserowym talerzu razem ze sztućcami i świeżymi winogronami. Król z zachwytu oniemiał, a gdy już odzyskał głos, stwierdził z całą powagą majestatu, że ciastko nazwie „baba" – na cześć ulubionego bohatera literackiego, czyli Ali Baby z „Księgi tysiąca i jednej nocy".

Bartek Kieżun – dziennikarz, podróżnik i fotograf. Autor bestsellerowych przewodników kulinarnych: „Italia do zjedzenia" i „Neapol łakomym okiem". Gotuje, karmi, prowadzi warsztaty kulinarne, organizuje kolacje degustacyjne i pisze.

KUCHNIA

Polski deser pokochała cała Francja. Uwielbiała babę także Maria Antonina. Nic więc dziwnego, że kiedy jej siostra Maria Karolina została królową Neapolu, poleciła jej kucharza, który miał pod Wezuwiuszem przyrządzać modny deser z Paryża. No i stało się! Zachwycili się Włosi, którzy wrócili do moczenia babki w rumie wymieszanym z syropem cukrowym.

Dziś *babà* jest klasykiem i można ją zajadać w każdej kawiarni. Można ją też zrobić w domu. Nawet jeśli nie ma się specjalnych foremek – świetnie się sprawdzą papierowe kubeczki na kawę. Trzeba je tylko mocno nasmarować masłem, by gotowe babki wysunęły się z nich bez trudu.

Babà Napoletano (ok. 8 sztuk)

Ciasto:
- 300 g mąki tortowej
- 5 g soli
- 30 g cukru
- 16 g świeżych drożdży
- 80 g miękkiego masła
- 5 jajek zerówek (rozmiar M – to ma znaczenie)

Syrop:
- litr wody
- 350 g cukru
- skórka z jednej pomarańczy
- skórka z jednej cytryny
- 200 ml rumu

Wykonanie:
- Mąkę, sól i cukier mieszamy w dzieży. Dodajemy pokruszone drożdże i miękkie masło posiekane w drobną kostkę. Wbijamy dwa jajka i zaczynamy mikserem planetarnym wyrabiać ciasto. Kiedy składniki połączą się w jednorodną masę, wbijamy kolejne jajko. Po mniej więcej 5 min dodajemy następne. Powinno powstać jednorodne, ale dość luźne ciasto, które trzeba wyrabiać przez ok. 10 min. Odstawiamy je do wyrastania na godzinę.
- Kubeczki występujące w roli foremek smarujemy grubo masłem. Do środka wkładamy nieco ciasta – nie więcej niż pół. I znów odstawiamy do wyrośnięcia. Kiedy ciasto urośnie i przekroczy krawędzie naczynia, wstawiamy foremki do piekarnika nagrzanego do 190 st. C na ok. 20 min.
- Zagotowujemy wodę z cukrem i ściętymi cienko skórkami cytrusów. Na koniec wlewamy rum, przykrywamy garnek i wyłączamy gaz.

Kiedy baby zrobią się złote, wyciągamy je z piekarnika i rozrywamy delikatnie kubki, tak by ciasto mogło się studzić, najlepiej na kratce.

Przestudzone baby zanurzamy w gorącym rumowym syropie. Powinny solidnie napęcznieć. Podajemy, z czym chcemy: kremem, bitą śmietaną, owocami, pamiętając jednak, że przed położeniem ciastka na talerz trzeba je nieco odcisnąć z syropu. Bez obaw, wróci do pierwotnego kształtu. ■

eprasa.pl acfe9a7195

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Książę gier

Książę koronny Mohammad bin Salman sprawił sobie prezent na 40. urodziny – za 55 mld dol. wykupił Electronic Arts, producenta gier „FIFA" i „The Sims". To druga największa transakcja w branży, pierwsza z udziałem Arabii Saudyjskiej. W negocjacjach pomagał zięć Trumpa Jared Kushner, a nie przeszkodziły ciążące na księciu oskarżenia o zlecenie zabójstwa. W tle Saudi Aramco i geopolityka. Wszystkie niuanse opisał Mateusz Witczak.

Adwokat Palestyny

Z innej perspektywy przedstawia saudyjskiego księcia Łukasz Wójcik w swoim podkaście „Portret polityka". Choć MBS – jak jest skrótowo określany – stwierdził, że „osobiście Palestyńczycy go w ogóle nie obchodzą", to dziś jest największym adwokatem palestyńskiej sprawy. Dlaczego? I z jakimi kryzysami się mierzy? Autor POLITYKI odpowiada w kwadrans, który warto znaleźć, żeby się nieco dowiedzieć.

Szczepionki są, ale...

Polacy już się tak nie boją covidu, ale jakaś ich część chciałaby się zaszczepić. Tylko nie może. Mimo że szczepionki są! **Co w systemie szwankuje, jak groźny jest koronawirus i dlaczego resort zdrowia żadnych problemów nie widzi, sprawdziła i opisała Joanna Solska.** Wnioski są niewesołe: „Najwyraźniej państwu ani samorządom lokalnym już nie zależy na propagowaniu szczepionek. Najbardziej aktywni są antyszczepionkowcy".

Pociągiem z rowerem

Wszystko, co chcecie wiedzieć o wożeniu rowerów pociągami, ale nie mieliście kogo zapytać – w najnowszym odcinku podkastu „Rowery, nie bajki" Juliusza Ćwielucha. W studiu na często niewygodne pytania odpowiadają rzecznik PKP Intercity Maciej Dutkiewicz i Napoleon Bryl, fotograf, tu w roli zapalonego rowerzysty. Oba wynalazki – pociąg i rower – są w zbliżonym wieku (220 i 210 lat). Czy w końcu zaczną się lubić?

Señor Masecki

Marcin Masecki już nie zagra Chopina – o czym sam zapewnia w naszym kulturalnym podkaście. Z Bachem tym razem też nie było mu po drodze. Czołowy polski pianista i aranżer gra bolera. Przy tych rytmach dorastał... w Kolumbii. I w te rejony wkrótce się wybierze. A dlaczego zaczął również śpiewać, choć wcale się w tym pewnie nie czuje – opowiada Bartkowi Chacińskiemu. Rozmowa do przesłuchania (i obejrzenia) na YouTube.

© JOHANNA GERON/AP/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE EA, SHUTTERSTOCK, LESZEK ZYCH (2)

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl acfe9a7195

POLITYKA SKLEP

Zapraszamy na wygodne zakupy!
Dla siebie i bliskich. Kupuj dla szkoły, firmy, instytucji.

Kupuj nasze aktualne wydawnictwa

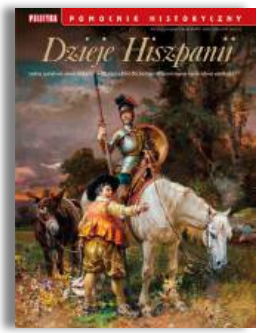

Prenumeruj uniwersalnie w druku i cyfrze

Już od 10,75 zł / wydanie

Cyfrowe wydania specjalne (EPUB)

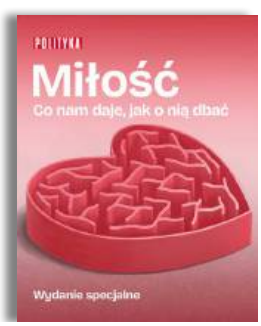

Przy zakupach powyżej 150 zł **dostawa gratis**.

Pełna oferta na **sklep.polityka.pl**

Prenumerata „Polityki", „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki" także z bezpłatną dostawą do wybranego InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl acfe9a7195

W zależności od wersji samochodu średnie zużycie paliwa, energii oraz emisja CO_2 (na podstawie WLTP) wynoszą odpowiednio: 1,5-5,3 l/100 km, 23 kWh/100 km oraz 33-139 g km. Samochody Mazda są wyposażone w układ klimatyzacji zawierający fluorowany gaz cieplarniany o współczynniku ocieplenia globalnego powyżej 150. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji znajdują się na mazda.pl

CRAFTED IN JAPAN

MAZDA

eprasa.pl acfe9a7195